NA DWORZE KRÓLA STASIA



Szanownej wielce uczonej Pani
w dniu imienin Lucara 190[illegible]
[illegible]

STANISŁAWA WASYLEWSKIEGO:

U KSIĘŻNEJ PANI. Lwów — Warszawa 1918.
Wydanie pierwsze (wyczerpane).
Wydanie drugie i trzecie (wyczerpane).
Wydanie czwarte.
W SREBRNYM DWORKU Z MODRZEWIA. Lwów — Warszawa 1918.
ROMANS PRABABKI. (w druku).

NA DWORZE KRÓLA STASIA.

1—6 TYSIĄC

LWÓW — KRAKOW 1919
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO.

St. Wasylewski

Na Dworze Króla STASIA





W. Witwicki 1918. 2. XI

Okładka rysunku Kamila Mackiewicza, karta tytułowa rysunku Władysława Witwickiego, inicyały i przerywniki w tekście Stanisława Matusiaka.

Drukarnia M. Schmitta i Ski we Lwowie.

MATCE SWOJEJ

STANISLAUS AUGUSTUS REX.

„Królowałeś, o Panie,
A kto inny władał!“
Naruszewicz.





powiada Swetoniusz, że boski Oktawian, umierając, wyrzec miał słowa: *Lateriliam Romam accepi, marmoream vobis relinquo.* Kazimierzowi Wielkiemu dziękuje legenda za Polskę murowaną, a Stanisław August ma też swój tytuł świetny. Gdy nieszczęśliwca przy podpisywaniu aktu abdykacyi „chwyciły bole i konwulsye“, przyznać sobie mógł przynajmniej tę jedną zasługę niestartą i jasną: wziął na polu elekcyjnem Polskę ciemną z rąk Sasów — zostawił ją oświeconą. Niby obmierzły druk z typografii poczajowskiej była dotąd. Na szorstkiej i nieforemnej bibule, podawały czcionki grube treść plugawą i myśl równie upodloną, jak kadencyę. A ostała się, jak tom wzorzysty, przez Imć Pana Grella na Marywillu pieczołowicie imprymowany, na holenderskim papierze, w sztychów obramieniu i otoku światła! Jeno, że los zły kartki z pięknej książki powydzierał i na trzy strony świata rozrzucił...

„Gdyby król Poniatowski — woła z zapałem ówczesny pisarz cudzoziemski — stał na czele państwa niezależnego, zaliczylibyśmy go pewnie do najczynniejszych, najrozumniejszych, najmilszych ludzkości monarchów!" Gdyby w Zygmuntowskiej Rzeczypospolitej rządził, wielbilibyśmy go wśród najpierwszych pomazańców Polski. Szkoda też wielka, że się nie urodził we Florencyi lub Rzymie renesansowym, tomy wielkie wydawanoby wtedy o najpiękniejszym typie *„l'uomo universale"*. Wypisał był ten król na swej tarczy parol bojowy Monteskiusza: *„Ecrasez l'infâme"*, i przez trzydzieści troje lat królowania dusił nędzę ciemnoty. Mówiono i mówi się, że tłukła się w nim jedna tylko pasya: pasya utrzymania korony za każdą cenę i każde upodlenie, a nim tymczasem władnęła zawsze inna namiętność: mnożenia cywilizacyi w Polsce. Ktoś nazwał go wychowawcą pięciu pokoleń szlachty polskiej. Nie dużo w tem przesady. Albowiem w testamencie króla Stasia wiele pokoleń znalazło legaty dla siebie. Że stał się najnieszczęśliwszym z królów polskich, to ciągle słyszymy, ale że był i najuczeńszym, o tem mówi się za mało.

Niepoczytalnym i śmiesznym wydaje się zrazu ten Pan najjaśniejszy, uganiający za Rembrandtami, gdy dach mu zwala się na głowę; zbierający rzadkie kamee, gemmy, czy rękopisy iluminowane wśród huku piorunów rozbioru; zajęty w najcięższych chwilach podziału projektem klamek o syrenim kształcie, oraz reformami w sposobie katalogowania sztychów. Wszelako nie z bezmyślności płynęły te upodobania, we wielostronnej inicyatywie kulturalnej wyrażone. Rozumiał ostatni król Rzeczypospolitej, że uleczy ginącą Rzeczpospolitą światłem i mądrością, a płynęło

to rozumienie z sedna filozofii wieku. Z Wolterem, Turgotem i Condorcetem wierzył w powszechną władzę rozumu na świecie, w bezwzględny rząd intelektu, obdarzający ludzkość prawdą, szczęściem i spokojem. Mocno przekonany o „szczęśliwości państw, w których mędrcy królują“, — z głębin swej słabej duszy przytakiwał słowom jednego ze swych wieszczków nadwornych:

„Kocham Polskę, a gdyby mieszkał w niej Horacy
Ustaćby mogła wszelka podłość...“

Nieznużony szafarz światła wierzył do końca w skuteczność swoich leków, choć szatan historyi pękał ze śmiechu. Bo oto, gdy z hukiem zapadają się kolumny i bierzmo pęka po bierzmie, ten król, w marzenia i poszepty sztuki swojej zasłuchany, rozmyśla nad zdobieniem fryzów, nad polichromią fresków na frontonie barwistych i baczy, by linia rozumnego piękna niepokalaną została we wszystkiem: w temacie wierszyka, poddanego Naruszewiczowi, w uciechach festynu, urządzonego w Łazienkach, w reglemencie dla komisyi edukacyjnej i — w najnowszej toalecie pani Grabowskiej.

Istnieje list, jeden z ostatnich listów Stanisława Augusta, który niechaj zawsze czytany będzie, ilekroć sąd nad królem się czyni. List pisany już z Petersburga, z pod ogromu dopustów, upokorzeń i bolu. O czemże myślał król w chwili, w której zaborcy śpiesznie lutowali sarkofag Rzeczypospolitej? „*Caro Marcello* — pisze do ukochanego malarza Bacciarellego — donieś mi zaraz, czy statua i biust Tytusa zostały umieszczone w Łazienkach. Czy imiona królów wypisane, jak trzeba? Czy Kraft naprawił nisze? Czy

rusztowania zdjęte z Rotundy? Czy się wnet drzewa zazielenią w Łazienkach i u Pana w ogrodzie? Czy Pan i cała rodzina zdrowi jesteście? *E Dio te benedica!* Stanislaus Augustus Rex."

Ten list zastąpi obszerne charakterystyki. I niechaj nikt nie rzuca kamieniem przeto, że tu nad wszystkie bole wydźwignęła się troska artifeksa, co przedewszystkiem sztuce polskiej chciał królować i tylko w swoich Łazienkach, na obiedzie czwartkowym i w pracowni malarskiej był władcą udzielnym a suwerenem mocnym. *Non tali defensore tempus egebat.* Polsce ginącej trzeba było Fryderyka, Cromwella i Batorego na tronie równocześnie. Jakże zaś żądać tego od suwerena, który miał pachnącą i pieszczoną, najmniejszą w Polsce rękę, a jedwabną wytworność życia nad wszystko ukochał?

Był równie subtelnym artystą życia, jak irytująco miękim człowiekiem. A w Polsce czuł się samotny. Tak on, jak i cała przebujna, wcale liczna kohorta umysłów oświeconych. Daremnie próbowali zasypać przepaść, dzielącą ich od szarej Rzeczypospolitej, od zgiełkliwego tłumu masy szlacheckiej, najpoczciwszej i głupawej, upartej w błędzie i zarazem gwałtownie oglądającej się za ratunkiem. Bo cóż mogło łączyć króla Stasia, z dziesięcią milionami jego poddanych? Przypomina się odrazu historya z panem Glinką. W pamiętnikach swoich opowiada Stanisław August, jak to młodzieńcem u progu karyery ubiegał się o godność poselską i tygodniami całymi musiał się uśmiechać do ciżby szlacheckiej na sejmikach. Najciężej było przecież, gdy razem z panem Glinką pojechali do starosty Makowskiego. Tknięty paraliżem pan starosta pił już tylko siedząco, a, gwoli rozweselenia, mu-

sieli mu przed oczyma pan Glinka z Poniatowskim tańcować do upadłego. Musieli, bo wpływowy był bardzo. Panna Kunegunda, tancerka przyszłego króla, mało umyta, a jeszcze mniej uczesana, ustroiła się w czarny aksamit z pluszem różowym mimo upału. Pan Glinka spełniał kielich za kielichem, zrzucał po kolei wszystką odzież ze siebie i tańczył od szóstej wieczorem do szóstej rano. Stanisław Poniatowski, choć nic nie pił i odzieży nie zrzucił, tańczyć musiał także na przegniłej podłodze starego lamusa z panną Kunegundą, która miała brudne ręce i czarny aksamit z pluszem różowym pomimo upału...

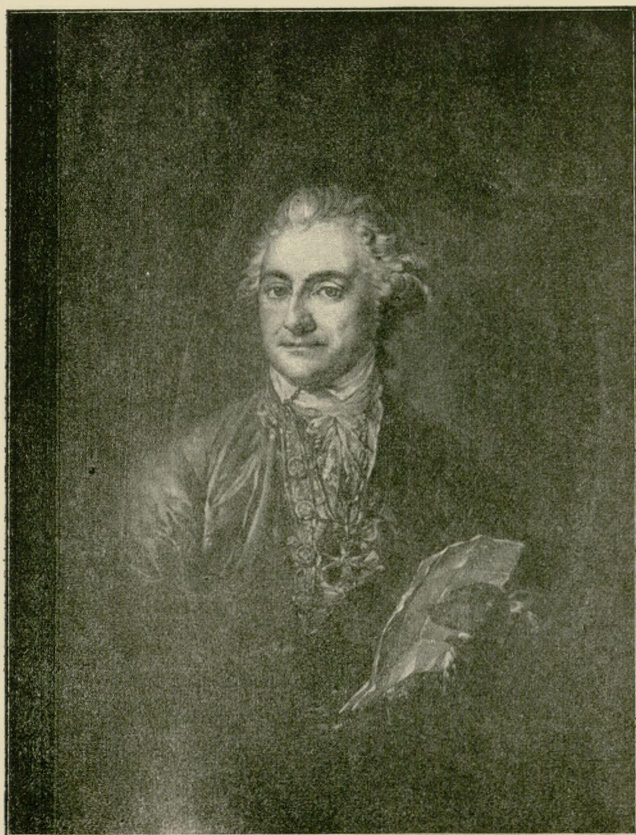
Zabawa u starosty Makowskiego trwać miała i później, przez trzy dziesiątki lat z okładem. Cały stosunek króla oświeconego do szerokich mas Rzeczypospolitej był jakby jej dalszym ciągiem. W tańcu z panną Kunegundą zawarło się dużo siły symbolicznej...



Z trzech aktów składa się tragedya rządów Stanisława Augusta, a w każdym odmieniało się oblicze protagonisty. Zrazu błyszczy wspaniale majestat szczęśliwca, który tron otrzymał z ręki kochanki. Ten młody król wierzy w siebie tak, jak wierzy weń cała *l' Europe*

galante, uradowana, że tam na tronie warszawskim zasiada suweren „z głową bogato umeblowaną“, jej z krwi i kości zaprzysięgły. „My, w Paryżu, mamy tylko opery komiczne, mądrość zamieszkała na północy“ — zawoła Wolter, ten sam, który potem sławić będzie zaborców za genialny czyn rozbiorów.

Dwa pierwsze lata odkrywają w Poniatowskim talent znakomitego reformatora. Rozpęd wzięty doskonale. W poszumie koronacyjnych uroczystości cichnie na chwilę chichot zjadliwy i kryje chytrze głowę hydra dziejów polskich. Król wierzy w swą siłę imperatorską, jest pewny, że potrafi być lekarzem Rzeczypospolitej. Nie przeraża go zrazu straszliwe memento, które idzie raz po raz to z obozu rycerzy barskich, to z Zimowego pałacu w Petersburgu, to wreszcie z jego własnej duszy. Idylla trwa krótko. Jakże szybko po zdjęciu strojnej szaty koronacyjnej, która oburzyła Sarmatów podobieństwem do „maszkary śpiwaków na teatrum“, prysną iluzye! „Ledwoś pierwsze założył — napisze po latach Naruszewicz — lepszego rządu zasady, gdy wzniosła oczy swoje zazdrość i poruszyła piekielne skrzydła swoje“. Najgorsze moce sprzysięgną się na zamęt w Rzeczypospolitej. Wiotką duszę Poniatowskiego powalą gromy rozczarowań. Obudzony ze snu słodkiego widzi się bezsilną maryonetką w ręku wujów, wydaną na łup ich wielmożnej pomsty. („Siedm ósmych części Polski jest w ich rękach, jedna ósma stara się o połączenie ze mną, ale... za ich pośrednictwem“, 1768). Głucha scysya z familią trwać będzie zawsze „napozór prawie niewidzialna, a przecie ciągle skuteczna i dotkliwa“. Czartoryscy zachowają aż do końca tę zawistną minę, z którą nazajutrz po elekcyi „w tym samym audyencyonalnym pokoju ks.



LAMPI: KRÓL STANISŁAW AUGUST

August, wojewoda ruski, przy piecu, zaparłszy syna i przybliżywszy mu ściśnioną pięść do gęby, z popędliwością rzekł do niego:

— A cóż, durniu, nie chciałeś korony, kiedyś mógł ją mieć. Widzisz teraz jak tamtemu pięknie w niej...“

A gdy Poczdam i Petersburg z rozkoszą zarzucają smycze coraz to nowych intryg — rozumieć poczyna stolnik z przerażeniem, że przeciw potędze mocarstw nic nie wskóra: ich siła wspólna — widzi mu się — wystarczałaby do podbicia całej kuli ziemskiej. Przerażony i bezsilny łamie wtedy ręce przed swą powiernicą: „Mamusiu! Jakże smutnem i bolesnem przeznaczeniem jest być królem polskim!“ U obcych ludzi litość budzi ten wpędzony w matnię człowiek, nie wiedzący, czego się bardziej obawiać: zamachu na życie ze strony konfederatów, grożącej katastrofy podziału, czy knowań familii. „Jeżeli możesz — pisze gen. Kokcej do Mitchella w r. 1769 — oddaj usługę mojemu nieszczęśliwemu królowi, zaklinam cię! Położenie jego jest okropne, ale nieszczęście nie pognębia go, przeciwnie: czyni go codzień droższym i szanowniejszym“.

Pierwszy rozbiór nie jest bynajmniej największem nieszczęściem w oczach króla. Więcej gnębi go — własna niemoc i przepaść jutra. Trzeba czytać korespondencyę z panią Geoffrin, aby zrozumieć dzieje pierwszego pięciolecia rządów, w których osiwiał i zrozumiał syzyfowość swych naiwnie ambitnych zamierzeń. Praktyczna „maman“, która ze wstydu radaby głowę w worek schować, gdy słyszy, co na jej salonach mówią o Polsce, radzi mu trzeźwo: niechaj abdykuje coprędzej i jedzie do Rzymu, tam może

przynajmniej zostać kardynałem. Nie pojechał król Staś do Rzymu i nie został kardynałem, ale abdykacya dokonała się sama przez się. *Mortuus est Imperator, natus est maecenas.* To, co miało być ozdobą i renesansową ramą królowania, stało się jego celem.

Odtąd uspokoi się w Polsce na kilka dziesiątków lat. Wokół zrujnowanej i zmordowanej Rzeczypospolitej zaciśnie się żelazna obręcz zaborców, Rosya narzuci Polsce najwygodniejszy dla siebie rząd oligarchiczny, Radę nieustającą, a siedm ósmych części kraju zmieni właściciela i zamiast familii władać będą ambasadorzy. Ani się spostrzeże król Najjaśniejszy, że spadł w tym czasie do roli marszałka dworu królewskiego w swojem własnem państwie. Albowiem będą to najszczęśliwsze lata panowania. Jakie najszczęśliwsze? Przecież zaprowadzi swe państwo pod obuch drugiego rozbioru i zniszczy do cna jego suwerenność. Tak, ale odkupi choć w części swą winę światłem pracy cywilizacyjnej. Błyśnie i spali się w tym okresie niejedna rakieta nadziei. Przyjdzie lumen Sejmu wielkiego i klejnot ustawy Majowej i hańba Targowicy. Będzie król rósł i wraz malał w naszych oczach, będzie się krawędzi tronu trzymał za wszelką cenę. Cenę wysoką. Uczyni ze siebie bolesne widowisko, zaprzeda godność własną, której nigdy nie miał za wiele. Oswoi się z koniecznością szukania „tajemnych subsydyów“ gdzie tylko można. „Szukałem podpór dla mojego tronu, ale te, jak trzcina łamały się pod ciężarem“ powie raz na sejmie. Chciał być zawsze królem spokojnym, a stanie się królem trwożliwym. „Rządząc“ oglądać się będzie bojaźliwie, albo co na to powie pani Krakowska, albo pani Gra-

bowska, to znowu zadrży na myśl, że się o tem dowie księżna marszałkowa. Będzie królem, ale poza plecyma księcia prymasa. Albo: w najgłębszej tajemnicy przed Repninem. Będzie królem zawsze, ilekroć pozwoli Bułhakow, Sievers, czy Stackelberg. Tych wszystkich pokornie usłucha i połknie w milczeniu aroganckie dowcipy przy stole, jakichby nie zniósł najpospolitszy szlachetka. Zawsze był od kogoś zależny, wobec kogoś bezsilny. Repnina i Stackelberga zastąpi na chwilę w czasie Wielkiego Sejmu *le serpent italien*, Lucchesini, familię nienawistną zluzuje Branicki z opozycyą. Co raz to inni adwersarze i w imię haseł najprzeróżniejszych! Obok księżny marszałkowej Tadeusz Kościuszko, po Kaźmierzu Pułaskim Szczęsny Potocki, Hugo Kołłątaj i Adam Czartoryski, Stanisław Staszic i pani Dogrumowa. A wreszcie cała zdrowa większość narodu ławą przeciw nieszczęśnikowi! Targowica rozpocznie trzeci okres królowych rządów. W miękiej i zgnębionej duszy nie starczy sił i odwagi na tyle, by stanąć *quand meme* na nowej opoce, którą tymczasem dobre duchy narodu budowały. Odartemu z zewnętrznych nawet pozorów majestatowi, nieszczęsnemu więźniowi Petersburga, pozostanie już tylko do końca topielczy kurcz i żądza utrzymania korony.

Cierpki, jakże bardzo surowy i cierpki osąd potomności dosięgnie za to Jego królewską Mość!



Trzeba na króla Stasia patrzyć przez pryzmat jego wieku. Ilekroć wytyka mu się duszę bez głębi i dna, ilekroć wyrok się wydaje na „wygodnisia politycznego, który w powietrzu, przejętem nawalnicą, tęsknił do pogodnych szczęśliwości dyrektora muzeum“, wtedy trzeba zawsze pamiętać o czasach, które go wydały. Nie wolno osądzać go, nie przesłuchawszy stulecia jego przedtem. Stanął on u szczytu i posiadł wszystkie tajemnice wieku oświecenia. Rozsiewał jego wspaniałości i jego występki na polskim ugorze. Nie miał godności własnej i mocnych podstaw etycznych, ale kochał Szekspira i Horacego, malarstwo florenckie i rzeźbę grecką, kochał wśród narosłej pleśni barbarzyństwa, w czasach, w których wielebny ks. Wichept za „opłatą bitego talara“ pokazywał w Warszawie „szpony orła, jednego z tych, które ciała św. Stanisława pilnowały“, „partykułkę gnoju, na którym leżał Hiob“, „kroplę wody, którą Mieczysława ochrzczono“, oraz „ampułkę wiatru, w stajence betleemskiej wiejącego“.

Z okien tego samego zamku królewskiego, co urasta teraz na miarę renesansowej przystani cywilizacyi, tak niedawno jeszcze strzelał do psów August II., ten sam, który łamał podkowy, ścinał jednym zamachem łby bykom i wjeżdżał konno na schody swych apartamentów.

Ten dziwny król, który za największy tragizm swego życia uważał to przedewszystkiem, że nie mógł do Włoch pojechać, ten król nie postarał się ani o jednego porządnego ambasadora zagranicą, a zato zwerbował dla siebie w stolicach świata wszystkich najlepszych ajentów dzieł sztuki.

Aksamitny pięknoduch pochodził z tej samej rodziny, co Lorenzo Medici i Ludwik Bawarski, co Juliusz II. i Ercole I. I niedarmo stwierdzała legenda, że ród Ciołków-Torellich począł się kiedyś w Ferrarze. W prężących się ku słonecznym zawołaniom renesansu ramionach Poniatowskiego płynęła krew Medyceuszów. *Medicea stella ravissavano in Te!* — mógł i o nim powiedzieć poeta włoski.

Kultura umysłowa Stanisława Augusta była raczej szeroką, niż głęboką. Tkwił w nim ten sam dyletantyzm, który wszystkich ludzi oświecenia znamionuje i ta sama łatwość i lekkomyślność syntezy wraz z pasyą ogarniania jak najszerszych horyzontów. Imał się wszystkiego i na wszystkiem rozumiał. Było to przecież w wieku, w którym Ludwik XIV, otrzymawszy od pewnego krawca rozprawę, traktującą o powinnościach monarchy, zawołał z rozpaczą: „zawołajcie kanclerza, ażeby mi zrobił spodnie“. A przecież cała przepaść różnicy dzieliła go od współczesnych i poddanych, przerastał ich, posłusznych dworaków o głowę i zdumiewał „nauką obszerną i gustem“. Jakże znamienny jest wykrzyk Trembeckiego: „Łatwiej pisać dla piętnastu Ludwików, niż dla jednego Stanisława Augusta!“ Był mądrzejszy od wszystkich swoich filozofów, lotniejszy od poetów, lepiej barwę i kształt czujący od malarzy i architektów. Ludzie wokół niego używali życie *à tout prix.* Król używał go także, ale inaczej, bo — pięknie. Oni często byli rozpustnikami tylko, on zaś był *viveurem* oświeconym. Tamtych gnała tępa żądza używania, gdy w jego radości życia błyszczały jasno twórcze zamysły artysty.

Aż dziw bierze gdy ogarnąć skalę jego wrażliwości i zainteresowań. Zaprzątał się fabrykacyą po-

wozów i grą na wiolonczeli, zajmował się wykopaliskami archeologicznemi, fauną i mineralogią. Znał politykę i historyę, kształcił się w matematyce i w sztuce wojskowej, tańcował menueta i umiał przepysznie uwodzić kobiety. Był w stanie pisać listy równie obszerne na temat konstrukcyi świecznika w pokoju marmurowym lub organizacyi komisyi edukacyjnej.

Interesował się zarówno fabrykacyą wosku, pochodni i świec, jak maszyn do prasowania i bielników płótna, rozumiał potrzebę poszukiwania kruszców, soli, miedzi i marmuru, tak, jak z drugiej strony zastanawiał się głęboko nad najtrafniejszym sposobem katalogowiania druków i rękopisów. Mówcą był wspaniałym, a jego oracye sejmowe uchodziły za wzory krasomówstwa. Francuzów zadziwiał akcentem i znajomością stosunków towarzyskich i politycznych nad Sekwaną, Anglika, Coxe'a wprawił w zdumienie ową „*extraordinary knowledge*“, wyjątkową znajomością stosunków ustroju praw i historyi Anglii, oraz entuzyastycznym podziwem dla Szekspira, którego wszystkie edycye posiadał, a Juliusza Cezara jeszcze jako młodzieniec na francuskie tłumaczył.

Jako wielbiciel kultury angielskiej przoduje wraz z Wolterem całemu kontynentowi. W tym samym czasie, gdy twórca „*Pucelle d' Orléans*“ propagował we Francyi nieśmiało Szekspira i Addisona, czynił to, może odważniej nawet, Stanisław August w Polsce. Entuzyasta dzieł Swifta i dramatów królewskich łabędzia z Awonu, w odniesieniu do Francyi nie krył się z pewnem lekceważeniem, Anglię zaś ubóstwiał nad wszystko. „Król mówił mi — pisze lady Craven — że ludzie, zwierzęta, drzewa i wogóle wszystko, co Anglia wydaje, jest o wiele doskonalsze, niż w innych

krajach. Klimat i słońce są zapewne przyczyną tej różnicy. On Anglię wyłącznie kocha..."

W pracy cywilizacyjnej Stanisława Augusta były błędy liczne. Mylił się, nie doceniając cywilizacyjnego polskiego wczoraj, nie wiedział, że gdyby popiół wierzchni odgarnąć, to pod skorupą ciemnoty saskiej znajdą się jeszcze niewygasłe żary humanizmu i bogatej kultury renesansowej, przywołał chmarę ludzi obcych do Polski, hartował jej szatę odrodzoną na krosnach cudzoziemskich, ale stworzył wiele. Im mocniej utrwala się w marmurze kontur jego dzieła, tem i tragiczniejszą wyda się dola monarchy, który w tak bardzo nieodpowiednim dla się czasie tron posiadał. Jakkolwiek jednak ostro osądzimy lekkomyślność i miękość, nieumiejętność sztuki rządzenia państwem u Stanisława Augusta, to przecież pozostanie na zawsze czysty blask jego działalności kulturalnej i budzicielskiej.

Lecz strzeżmy się znowu przesady. Byłoby krzywdzącem i jednostronnem przyznać królowi Stanisławowi Augustowi wyłączne kierownictwo w epoce oświecenia i oddać mu niepodzielnie buławę hetmańską i rząd absolutny nad epoką. Pokrzywdzony czułby się przez to ks. Stanisław Konarski, który przecie pierwszy odważył się być mądrym, i arcyświatły generał ziem podolskich, i Stanisław Staszic, i ks. biskup Krasicki, poszłyby w zapomnienie Puławy, które jakże szlachetnie rywalizowały na polu kulturalnem z Warszawą!

Ale mimo wszystko przyznać trzeba, że z rozkazu J. K. Mości stało się wiele ważnych rzeczy w cywilizacyi polskiej, że pisarze polscy w wieku oświecenia byli uczniami pitagorejskiej szkoły króla,

że pod oświeconą, w koronkowy haft zdobną ręką mistrza „Polski, wytwornej“, z czeladników wyrastali artyści i rodziły się talenty literackie i malarskie. Skromniejsze, niż pragnął, nie tak wielkie, jak zamierzał.

Z rozkazu J. K. Mości wstała z martwych literatura polska, przybrała nową szatę strojną poezya, odrodziła się nauka prawa, medycyna, istnieć poczęło nowożytne dziejopisarstwo. Z rozkazu J. K. Mości urodziło się malarstwo polskie i żyć rozpoczął teatr polski w Warszawie, odnowiono Zamek królewski i stworzono Łazienki. Warszawa stała się duchową macierzą odrodzonej Polski, a byłaby jedną z najpiękniejszych stolic Europy, gdyby danem było temu suwerenowi panować spokojnie.

Z rozkazu J. K. Mości powstało pierwsze w Europie ministeryum oświaty: komisya edukacyjna, położono pierwsze bruki w Warszawie i pierwsze latarnie na ulicach zapalono. Zniesiono karę *regestrum Arianismi* i bezkarność morderców, postawiono przed sejm projekt reformy żydów. Z rozkazu J. K. Mości powiększyła się w trójnasób liczba drukarni, otwarto biblioteki publiczne i obserwatorya, ogrody botaniczne i kanały, fabryki i zakłady przemysłowe...

I tylko na jedną sprawę brakło najjaśniejszego rozkazu. Nie umiał rozkazać Stanisław August, iżby mocną stała się Rzeczpospolita i oparła się naporowi wrogów, nie umiał rozkazać, iżby podniosła się z pod obuchu drugiego rozbioru i uniknęła szlachtuza trzeciego.

Bez niego odrodziła się i przeciw niemu.

Nie umiał Stanisław August sobie samemu rozkazać, iżby siłę piorunów miał jego majestat i wstrząsał posadami złej woli, nie umiał znaleźć w sobie mocy

do przeprowadzenia nawy państwa pośród burzy dziejów, nie umiał ustrzedz tronu swego przed despektem i upodleniem. Taka już była tragiczna dwoistość natury ostatniego pomazańca „królującego, gdy kto inny władał“.

Non poenitebit vos fecisse me regem — tak przysiągł stolnik Poniatowski, biorąc w r. 1764 koronę Piastów. Nie pożałujecie, gdy mię królem uczynicie.

Czy miała żałować Rzeczpospolita?...



DUSZE W STYLU ROKOKO.

Człowiek był przedtem prosty i dziki jak zwierzę.
Dziś jest szkoła rozumna, ale jak rozumna
Z szkół, z obozu, z warsztatu, nawet i od gumna
Wszystko tchnie wytwornością...

Krasicki.





Za szybą gabloty muzealnej błyszczy jeszcze wiśniowy aksamit fraka, złotem szamerowanego i wzbudza podziw różowa kokarda pantofelka, lśni biały pukiel peruki i każdy milutki drobiazg z tego króiestwa, które kochało się w barwie naiwnie krzykliwej i kształcie na zewnątrz efektownym, a zwało się epoką rokoko. Królestwo istniejące do dziś, tylko uśpione w akordach Mozartowskiego menueta. Niech jeno rozdzwoni się rytm aksamitnej muzyki, a ujrzycie tych ludzi barwistych i rozpłacze się na konsoli markiza z sewrskiej porcelany. Wskrzeszeni suną rzędem ku fortepianowi...

Wsłuchajcie się w rytm menueta, usłyszycie zaś odgłosy może kroków miękich.., Idą, „pachnąc wonnymi spirytusy“. Idzie zalotny fircyk Zabłockiego, Papkin

Fredrowski z artemizyą i markiz z obrazu Fragonarda, podglądający wdzięki bujającej na huśtawce *grande damy;* marszałek Rzewuski pyszni się pierwszą w Polsce *manicurą*, szambelan Kownacki ma sto par pantalonów, a zasię imć Poniński, ten sam, który upodlił się do ostatka, pudruje smycz chartów swoich przed wyjazdem do kniei... I wiele, wiele nazwisk z dworu króla Stasia. Ludzie ze sztychów Fragonarda i Chodowieckiego zeszli z obrazu. Orzechowe peruki i watowane biusty senatorskie, malowane brwi i miniaturowe zarękawki labusiów, typy z satyr Krasickiego, ozdobni, jak książka safianowa, misterni, jak mahoniowy kantorek prababki, gładcy, wonni i uśmiechnięci proszą — o przebaczenie. Albowiem nie wiedzieli, co czynią.

Nie wiedziałaś - że istotnie, co czynisz księżniczko w jasno papuziej robie, białonóżko w pończoszkach z przezroczystej pokrzywki? Śnieżyste pukle piętrzą się na fryzurze, fale morza naśladującej, wśród których płynie okręcik z korali i złota kunsztownie wyrabiany. A czemże uniewinni swą ptasią etykę i motylą moralność, tkwiącą na dnie duszy grząskiej — pan szambelan, zapobiegliwy, bo na noc twarz okładał cielęciną, dumny, bo sprowadził do Polski pierwszą kamizelkę z deseniem zielonych małpek, trzymających w ręku parasolki. Wypadło wam wszystkim wypełniać posłusznie nakazy wieku, któremu przecież polecił lord Chesterfield: „Proszę was: pamiętajcie przedewszystkiem o przyjemnem poruszaniu ramion, bo to, wraz ze sztuką wdziewania kapelusza i podawania ręki, jest wszystko co umieć winien człowiek wytworny“. Umieliście sobie bujnie życie urządzić, doskonale posiadłszy sztukę marnowania czasu, a świętem pozostało dla was tylko

jedno hasło: „*Après nous le déluge*“. Można by was nawet i lubić za lekkomyślną, barwistą linię hedonizmu, gdyby nie to, żeście w złym, bardzo złym czasie do Rzeczypospolitej zjechali. I gdyby nie zarzut Katarzyny, że za tanio Polskę sprzedajecie...

* * *

Rdza pokrywała już nad Sekwaną białe róże epoki rokoko, kiedy pierwsze ich szczepy przyjęły się w Polsce, kiedy na golonych łbach braci szlacheckiej ujrzano pierwsze „harbajtle“, a pałace magnackie ślubowały wierność dekalogowi *Louis quinze*.

Chyba humanista, przywożący w dobie renesansu pierwsze rękopisy Cicerona nad Wisłę, gorzał tak wielkim zapałem reformatorskim, z jakim ci pierwsi, wróceni z wojażu apostołowie rokoko, poprzysięgli wojnę świętą polskiej rubaszności i wszystkiemu, co się zasadom perfumowanej wytworności sprzeciwia. Ludzie tego pokolenia, które przyjdzie do rządów za króla Stasia, spędzili, tak jak on, młodość w Londynie i Paryżu, chłonęli w siebie wszystkie zarazki *de la vie galante* i brali wzory u źródła. Pamiętacie chyba, jak to do cichych zaścianków Pana Tadeuszowej Litwy „przyjechał pan podczaszyc na francuskim wózku, pierwszy człowiek, co w Litwie chodził po francusku“; wiadomo też jak wielkie zgorszenie budził w lubelskim świecie pan Eligiusz Prażmowski, ta przepyszna figura z pamiętników Koźmiana? Hreczkosieje mieli z nich uciechę i czynili porównania: nogi w pończochach wydały im się tykami od chmielu, po których poły fraka aksamitnego skakały niby brona po roli.

A stara Rzeczpospolita, której pieśnią łabędzią był hymn konfederatów barskich, powtarzała ze zgrozą słowa poety starożytnego: *Et quae antea crimina fuerunt mores sunt*, albo też ręce łamała w wierszu eligijnym:

W zbytkach, niemęskich strojach rozkochany,
Cóż znaczy teraz Lach perfumowany?

Reforma obyczaju dokonała się gwałtownie: niemal na oczach zmieniał się wygląd człowieka, domu, otoczenia. „Wszystko zmodniało w Polsce, począwszy od serca, sukni, aż do ostatniej pogranicznej wioski“, — zapłacze w r. 1791 „Polak w czui prawdą podszytej“. Już około r. 1776 najnieszczęśliwszymi ludźmi w Warszawie byli krawcy, gdyż musieli tysiące starych, odwiecznego kroju żupanów, na nowo modne przykrawywać fraki. Lecz już wcześniej, bo zaraz po elekcyi Stanisława Augusta, zarysowały się przeciwieństwa. Otwarto właśnie teatr narodowy w r. 1765. Bielawski w prologu do „Natrętów“ pozwolił sobie na kąśliwą wycieczkę przeciw sarmatyzmowi. Modnisie uderzyli w głośne brawa, kontuszowcy zaś, posłyszawszy, że ich świętości w poniżeniu, zaczęli głośno szemrać i gdyby nie to, że król z senorem Casanovą przytomny był w loży, do krwawej przyszłoby awantury.

Już wtedy stanęły przeciw sobie dwa światy, które odtąd przez pół wieku walczyć z sobą będą: Sarmaci i Gallo-Polacy. Dość spojrzeć na oba typy, aby ogarnąć przepaść różnicy. Po jednej stronie sposobi się do boju w obronie zagrożonego obyczaju wygolony brat-szlachcic, przy szabli z furdymentem, w bufiastym kontuszu i zawiesistych szarawarach,

ten, co to od dwu wieków z górą „je, pije i popuszcza pasa“. Nosi zawsze w pokrowcu łyżkę, nóż i grabki drewniane i wie, co to najwyższa wytworność: wychylić duszkiem garniec węgrzyna, albo też podzielić w powietrzu kapłona upieczonego. Brudnymi palcami sięga co chwila po tabakę z obcych tabakierek, nie uznaje żadnych „*mouchoirów*“, a teatr uważa za niemieckie figle, na które przemocą zapędzał ludzi August II. Zapomniał dawno o dostojnym splendorze swych przodków. Ciemny i ogłupiany od stu lat Alwarem kończy ucztę każdą pod ławą, jest śmierdzący i butny, pobożny i poczciwy, sypia na łosiowej skórze, a koszulę z samodziału zmienia bardzo rzadko.

A Gallo-Polak? Fircykiem zwano go powszechnie. „Fircyk jest przyjacielem u całego świata, fircyk wszystkiego świadom i wszystkich rozpłata“. W nocy sypia w rękawiczkach, używa nieraz sześciu kołder odrazu, które oddalają się lub zbliżają do łóżka, zależnie od temperatury. Kosteczki ma kruche, niby z porcelany. Z duszy i ciała składał się człowiek dawniej, on zaś stworzon jest z pudru i bawełny. Pudrem przysypuje włosy i plecy; bawełną uzupełnia kształty. Loki srebrne bujają wokół uszu, włosy z tyłu zawija i w czarną, jedwabną kitajkę chowa. Nie staropolskiej czapki używa, ale jakiegoś — kapelusza. Ma sto kamizelek i tyleż fraków do wyboru, na sześćset fryzur przeróżnych pozwala mu edykt Ludwika XVI. Wszystko, co niema stempla zagranicznego, nazywa sarmatyzmem i w zjadliwej trzyma pogardzie.

Bajeczną polichromią lśni pan fircyk, gdy się ubierze. Ma frak kanarkowy, niebieski, albo moręgowaty, zależnie od pory i ochoty, westę koloru wiśni lub kremu, kuloty żółte, białe, jedwabne lub czarne,

aksamitne, modnie w galon szachowane. Długie manszety koronkowe, czyli pleureusy sięgają aż po palce. Poznać pana po koronkach. Bielizna może pozostać bez zmiany, byleby koronki były modnie odmienione. Rząd szklących guzików u fraka jest małym gabinetem historyi naturalnej, bo widać w nich pod szkłem robaczki najrozmaitsze: gąsienice, motyle, żabki i jaszczurki. Rękojeść szpady, która, niby mały różenek zwisa u poły fraka, zdobią klejnoty, łańcuszki przeróżne i trzęsidła z brylantowej stali — oto on, uwodzicielski i pachnący kawaler *à la* Watteau.

Dwa typy, obok fircyka, są wyłączną własnością tej epoki: oświecony labuś i kobieta oświecona. Młodzieniec, który chciał żyć wygodnie, mieć jak najmniej obowiązków, a jak najwięcej przywilejów, przybierał suknię duchowną. Jeśli był sprytny i dobrze urodzony, umiał podobać się kobietom i łatwo zginał kark pudrowany, zostawał biskupem. Wtedy ów piżmem woniejący pieszczoszek we fioletach, „woźny najlepszy bogini świegotki“, władnął epoką i ciągnął z niej najsłodsze korzyści.

„Najzabawniejszą rzeczą było — mówi, opisując Sejm polski Bernoulli — patrzeć na biskupów. Przeważnie są to eleganccy, modni i zalotni młodzieńcy z arystokracyi, którzy zdają się rywalizować między sobą wykwintnością i kosztownością fioletów, obszytych najprzedniejszemi koronkami i przesadzają się we fryzurach najdziwniej strzyżonych“. Jeszcze dokładniej objaśnia sprawę złośliwy czterowiersz Zabłockiego:

Spójrz pod ten dom! Czy widzisz? Kanonik czy *l'abbe*
Gorliwie coś wbrew jakiejś grzesznicy wymiata,
Ale ta, mając serce, czy twarde, czy słabe
Póty się nie nawróci, aż nie da — dukata!...

Uwijał się po Warszawie *à l'abbé* t. z. kuso, „okryty różnego koloru suknem i bławatem, bez najmniejszego duchowieństwa“ a, co gorsza, „w odległych ulicach trzymał sobie na duchownym obroku nieskromne matrony“. Do rzadkości należało spotkać księdza modnego w sutannie. Nawet mszę św. w peruce odprawiać pragnęli. Załuski rozchorował się w Kałudze z braku peruki, a ks. Hugona Kołłątaja upominał ostro w r. 1781 konsystorz krakowski, że nosi ubranie świeckie, pończochy kolorowe i biały kapelusz ceratowy.

Wpływ kobiety dominuje nad życiem i odmienia z gruntu oblicze epoki. Nie sejmy i sejmiki są jej mózgiem, ale buduary. Jak gdyby odwet biorąc za niewolę tylu wieków, w ciągu których „*domi mansit lanam fecit*“, — białogłowa bierze teraz z pasyą ster rządów. Jest oświecona i mądra, koresponduje z Wolterem, pielgrzymuje do grobu Petrarki, zbiera sztychy i osobliwości. Z jej przyczyny dyplomacya XVIII. wieku staje się kunsztem machiawelskim, do niej, na słodkie służby, idzie całe życie publiczne. Małą rączkę kobiety odczuwa się we wielkiej polityce, mała rączka uciska tętno literatury i wszelkiej sztuki, mała rączka z rozkoszą nurza się w rozpuście. Teraz dopiero pielęgnowana starannie stała się piękną i błyszczącą, pieszczoną i *manicurowaną*, i nawet w nocy chronioną przez perfumowane rękawiczki. Całowanie tej rączki i ściskanie, to sztuka osobna, która ma tysiąc odmian i znaczeń, a zawiera cały alfabet dla wtajemniczonych. *Joie de vivre* nie zna granic: — „Pani jeszcze kocha swego męża po sześciu miesiącach? Ależ to przystoi modystce, a nie markizie“. Wierność małżeńska jest grubą obrazą dobrego tonu. Moralność kokot staje

się moralnością księżniczek. Rozwódki odbierają cześć westalek, klasztorne rozmównice służą jako miejsca schadzek, loże wolnomularskie są salonami przyjęć.

„Ustawiczna w zwierciadle, pałająca od farb“ stroi się kobieta w materyjki lekkie, niczem pajęczyna, gorset zaciska, że piersi aż pod brodę podchodzą, stan cienki dłonią ledwie objąć można. Gdy mężczyzna ubierał się na codzień, jak na redutę, to cóż dopiero rzec o toaletach pań? Lord Chesterfield, zapytany raz przez Woltera, jaką znajduje różnicę między francuską i angielską wytwornisią, rzekł krótko: „Nie znam się na malowidłach!“ Był to kolorowany ogród warzywny. Fryzura, wzniesiona na osobnem rusztowaniu z drutu i drzewa, dochodziła długości połowy ciała, a zdobiły ją koronki, kwiatki, gwiazdy, lasy, wstążki, pióra, zwierzęta i ptaszki. Rogówka, czyli krynolina dwułokciowej średnicy, czyni ją podobną do chińskiego namiotu, lśniącego polichromią najjaskrawszych kolorów. Na twarzy malowanej muszka z aksamitu. Nie obojętne, w którem miejscu. Na nosie oznaczała — bezwstyd, na powiece — namiętność, w kąciku ust — chęć całunków, na wardze — kokieteryę. Dama modna podobna jest do magazynu jubilerskiego; do boku przypina bukiety rubinów i szmaragdów, a nawet, nie bacząc na klątewny wzrok zeszłowiecznych matron, pozwala sobie przekłuć oba uszka, by je ozdobić dewizkami z brylantów. A przeto epoka rokoko nie wiedziała, co wogóle znaczy kobieta — brzydka. Wszystkie były piękne, bez wyjątku. Panna Mniszchówna z Dęblina należała do prawdziwych piękności, pomimo, że była kulawa, garbata i zezowata. Korki u trzewików zaradzały skróceniu nogi, wypchanie jednej łopatki, utaiło

zbytnią wypukłość drugiej, pukle peruki, zesuniętej na czoło, zakryły zeza w oczach.

La femme galante XVIII. stulecia włada epoką. Rządzi Anglią i Ludwikami we Francyi, rządzi Polską. To samo *régime des maîtresses,* które zgubiło Francyę, nie dopomogło też Rzeczypospolitej. Mieliśmy i my swoją markizę de Mailly i księżnę de Chateauroux i panią d'Etiolles, mieliśmy i króla, który jak duch de Richelieu, był mężem wszystkich żon. Lecz więcej służką, niż imperatorem świegotek, stał się ten król, który lubiał mawiać, iże wolą kobiet polskich na tron powołany został. Nie krzyczałyż wszystkie w dniu elekcyi do przejeżdżającego prymasa, że „Stasia" na króla sobie życzą? A przeto majestat pomazańca obfitował w blaski szczęśliwe. Otoczony wieńcem najwdzięczniejszych i urodziwych dam, był Stanisław August upragnionym kochankiem stu najpierwszych piękności. *Il aime toutes les femmes*, stwierdza Bernardin de St. Pierre, który sam padł ofiarą polskich amorów. Kochały panie warszawskie króla extraordynaryjnie, a, tęskniąc codzień gorzej, pieczętowały każdy list dwoma gołąbkami i palmą z napisem: *mon amour pour toi seul.* Czego znowu nie należało brać zbyt dosłownie.

Z przemożnym wpływem białogłowy idzie w parze effeminacya mężczyzn. Szminka i puder obowiązują jednakowo. I to jest jeden z rysów znamiennych epoki, w której nuncyusze papiescy w Warszawie piszą i drukują namiętne erotyki do dam, hetmani koronni nie umieją dosiąść konia, oficerów nie widziano nigdy w pułku, a hetman litewski, w ataku na Stołowicze, zajęty jest komponowaniem opery! Pretensya zresztą dziwna. Skądże myśleć o wojnie człowiekowi, co miasto szabli używał wachlarza, ściskał się sznurówką

i sztukował biodra, powoził malowanemi końmi w strusich piórach i charty na smyczy pudrował, jadąc na polowanie? A za największą dumę uważał, że sprowadza wszystko z zagranicy. Wesoło i skocznie, jak nigdy! Ile dworów magnackich, tyle teatrów, a raczej nie: tyle oper włoskich i baletów! Nie miały-ż królewięta polskie iść z prądem czasu, skoro Wersal tańczy od rana do nocy, Fryderyk rzępoli na flecie, a Józef II. komponuje zawzięcie! Więc „muzykują". Niechaj przymiera głodem pan Bogusławski, skoro prezentuje wciąż dramy krajowe, górą *buffo caricato* i rozkoszne tańce pana Sacco.

Byli to ludzie dzieci, którzy w swych duszach ptasich, lilipucich urobili miniaturę człowieka. Przynieśli z sobą na świat dziecinne ukochanie życia i tę nieporównaną, im tylko właściwą, *l'art de dire rien d'une manière agréable et ingénieuse*. Sztukę rozdrobili na sztuczki efektowne, wiedzę i mądrość zaprzęgli do rydwanu, aby rakietami wielobarwnemi oświetlała ich szalony taniec. „Radość, siadłszy do złotej karocy, ze szczęściem na koźle, przez powietrze modre pędziła w pojeździe." Tańczyli i grali w karty, zbierali starożytności, urządzali iluminacye i fajerwerki, szukali kamienia filozoficznego, a bieliznę do prania posyłali do Paryża. Teatr amatorski, szlichtada i kulig wypełniały zimę, *journées de campagne*, polowanie z chartami, *festivale* na łodziach okwieconych i bacikach, urządzali w lecie. Amor, intryga i rozpusta trwały latem i zimą. Dekoracyi mogą im pozazdrościć wszystkie inne czasy. Nie mieli pretensyi o to, że historya, oprócz nich, zajmuje się także innemi sprawami. Champfort powiedział słusznie, że wielkie wypadki cenić należy dlatego, iż dają asumpt do weso-

łych dowcipów. *Tout finit par des chansons.* Naruszewicz poszedł jeszcze dalej, uchwyciwszy w dwuwierszu sedno ich epikureizmu: „Jedna godzina, gdy ją wesół pędzę, lepsza jest, niźli tysiąc wieków w księdze".

Rozrzutni byli, próżni i wytworni. Gorszącej i bolesnej rozrzutności przykładem świecił przedewszystkiem król. Równie oświecona rozrzutność odznaczała księcia generała ziem podolskich, a znowu rozrzutność dobroczynna leżała w naturze księżnej marszałkowej. Za innych niech starczy przykład tej pani Kossakowskiej, która, ujrzawszy raz przekupkę z pomarańczami, zdjęła naszyjnik z pereł urjańskich i, w braku pieniędzy, za każdą pomarańczę perłą zapłaciła. W luksusową budowę Powązek, swej letniej posiadłości, wsadził ks. Adam wiele milionów dukatów, a samą łazienkę wyłożył kostkami z najprzedniejszej porcelany drezdeńskiej, z których każda 3 dukaty kosztowała. Córki bankiera Teppera „nie mogły pić herbaty, jeżeliby na węglach z Anglii sprowadzonych nie była zrobioną".

Jedwabna linia życia wymagała wiele złota. Więc zdobywano je za każdą cenę, nie pytając etyki. Żyło się za złoto rosyjskie, za złupione z dóbr pojezuickich i Rzeczypospolitej kapitały, za wyłudzone donatywy i starostwa wpływami fartuszkowemi uzyskane. Tysiącami szkutów pszenicy polskiej opłacano każdy wybryk fantazyi. Milion złotych polskich wysyłały miesięcznie banki za sprowadzane z Francyi towary, gdy tymczasem chłop jadł chleb z kory i żywił się tłuszczem, który kapał ze świec w czasie tak częstych iluminacyi. Mąki na chleb dlatego tylko nie wystarczało, bo jej używano na puder. Markiza polska, bogata jak księżniczka z 1001-ej nocy, gdy się obrazi na swą ojczyznę, to zakupuje w Paryżu dwa

skrzydła w *Palais Royal* i tam zamieszka. Często zastaw po sześć wsi na rok nie wystarczy, aby wydołać wydatkom. Gdy księciu zbaraskiemu Wincentemu Potockiemu podobał się raz w Paryżu stangret Ludwika XVI. sypnął złotem, przelicytował króla w ordynaryi i zabrał Francuza ze sobą do Warszawy. „Uczta jedna — wołał na Sejmie Wielkim poseł Kiciński — kosztuje więcej, niż wyżywienie roczne familii, powóz przenosi dochód majętności, ozdoba jednej sukni, całej garderoby szacunek. Napełniony kraj frakami, haftami, guzikami, laseczkami, dewizkami...“

I tu może da się dostrzedz jedyna filiacya z epoką poprzednią. Na tem polu spotykają się bratnie dusze nowych i dawnych czasów. Górne zasady bezmyślnej rozrzutności wcielał przecież „Panie kochanku“ w życie już od dawna. Na jedne święta Bożego Narodzenia sprowadza z Rygi do Nieświeża 1.500 butelek szampana, 300 reńskiego, 200 burgunda i 800 funtów kawy; gdy mu braknie gotówki sprzedaje klucz Berdyczowski za 2.000 „dusiów“, a na przyjęcie króla sypie milionami. Albo stary Brühl, który chowa w swej garderobie 800 szlafroków i 1.500 różnych peruk?

Mimo całą wersalską grzeczność, wzięli ludzie rokokowi w spadku po sarmackich przodkach, nie liczącą się z niczem, butną pewność siebie. Książę podskarbi Poniatowski obróci się plecyma do delfina francuskiego, lub zrobi papieżowi, Piusowi VI., awanturę, jakiej Watykan nie słyszał za to, że musi czekać na swą kolej przy audyencyach.

Tajemnicę dusz w stylu rokoko zgłębić trudno. Bo zważmy tylko: kochają nad wszystko rozum, a tak mało są mądrzy; pomimo wielu godzin trawionych przy



NORBLIN: SZLICHTADA NA WIŚLE

toalecie nie lubią czystości i brzydzą się kąpielą. Może najbardziej reprezentacyjnym sprzętem epoki jest *grattoir:* grabki i młoteczek ze złota i kości słoniowej, drogiemi kamieniami zdobne. Do czego służą? A no do uśmiercenia robactwa, które lęgnie się we wspaniałych koafiurach. Cyniczni kpiarze płacz mają na zawołanie. Czytają książki sentymentalne, łzy roniąc nad każdem, zatrącającem o czułość słowem. Niby wrażliwi bardzo i przesubtelni, nie mają wszelako nic zmysłu naturalności. Polskie rówieśniczki pani de Pompadour przenoszą perfumowane kwiaty z porcelany nad zapach rozkwitłej róży.

Lubieżni rozpustnicy piszą osyaniczne wiersze, pełne księżycowej melancholii, zdecydowani materyaliści i sceptycy wierzą święcie cudom każdego szarlatana, na ubitą ziemię wyzwą każdego, ktoby wątpił, że Cagliostro liczy tysiąc lat życia, a nie ma takiego głupstwa, na które by ich złapać nie można pod jednym tylko warunkiem: że ma stempel zagraniczny. Z tem wszystkiem są boleśnie śmieszni.

Na czem że polegała szczególna śmieszność polskiego rokoko, śmieszność bolesna i bezmyślna? Na tem, że wprowadzenie jego jedwabnej linii było zgrzytem i szyderstwem w zastosowaniu do stosunków polskich. Nadwiślańskiemu krajobrazowi nie było wcale do twarzy wśród laurów kulisto strzyżonych. Było rokoko kwiatkiem egzotycznym, przypiętym, zaprawdę, do siermięgi chłopa, mieszkającego w kurnej chacie i było zbrodnią dlatego, że dokonywało się w chwili, w której staczał się w przepaść byt Rzeczypospolitej. Ambasadorzy państw zaborczych byli najgorliwszymi heroldami rokokowej mody, wiedząc, że nią osłodzą polskiemu *high life'owi*

gorycz rozbioru. Rokoko polskie transportowało niewolniczo obcą formę z zagranicy, wierzyło święcie każdemu głupstwu przywiezionemu przez wydrwigroszy. Nie zoryentowało się, że sybaryta francuski podporządkował rzeczywiście wszystko wygodzie życia, gdy w Polsce włożono na szyję obrożę gniotącą nowej mody. Nie można też na seryo traktować ludzi, dla których najwyższym wyrazem *haute volée* było posiadanie stangreta, który czytał, siedząc na koźle, romanse francuskie. Pani hetmanowa Branicka, kazała w pałacu swoim, w Białym stoku, wystawić piece tak kosztowne, jakie mało kto miał w Europie, ale „w piecach palić się nie chciało“, więc pani hetmanowa zimą mieszkać musiała u swych oficyalistów. Księżna generałowa miała sanki luksusowe, opiewane przez wieszczów Warszawy:

Twój powóz wszystkie zgasił, cały złotem błyska,
Siedzi Kupid na dyszlu i grot z łuku ciska!

Cóż, kiedy sankami temi niesposób było się sankować!

Pan de Ségur, wydziwić się nie może, widząc w Polsce niezwykły przepych, ale żadnej równocześnie wygody życia; widząc kontrast najwyższego zbytku magnatów i niechlujstwa szaraczkowej szlachty. „Polacy mają szalone dochody, więc w ich pałacach znajdziesz wszystko, co tylko wymyślono na świecie, eleganckiego i drogiego, ale życia urządzić sobie nie umieją“.

Przypatrzywszy się bliżej człowiekowi polskiemu z końca XVIII. stulecia, trudno go winić nawet, że się nie umiał obronić przed pokusą płynących z Petersburga dukatów, że pozwolił wywozić senatorów na

Sybir i przyjmował w pokorze rozkazy obcych ambasadorów, że nieświadom był zbrodni, którą popełnia. Bengalski ogień rozkoszy zaciemniał im rzeczywistość, a tani szych importowanego luksusu barwił tragiczną codzienność życia. W ich lenistwie i lubieżności przeglądała się, jak w zwierciadle epoka, która najbardziej szare dusze krasiła kwiatem kolorowym. Któżby np. wytłumaczyć potrafił „ostatniemu prymasowi Rzeczypospolitej“, że, spoczywając w swym letnim pałacu, w Jabłonnie, wśród szmeru fontan i w amfiladzie drzew pomarańczowych, w kole swych odalisek, na sofie tureckiej — nie spełnia najwyższych zadań czasu swego i nie zasługuje na miano gentlemana, to jest człowieka, który — wedle „kodeksu życia galantnego“ — rozwiązał trafnie podniosłe problemy życia?

Znamy ich wszystkie bezprawia i niecnoty, wiemy o przekupstwie i zbrodniczej bezmyślności, a przecież żal bierze potępić ich zupełnie, przywieść przed sąd historyi i skazać na infamię. Są niepoczytalni i winy nieświadomi. Płakać będą gorżko, po niewczasie, że „ta, co od morza, aż do morza władła, kawałka ziemi niema na mogiłę“. Ale, gdy im rzucić w twarz oskarzenie Targowicy, mają zaraz w zanadrzu odpowiedź l'abusia Galianiego, który był Mahometem rokoka: „Pięć zmysłów dała natura człowiekowi, aby mu sprawiały rozkosz i ból, ale nie dała mu żadnego dla odróżniania prawdy od fałszu“.

Tenże sam człowiek, gdy go na dwie godziny przed śmiercią odwiedził pewien minister, rzekł: „Nie mogę przyjąć ekscelencyi, gdyż mój powóz czeka, gotów do odjazdu“. Byli ugrzecznieni aż do końca. Marya Antonina, wstępując na szafot, powiedziała

katowi: *„Pardon, Monsieur, j'espère, que je ne vous ai pas fait mal“*, a nasz biskup Ankwicz w takiej samej sytuacyi podał oprawcy złotą tabakierę. Odchodzili z poczuciem winy? Nigdy! Odchodzili dumni na swe dzieło życia, ze słowem Talleyranda na ustach: „Kto nie żył przed rokiem 1789, ten nie ma pojęcia, co znaczy prawdziwa radość życia!“

* * *

„Na schyłku wieku XVIII. mamy salon, ale to jest salon w Polsce, a nie salon polski“ — osądza dobitnie Władysław Łoziński. Życie salonowe z czasów Stanisława Augusta, oderwane od narodowego obyczaju, ujęte było w ciasne granice, a obejmowało tylko najwyższą warstwę. Pod złoconą skorupą dworu i oświecenia chowała się nietknięta jeszcze średniowieczna fizyognomia dawnej Polski. Ludzie z pamiętników Paska, duma królewiąt, serca najpoczciwsze. Rokoko, zabawa magnatów, ledwie tę duszę dawną musnęło, przetwarzał ją natomiast i przebudowywał powoli czas nowy.

A czy można mówić o polskiem rokoko? Czy jest chociażby jedna linia nowa, którą *la Pologne galante* wprowadziła w ten styl życia, panoszący się w XVIII. stuleciu nad Sekwaną, Tybrem i Sprewą, w Trianonie, Cirey i Sans-Souci? Niewolnicze, bezmyślnie niewolnicze tylko naśladowanie. Bujność polskiego rokoka była może bardziej jeszcze rozrzutna i szalona przez to, że mu bujność natury polskiej sekundowała. A w śnieżnych perukach rokokowych głów, takie samo w Warszawie, jak w Paryżu lęgło się robactwo. Rewolucya francuska oczyściła zeń pe-

ruki paryskie, ustawa majowa uczyniła to z głowami polskiemi.

Lecz było w Polsce ludzi wielu, nie kilkudziesięciu, którzy puste formy napełnili treścią, a pod harbajtlami rozumne ukrywali głowy, którzy sprawili, że z rakiet rokoka nietylko dym został i popioły, ale kryształy, po dziś dzień w dyademie cywilizacyi polskiej świecące. Był wielki hetman epoki rokoko, Stanisław August, który choć w części lekkomyślność polską XVIII. wieku przed potępiającym osądem ratuje.



O PIĘCIU BRACIACH I O PANI KRAKOWSKIEJ.

Z nas malowani dziś tylko rycerze,
Szabla ze złota, koło serca pierze.

Naruszewicz.





atka ostatniego króla polskiego miała pięciu synów i dwie córki. Obiecywała sobie po nich wiele i gdyby ambicye pani kasztelanowej miały zostać zaspokojone w całości, to chyba siedm najpierwszych dworów europejskich musiałoby ofiarować korony jej siedmiorgu dzieciom. Była mądra, dumna, obyta we świecie, a nadto obrażona śmiertelnie na „familię“ za to, że jej, chociaż Konstancyi Czartoryskiej z domu, nie dają odegrać wielkiej w polityce roli.

„Wykapana hrabina Terzky z Wallensteina“, jak ją określił trafnie, jeden z historyków, dała za wygraną i poświęciła się wyłącznie wychowaniu dzieci, miała u siebie szkołę dobrego tonu dla młodzieży, zjeżdżającej się tu chyba z całej Polski. Uczono się samych rzeczy oświeconych: jak „ukołysać dzikie w Polakach humory“, jak „obalać sentymenta nieludzkości i grubiaństwa“. Uczono się pewności siebie, sprytu życio-

wego i sztuki błyszczenia wśród ludzi. Madame la comtesse de Genlis wydała w Paryżu krytyczny i rozumowany dykcyonarz etykiety dworskiej, pani kasztelanowa, naocznie zbadawszy życie galantne, wykładała jego tajemnice dzieciom swoim w zapadłym dworze na Polesiu. Z mężem, ojcem Stanisława Augusta, dobrała się niezgorzej. Wiadomo, ile świata pan kasztelan Poniatowski z Karolem XII. przebieżał, wiadomo, że znany był dobrze ze swego sprytu w Europie ten *globetrotter*, *„qui voulait toujours connaitre et croyait toujours reconnaitre tout le monde“*. Trzeba trochę wierzyć Kołłątajowi, gdy uznaje go za jednego z czterech najmędrszych za Augusta III. Tylko dzięki niemu „maman“ Geoffrin tak serdecznie zaopiekowała się dwudziestoletnim Stanisławem Augustem, a wstęp do Wersalu i na salony angielskie miał przyszły król polski przedewszystkiem jako syn swojego ojca.

Ten człowiek, którego Ludwik XV. nazywał swoim przyjacielem, a Stanisław Leszczyński dopuszczał do wielkiej poufałości, umiał poradzić sobie na świecie. Zginęła wprawdzie bez śladu recepta na szukanie złota, jaką dzieciom na łożu śmiertelnem wręczył, ale pozostawił im zato w testamencie swej biografii sztukę gładkiego prześlizgiwania się przez życie.

Chociaż nie pierwszej był pan kasztelan młodości, przecież, biorąc trzecią z kolei żonę, po dwóch bezpłodnych pochowaniu, pomyślał o podtrzymaniu rodu. Miała z nim, jak się rzekło, Konstancya Poniatowska pięciu synów i dwie córki.

Rozliczne wróżby i znaki niebieskie, astrolog szwedzki, paryska chiromantka, korona w ogrodzie wykopana — wskazywały, że Stasiowi królestwo do-

czesne się patrzy, na nim tedy, choć szóstym w szeregu, skupiła się szczególna troska matczyna.

„Matka wyuczyła mnie połowy tego wszystkiego, co zwykle zostawia się obcym nauczycielom“ — wyznaje król w pamiętnikach. Dała mu swoje wszystkie prawdy perfumowane i pudrowane dogmaty. A tylko męskości tchnąć się nie udało w zajęcze serce najmłodszego jedynaka. Był niezgrabny, dziki i chorowity, kiedy po raz pierwszy wyjechał za granicę chłopak szesnastoletni i kupił sobie zaraz w Holandyi obraz Rubensa. Ale zmądrzeje szybko, gdy pojedzie raz drugi i trzeci, zgoli pierwsze, sypiące się wąsy pod nosem, a wskazówki mamusi pouczą go, jak z wojażów ciągnąć korzyści oświecone i „głowę niemi meblować“. Odgadnie kunszta subtelne roboty politycznej przy boku podkanclerzego, zawróci w głowie kuzynce Czartoryskiej, pozna na wylot Anglię i Francyę, uściśnie dłoń delfina' i zamieni nawet słów parę z panią de Pompadour. Księżna de Brancas zachwyci się już wkrótce jego doskonałością towarzyską, a lord Chesterfield, sam lord Chesterfield zaliczy stolnika do swych przyjaciół! Oczy otwierać będą mu się coraz szerzej. Skąpie się po szyję w pustocie Wersalu i w grubym cynizmie Stuartów. Reszty dokona druh serdeczny, Williams, książki uczone i — Petersburg. A kiedy święte puchy niewinności scałuje mu lubieżnie z warg Katarzyna, gdy Piotr przyłapie gacha na zalecankach i za kołnierz przyprowadzić każe — życie nie będzie dlań już miało żadnych tajemnic. Kochanek carowej sięgnie po koronę Piastów gestem pewnym, jak po rzecz słusznie mu się należącą.

Gdybyż była tej chwili dożyła pani kasztelanowa, gdybyż dożyła! Zajęta do końca myślą o wy-

prowadzeniu na ludzi swej gromadki, niejednego zawodu bolesnego doznała z ich racyi. Franciszek umarł młodo proboszczem zaledwie krakowskim, Andrzej wszedł rychło w służby austryackie, a Michaś i Kazio nieraz trosk przymnożyli. Obaj godni prezentacyi!

Pierworodny Kazimierz (1721) szybko pojął zasady matczynego oświecenia i wyrastał leniwie na pasożyta, Bogu ni ludziom nieprzydatnego. Odznaczał się effeminacyą, czyli tchórzostwem wielkiem i stąd pierwsza jego sława: ponoś spoliczkowała go mamusia — niedarmo dla srogości usposobienia „chmurą gradową“ zwana — i to na sali balowej. Potem wymogła na nim pojedynek z Tarłą. Sprawa tyle głośna i tragicznie zakończona nie przymnożyła księciu przyjaciół. Mówiono, że to podstawiony zabójca dźgnął nożem przeciwnika, opowiadano złośliwie, że po pierwszym strzale książę podkomorzy jął krzyczeć: „kocham pana wojewodę“... Naogół śmierć Tarły nie ułatwiła ks. Kazimierzowi karyery, o którą zbytnio nie zabiegał, bo był leniwy, tak dalece leniwy, że mu się nawet nie chciało ról uczyć na teatrach amatorskich. Raz, gdzieś bywał podobno na wojnie sukcesyjnej austryackiej.

Zresztą, jak na oświeconego próżniaka przystało, wysiłków żadnych nie lubił. W głowie umeblowanej pustemi błyskotkami, nie było ani ładu ani składu, i żadnego z tych rysów szlachetnych, które u króla podziwiamy. Może trochę o nim myśli Naruszewicz, gdy powiada:

Nie straszny też to u mnie taki podkomorzy,
Co na hipotenuzę wielki pysk otworzy.

Elekcya młodszego brata, któremu się pilnie wysługiwał, nie dała księciu odrazu brzęczących ko-

rzyści. Jak długo rządzili Polską i królem wujowie Czartoryscy nie miał się co u dworu pokazywać. Próbował wprawdzie młody król w pierwszych miesiącach po elekcyi, urządzał rady familijne na zamku, w których, zarówno wujowie Czartoryscy, jak i bracia Kazimierz, Michał i Andrzej udział brali — ale prędko dał za wygraną. Zajadłość w kłótni doszła tak daleko, że król musiał ostatecznie wyekspedyować podkomorzego z Warszawy. Bawił się przeto w suwerena udzielnego na Spiżu, odbierał na kontraktach cześć monarszą, w robieniu długów nie ustępował koronowanemu bratu, ujeżdżał źrebce w Sokalu, dowodził korpusami berajterów, dostarczał koni dla kawaleryi pruskiej, romansował, polował i „całe szczęście życia położył w marnowaniu czasu“. W czasie konfederacyi barskiej przycicha, wychodząc słusznie z założenia, że ostrożność jest najlepszą cząstką odwagi. Na wszystkiem umiał robić interesa, więc też poszczęści mu się na pierwszym rozbiorze Polski: od obu stron, od Rzeczypospolitej i od zaborców bierze — pomimo protestów — grube odszkodowanie i teraz dopiero pokaże, co umie!

Za granicą weszła dawno w modę mania zakładania fantastycznych ogrodów, o których książki pisano i poematy; tedy ks. podkomorzy zakupił wielki kompleks gruntów pod Warszawą, kopał ziemię przez dziesięć lat wszerz i wzdłuż, sprowadził armie ogrodników, architektów, sztukatorów i tapicerów. Budowała się tak wspaniała przystań książęcego próżniactwa, świątynia rozkoszy niefrasobliwej i zbiorowisko równie dziwacznych, jak niesmacznych pomysłów. Klomby, wyspy, minarety tureckie i chińskie pawilony, sielskie chałupinki i ruiny zamków, łaźnie,

oranżerye, groty i kaskady, wedle wzorów z całego świata pościąganych, rosły, jak grzyby po deszczu. Budowała Czartoryska Powązki i świątynię Sybilii, rujnowała się Radziwiłłowa na Arkadyę, a król majątki topił w Łazienkach — ks. podkomorzy nie chciał być od nich gorszy. Brakło mu wprawdzie gustu wszelakiego i czucia, ale miał za to największą w Polsce ananasarnię, z której 5.000 sztuk rocznie szło na stół książęcy.

Jeszcze większe dziwowiska działy się pod ziemią. Obaczywszy je, podróżnik angielski, William Coxe, języka w gębie zapomina: „Wieczorem — opowiada — dał przyjęcie brat króla we wspaniałym, zdobnym w piękne budynki ogrodzie. Był to wieczór po dniu dusznym bardzo; spacerując po ogrodzie, przybyliśmy wreszcie do groty, w sztucznych skałach wykutej, urozmaiconej źródłami i strumykami. Usiadłem wraz z królem na ławeczce z mchu, a księżyc właśnie zeszedł i upiększył dziwnie tę chwilę. Potem wiodła droga przez kręty, podziemny korytarz, w którym tu i ówdzie lampa słabe siała blaski. Wreszcie dotarliśmy do drzwi drewnianych, jakby wejścia do lichej chatki. Drzwi nagle otwarły się i ujrzeliśmy się we wspaniałej, przecudnie oświetlonej sali. Był to rondel z przepyszną kopułą wedle najpiękniejszej symetryi. Dokoła, w pośród kolumn ze sztucznego marmuru, widziałeś cztery otwarte gabinety, a w nich sofy wygodne i malowidła *al fresco*, przedstawiające tryumfy Bachusa, Sylena, Amora, oraz zwycięstwa cesarzowej Katarzyny nad Turkami. W tem wśród ogólnego podziwu olśnił uszy nasze koncert niewidzialnej orkiestry. Szukaliśmy daremnie, skąd pochodziły tony, gdy na środku sali nakryły się stoły z taką szyb-

kością, że wydały się, jak gdyby zaczarowane. Nigdy nie spędziłem przyjemniejszego wieczoru!“

Jedno tylko miał zmartwienie władca tych dziecinnych zabaweczek, *„le Prince Grand Chambellan de la Couronne“*, który całe szczęście życia położył w marnowaniu czasu. Oto wylęgarnia małp, największe jego ukochanie, ani rusz udać się nie chciała!

Ludzie wieku XVIII. mieli różne manie kolekcyonerskie: zbierali gemmy i osobliwości, wykopaliska i porcelanę, zaś książę eks-podkomorzy kolekcyonował małpy. Skupował je namiętnie po wszystkich menażeryach, lecz bez powodzenia: gryzły się, topiły w podziemnych strumieniach i zdechały, jedna po drugiej.

Pozatem wiodło mu się niezgorzej. Rankiem, umalowany pieczołowicie i wyszminkowany, wyjeżdżał na spacer w nankinowym fraku, na koniu białym, angielskim, z grzywą na zielono ubarwioną. Przed księciem biegł laufer, przybrany w jaskrawe, motyle kolory. Wałęsał się tak godzin wiele, aż do obiadu, spożywanego zazwyczaj w gronie swojego seraju, w którym zawsze aktualna kochanka prezyduje. Długi czas gorszyła się Warszawa jakąś „czarnooką Józefką“, którą, mimo protesty, obwoził z sobą po assamblach i domach magnackich. Używając obficie amorów, zarówno płatnych jak i „gratyskowych“ — miał szczęście przytem i umiał wybierać.

Dość powiedzieć, że pani Grabowska, zanim została metresą królewską, królowała poprzód w grotach na Solcu i cienistych alejach Frascati. Potem — jak świadczy sama pani Geoffrin — panią Lhulier gwałtownie zajął się ks. podkomorzy. Odstąpiwszy królowi Grabowską, rozkochał się znów w głośnej aktorce, słynnej lady Makbet, pani Truskolaskiej, którą odbił

innym adoratorom. Kazał ją portretować nago, jako Wenus i kupił jej raz wannę, „takową woniejącą“, z której woda wylana na ulicę, przez wiele dni jeszcze pachnęła. Nareszcie Truskolaska na zawsze ulokowała się w jego domu i sercu. Jakże wymowna jest ostatnia wola starca, wyrażona w liście do syna podskarbiego, w r. 1793. „Pod błogosławieństwem Ojcowskiem zaklinam WPana... abyś zechciał mieć względy dla niej po mojej śmierci i płacił jej do śmierci co miesiąc po sto czerwonych złotych. Słodziła mi moją starość i z jej przywiązania do mnie miałem jedyną konsolacyę...“

„Nie było — pisze ze zgrozą Niemcewicz — lubieżniejszego człowieka, ani większego próżniaka“. Lecz mimo, że był gładki i dla wszystkich uśmiechnięty, nie lubiano go powszechnie. Również król, który nie jedną „przegryzkę“ na Sejmie przełknąć musiał za sprawki utracyusza i nieraz padał ofiarą intryg starego rozpustnika — odnosił się doń z wielką niechęcią. Polityka nie imała się — na szczęście — pustej głowy ks. eks-podkomorzego, więc w rzeczach publicznych szkodził nie wiele. W czasie Sejmu wielkiego próbował przeciwdziałać reformom, ale nic nie wskórał, jako ośmieszony z kretesem. Dopiero w r. 1792 ocknęło się w nim serce i postanowił się... poprawić. Oświadcza tedy królowi, że, pomimo starości i „decembrzyka“ w kościach — pójdzie do obozu bronić Ojczyzny. Ale nie może tego zrobić, rzecz jasna, sam, bez pani Truskolaskiej, do której się przyzwyczaił. Ona też bronić Ojczyzny pojedzie, ale potrzebuje na to 8.000 czerwonych złotych, bez których nie puszczą jej z Warszawy wierzyciele. Dobry król podpisał weksel braciszkowi, jak zaś potem bro-



MARCELLO BACCIARELLI: KS. PRYMAS PONIATOWSKI

nił Ojczyzny ks. podkomorzy, o tem milczą dzieje. Zabawy ks. podkomorzego przetrwały Rzeczpospolitą. Jeszcze za czasów pruskich (1796 do 1800) bawił się dobrze „dziad zużyty i schorzały“, urządzając z resztek fortuny wystawne podwieczorki, na których Anetka Tyszkiewiczówna gospodarzyła. Bawił się do końca, jak wszyscy ludzie jego czasu, co, śmierci w łóżku nienawidząc, kazali się półmartwi wozić po biesiadach i polowaniach. Choć pobłażliwym, bardzo pobłażliwym bywał wiek oświecenia w sądzeniu ludzi, to przecież ks. podkomorzego potępi surowo. Nie chciał uznać za swoje jego małp, kochanek i ananasów; miał księciu za złe, że, przejąwszy bezmyślnie bujność form rokokowego życia, nie zdołał wlać w nie żadnej treści. I chyba jedyny w całej Polsce Trembecki ośmielił się najstarszego brata królowego nazwać „uwielbienia godnym przyjacielem ludzkości“. Zapomniał tylko dodać, że Heliogabalowskie fantazye ks. podkomorzego opłacała słono Rzeczpospolita.

Najmłodszy z Poniatowskich, Michał, ostatni prymas Rzeczypospolitej, o którym mawiał oszczerczo Fryderyk wielki, że pierwszy wprowadził do Polski chorobę gallicką, miał w charakterze swym właściwości męskie, obce rodowi króla: mocną wolę i twardą rękę. Niestety, z woli owej złe rodziły się często postanowienia, a twarda ręka szpetnych dokonywała rzeczy. Polityk i intrygant urodzony, o wcale znacznych zasobach kultury umysłowej. Nawet pisać i to niezgorzej potrafi, do steru pcha się od samego początku, ile tylko można. Najpierw skromnie przytulony w kilku izbach, na wieży królewskiego zamku, potem w luksusie opływający, w pałacu prymasowskim, przy ulicy Koziej. Chudy i blady, na cienkich, czer-

woną pończochą odzianych nóżkach, równie roztargniony, jak cyniczny, z ulubionem „jakoś“ na ustach, nie byłby wszelako Poniatowskim, gdyby nie umiał sobie życia urządzić i wyzyskać z nawiązką pozycyi królewskiego brata.

„Ksiądz bardziej z namowy, jak wokacyi — powiada o bracie król w pamiętnikach — unikał długo i uporczywie promocyi, właściwych stanowi duchochownemu, a to zarówno przez delikatność sumienia, jak też przez obawę pracy, której nie lubił“. Już więcej przypadały mu do gustu wszelkie modne namiętności. Erosowi służy umiarkowanie, dochowując długo wiary zbyt głośnej kochance, żonie swego marszałka dworu, pani kasztelanowej Oborskiej. Świata widział za młodu dosyć, jako chevalier St. Michel podrożuje po Włoszech i Francyi, skupuje antyki, malowidła, osobliwości. Za swój portret potrafi sypnąć Rafaelemu 3.000 dukatów. Polityki uczy się w szkole niezawodnej, bo jako sekretarz na dworze kanclerza Czartoryskiego. Mówiono także, że dobierał się i on do wdzięków pani Grabowskiej i był ojcem jednego z jej synów. Póki rządzą wujowie, popada w częste z nimi „swary i niesnaski“ i z musu siedzieć musi cichutko, póki nie trafi się gratka nielada w postaci — infuły płockiej. Ksiądz biskup opiekuje się dyecezyą przez lat kilkanaście, ujawnia rozum i duże zdolności, wydaje oświecone listy pasterskie, a wreszcie pracuję przykładnie w komisyi edukacyjnej, jako jej wcale zasłużony członek i prezes. Po usunięciu w r. 1782 obłąkanego Sołtyka, który grał sobie w katedrze wawelskiej na flecie, śpiewając:

Bardzo mi to wlazło w łeb:
Mówią wszyscy, żem ja kiep

ks. Michał obejmuje upragnione oddawna rządy nad owczarnią krakowską, i władnie nią w sposób tak bardzo oświecony, że zacofani krakowianie nazywają go „Józefem II. w sutannie". Zamyka klasztory i kaplice, kasuje domy ubogich i szpitale, tak, że po śmierci ks. prymasa wzbrania się kapituła odprawić mszy za jego duszę. Tymczasem najwyższe dostojeństwo kościelne przypadło w udziale królewskiemu bratu. Został w r. 1784 prymasem, ostatnim prymasem Rzeczypospolitej.

Zapewne w czasach innych gorszącym wydałby się wesoły, zachęcający do rozwodów libertyn na fotelu prymasowskim, ale zważyć trzeba, że we fiolety biskupie przebierali się teraz rozpustnicy najswawolniejsi. Poprzednik ks. Michała, Podoski, więcej interesował się domami publicznemi, niż sprawami Kościoła, a ks. kanclerz Młodziejowski, złodziej sreber koronnych, kochanki swe w klejnoty z monstrancyi przystrajał, aparaty kościelne w karty przedtem przegrawszy. Uczciwszy od Młodziejowskiego miał też ks. prymas nieco więcej godności od ks. biskupa Kossakowskiego i nie byłby, tak jak tamten, dla przypodobania się Stackelbergowi, w ogrodzie Saskim laufra udawał, biegając do mety z jakimś predykantem luterskim. Ks. prymas nie biegał na wyścigi z predykantami, za to czynił na wyścigi to wszystko, czego tylko dusza ambasadorów zapragnęła.

Uderzywszy czołem przed najeźdzcą, zdobył odrazu wpływ i — co znowu nie było tak trudne — począł przerastać króla. „Prymas jest człowiekiem mocnym — zauważa Sievers w swym pamiętniku — kochać nie umie, za to umie nienawidzić. Król lęka się go i często kryje się, gdy robi coś nie po jego

myśli. Gdyby zechciał, mógłby być Mazarinim, ale nigdy de Witem". Niedoszły polski Mazarini brał jednak rosyjskie ruble pełną garścią i wyznawał filozofię pokornej uległości wobec zaborców. „Powinniśmy wszystkie otaczające potencye szanować, a nie obrażać". Dzięki takim maksymom życie ścieli się mu na puchach edredońskich.

Pałac ks. prymasa, jeden z najokazalszych po zamku królewskim gmachów, z dziedzińcem, na którym trzysta pojazdów pomieścić się mogło, posiadał salę balową, dwa piątra zajmującą. Zdobiły ją kolumny i popiersia, meble „nowe, angielskie i wiele obrazów nowszych mistrzów, godnych widzenia".

Przy ulicy Koziej rezydował ks. prymas zimą, w Jabłonnie bawił się latem, w pomysłach wcale nie gorszy od eks-podkomorzego. W szmerze fontan i pyle pachnideł wyszukanych, w przestronnej sali tryumfalnej letniego pałacyku, który później ks. Józef obejmie, chłodził się w dnie upalne. Klomby i gaje pomarańcz wypełniały salę, na sofach tureckich przeciągała się wygodnie warszawska societa. W Warszawie co wtorek i czwartek bywał obiad wystawny, co piątku zaś „cosetta", od 9-tej do 11-tej wieczorem, przybytek najweselszych zabaw o zmierzchu polskiego rokoko. Ks. Józef wywijał kozaka ze słynną z piękności podskarbiną Kossowską, a cała zagraniczna dyplomacya zasiadała do kart. Wist był modną nowością, więc z nabożeństwem patrzano, jak pan Hailes, ambasador angielski, „szlema" udziela Iziartemu, posłowi Hiszpanii, a de Castron, ze Szwecyi, objaśnia tajemnice „robrów" nuncyuszowi papieskiemu, Saluzzo, który grał słabo. Silniejszych „mocyi" szukają „rycerze z Faraona rzeszy", „bastujący" wysoko na wyświęcone asy.

Ulica Warszawy gapiła się też na wspaniałości ks. prymasa, bo jeździł z szykiem. Konny ksiądz, krucifer, z wielkim srebrnym krzyżem w ręku, otwierał pochód. Pięćdziesięciu hajduków z berdyszami — zwano ich nawet „kapłonkami prymasa“ — otaczało karocę, zdobną we wielkie szklane tafle, przeźroczyste, oraz złocone gałki nakształt wazoników. Dwaj biskupi asystowali wewnątrz, czterech lokai prężyło się na pudle. Koni było sześć, białych, z malowanemi na ponsowo grzywami, a w szorach suto pozłocistych. Ks. prymas wychylał się z karocy rzadko, wiedząc, jak bardzo go nienawidzą. Czynny nader w czasie Sejmu wielkiego, wyjeżdżał do Francyi dla zorganizowania wzajemnych stosunków dyplomatycznych, a w Warszawie pokazywany był palcami, jako jeden z najniebezpieczniejszych wichrzycieli przeciw reformom. Udatny sztych, kursujący w czasie obrad, przedstawiał prymasa, jak ciągnie na uździe 12 kasztelanów z oślemi uszami do żłobu ambasadora. Rewolucya kościuszkowska postawiła ks. Michała odrazu na indeksie i rozstał się nagle z życiem, choć był *bien robuste et vigoureux encore.* Prymasowi groził los Ankwicza. Wtedy król, jak mówią, posłał mu truciznę, a gdy zrobiła swoje, kazał za duszę jego odprawić nabożeństwo żałobne. Do pałacu przy ulicy Koziej sprowadził się zaraz feldmarszałek Suworow, zaś po ulicach, Warszawy śpiewano:

Książę prymas zwąchał linę,
Wołał proszek, jak drabinę!

Dwie siostry miał król Stanisław August. Młodsza z nich, to nieodrodna córka swojej matki, „Brańcia“, czyli pani Krakowska. Monarchini białostocka,

najwynioślejsza z wyniosłych, składem twarzy do króla podobna, ale ileż bardziej odeń mocniejsza! Gdyby Stanisław August posiadał jej rozum życiowy, nie byłby nigdy tronu postradał. Jeszcze złotnik o koronie nie marzył, gdy już zrobiła wielką, bardzo wielką partyę. Usidłały wraz z matką starego wdowca, hetmana Branickiego i ożenił się... Splendor niepospolity! aż zgrzytali zębami, chociaż to niby „familia“ — Czartoryscy. Z radością nurzała się *melle Izabelle* we wszystkie splendory starego Gryfity, objęła w posiadanie jego meble, pałace, teatry, klomby i marmury. Małżonka *principis senatus*, a więc najpierwsza w Rpltej dama! Tem wyżej zadzierała głowę, którą zresztą zawsze wysoko nosiła, *grande dame* pełnej krwi, skwapliwa fircynella modnego typu, dla której brygadyer Jakubowski wprost z Paryża przywoził drobiazgi toaletowe. Sama pani Geoffrin nie mogła się dość zachwycić jej obyciem i formami. Chełpiła się przytem cnotliwością, do czasu naturalnie. Bo potem usidła głowę przyjacielowi króla i papieżowi masonów polskich, wojewodzie Mokronowskiemu, poślubi go w tajemnicy i będzie z nim po Francyi słodkie odbywała wojaże.

Z małżeństwa obiecywały sobie wraz z matką wiele: najpierw weźmie się pod pantofel starego Gryfitę, a potem on weźmie koronę polską! Uradzono już nawet i pisano w listach, że, wstępując na tron, przybierze imię — Jana IV.!

Pierwsza nadzieja rozwiała się szybko. Pan hetman nie tylko nie dał się okiełznać, ale jeszcze żonkę wziął w mocne tryby. Mimo to, gdy chodziło w czasie elekcyi o decyzyę: brat, czy mąż? — Brańcia stanęła bez wahania przeciw stolnikowi i z wszyst-

kich sił popierała męża. Ale i te najwyższe ambicye nie spełniły się... Nietylko królem nie został Branicki, ale, pozbawiony przez Sejm konwokacyjny władzy hetmańskiej, uszedł z wojskiem do Węgier w okolicznościach najsmutniejszych. Jeden szwagier zabrał mu koronę, drugi, ks. podkomorzy, ścigał go, acz leniwie z rozkazu Sejmu. Brańcia mężowi towarzyszy. Spędza wiele miesięcy wśród jesiennych niewygód obozu i list za listem szle do króla. Niktby w tych listach późniejszej pani Krakowskiej nie poznał! Prosi, jak tylko umie, pokornie a grzecznie o „przywrócenie komendy hetmańskiej", po francusku ekspli- kuje i po polsku nawet, choć to bardzo nieskładnie idzie; powiada, że schudła i zmizerniała. Niech tylko król pozwoli wrócić hetmanowi, a on „prosto do Białego Stoku poyedzie y tam spokoynie wszystek czas będzie". Ślubuje trzymać się od Warszawy zdala („choćby mię prowadziły *bien des sentiments à Varsovie)*.

I zrazu dotrzymali oboje przyrzeczenia. Gdy Ciołek zajął miejsce na warszawskim zamku, Branicki wstąpił na tron w Białym Stoku.

Wkrótce o „polskim Wersalu" głośno zaczęło być w Europie, Biały Stok leżał na trakcie europejskim. Ktokolwiek z zachodu jechał do Petersburga, musiał zawadzić o rezydencyę Branickich, która stała się z czasem hotelem głów koronowanych. Przepychem wśród ogrodów zachwycał się car Paweł, oranżerye i pomarańczarnie zasłużyły na pochwałę Ludwika XVIII.

Pałac w Białym Stoku, „doskonała miniatura wielkiego dworu", był ósmym cudem świata, tak przynajmniej stwierdza podróżnik Bernoulli i hr. de

Segur, ludzie uprzejmi, a przytem wdzięczni za gościnę, jakiej w Białym Stoku u pani Krakowskiej doznali. Dwa teatry, jeden francuski, drugi włoski grały we dworze naprzemian w budynku, mogącym czterysta osób pomieścić; bluszcze wiły się wokół posągów marmurowych, wystawionych ku czci encyklopedystów francuskich, którzy byli osobistymi przyjaciółmi siostry Augusta. Hotel głów koronowanych słynął z rozrzutności, a cudzoziemscy rezydenci, jak wszędzie w Polsce, tak i tu prym wiedli, grabiąc na wyścigi, co się tylko dało. Gdy wreszcie stary, ostatni z rodu Gryfita kazał rozbić w kawałki swą tarczę herbową i zamknął na zawsze stęsknione za królowaniem oczy — zbladły silnie blaski „polskiego Wersalu“, a Brańcia przeniosła się do Warszawy.

Co się nie powiodło z mężem, udało się z królem: wzięła go w mocne tryby swoich wpływów. Ani śladu z dawnej pokory! Często mu, jak świadczy Sievers — „prawdę niekoniecznie pochlebną rżnęła, więc bał się król i poza jej plecyma sztuczki swoje płatał“. Stała się wkrótce drugą, obok ks. marszałkowej, kobietą, o której wiedzieli ambasadorzy państw zaborczych, że z nią zawsze trzeba żyć dobrze. To też i Sievers i Stackelberg mocno króla lekceważąc, zabiegają pilnie o łaski siostry królewskiej. Trzy razy tygodnia przyjmuje u siebie na obiadach. W niedzielę popołudniu zjeżdża się *toute Varsovie*, bywa wtedy z reguły król od 3-ciej do 7-ej i wszyscy honoracyorzy. Literatura kłania się jej nisko: Krasicki wysławia „dobrodziejkę swoją osobliwą“, Karpiński obiecuje sobie tu więcej, niż po przyrzeczonej protekcyi króla, ks. de Ligne i ks. de Nassau są tu prawie domownikami. Za rządów prymasowskich sio-

stra królewska rozszaleje już na dobre i nieraz w jej małych rączkach zbiegną się wszystkie nici do poruszenia maryonetek rządu i dworu. Zaczęło się od wielkiej kampanii przeciw Tyzenhauzowi, wielkorządcy litewskiemu. Że był mądry i mocny nie lubiał go przeto Petersburg i poszczuł przeciw niemu panią Krakowską. Króla i ks. Michała miała przeciw sobie, ambasadora za sobą, więc Tyzenhauz upadł, a Brancię ten tryumf podniecił. Odtąd rządzi się, jak szara gęś... Depesze do króla otwiera pierwsza, bez pytania, Stackelberga, na którego ma duży wpływ, z powodzeniem inspiruje. Nosi stale sześciocalowe korki u bucików, a z podwórza jej pałacu puszczono pierwszy balon w Polsce w powietrze. Dziejów jej roboty politycznej nie znają jeszcze dobrze historycy, to wszakże pewne, że była ona niczem polska miss Bellamy i swem *bureau d'esprit* okazała dużo chytrej przebiegłości. Przy boku Branci urzęduje zawsze minister do erotycznych i politycznych poruczeń. Po śmierci Mokronowskiego, objął ten urząd skromny a szalenie sprytny Chreptowicz, i, dzięki pani Krakowskiej, zyskał tak znaczny wpływ na Stanisława Augusta. Jak z wojewodą intrygowała przeciw Tyzenhauzowi, tak Chreptowicza używa do obalenia pani Grabowskiej. Bynajmniej nie z powodu o moralność majestatu, tylko dlatego, że woli w królewskiej *chambre à coucher* widzieć sobie powolną metresę. I tak na intryżkach tych czworga: prymasa i ambasadora, Branci i Chreptowicza, którzy „gryźli się nawzajem o panowanie absolutne nad królem i rządzenie w nim w najmniejszych partykularnościach“ — zbiegły ostatnie przed Sejmem Wielkim lata na królewskim dworze.

O Brańci mówiono w Polsce niedobrze. Złośliwy Węgierski zarzuca jej w „Portretach pięciu Elżbiet“, że jest skąpa i ma długi języczek, że „miłości, ni przyjaźni nie zna jej dusza“ i „nikt, oprócz braci, serca jej nie wzrusza“ — ale te zarzuty fraszką były wobec zarzutu Niemcewicza. Ten oskarżył panią Krakowską o rzecz najcięższą: oto, że wraz z siostrą swoją i wojewodziną Podolską należała do rzędu owych „kwoch starych, które w czasie Targowicy słabego króla z drogi powinności zwróciły!“ Ponoś dużo i pięknych butonów brylantowych przesłał Branci za to Bułhaków w imieniu wdzięcznego imperyum rosyjskiego... Mimo to, po ostatnim rozbiorze, przycichła i „zmizerniała mocno“.

Jedyną siostrą pani Krakowskiej była w o j e w o d z i n a P o d o l s k a, która poślubiła kolejno dwóch ordynatów Zamoyskich, Klemensa i Jana Jakóba. O wojewodzinie wiedzą ekspensa szkatuły królewskiej równie wiele, jak o reszcie rodzeństwa. Romantyczka i sawantka podróżowała dużo po świecie, a „cudzoziemskie akcenty miłosne“ przypadały jej wcale do smaku. Awanturniczy labuś, ks. Renard, jest jej nieodstępnym towarzyszem, tak, jak Stackelberg, serdecznym przyjacielem. Sztukami pięknemi interesuje się mocno, a pasyę tę dziedziczy po niej córka, pani Mniszchowa. „Opisy podróży Mamy do Niemiec — tak pisze córka do matki — są bardzo zajmujące. Nie ma czego żałować, że Mama nie widziała Bulli złotej; ma to być księga gruba, zakurzona i brudna. List oryginalny Henryka IV., jaki udało się dostać pani Sewerynowej, stokroć więcej wart...“ Widzimy tedy, że obie panie są z tej szkoły modnej, którą Sybilla Czartoryska tworzy w Puławach, a ks. Radzi-

wiłłowa w Arkadyi. Ks. generałowa nagabywała Russa w Vevey, pani Podolska składa wizytę znakomitemu przyrodnikowi, Buffonowi, a „najszczęśliwszą chwilą życia“ nazywa dzień, w którym udało się jej nabyć obraz Greuze'a. Dwór w Wiśniowcu, gdzie obie z córką mieszkają, błyszczy oświeconą cywilizacyą. Monsieur Dillon opowiada tu o swych podróżach do Grecyi i Egiptu, kawaler de Maisonneuve wystawia sztuki Woltera, a ks. de Ligne czyta królowi wyjątki ze swych pamiętników.

Ot i cała *parfaitement bonne compagnie*, której bujne i lekkomyślne nakazy życiowe żyć będą także w drugiem pokoleniu. Bo i trudno o bardziej stylową figurynkę z epoki rokoko, jak nią był ks. podskarbi, Stanisław Poniatowski, jedyny syn podkomorzego, ukochany faworyt króla. Natura bogata, fantastyczna, zawadyacka. Po królu najinteligentniejszy z Poniatowskich, a przytem człowiek solidny. Nawet niechętny im wszystkim Niemcewicz zaświadcza: „Nic przeciw uczciwości charakteru jego powiedzieć nie można“. Studyował w Cambridge i Oksfordzie, a Włochy ukochał nad wszystko. Na dworze warszawskim gra rolę niemałą i wybija się ostro wśród otoczenia. Profilem kulturalnym i pomysłami. Założył szkołę muzyki w Warszawie, uwłaszczył pierwszy włościan w swych dobrach, gromadził przewspaniałe zbiory egzotyczne i kochał się w chińszczyźnie. Król kieruje naprzód jego wychowaniem, potem przeznacza go do spraw wojskowych i daje urząd generał-lejtnanta wojsk polskich. Widząc, że Katarzyna otacza łaskawą sympatyą bratanka, dokłada Stanisław August starań, by go uznała jako następcę tronu. Plan się nie powiódł, na pocieszenie dobrotliwa caryca proponuje ks.

podskarbiemu aby razem z nią — opracował wydanie Homera z tekstem greckim i rosyjskim, oraz rycinami, „robionemi wedle najpiękniejszych greckich kamei“. Po rozbiorach przenosi się na stały pobyt do Włoch, gdzie zasłynie wkrótce, jako najpierwszy zbieracz i epuzer. Pani Geoffrin przepowiedziała mu to dawno, pisząc: „Jest piękny i kształtny, a więc potrafi utrzymać sławę piękności Polaków“. W swej willi rzymskiej, przy via Flaminia, gromadzi kolekcyę obrazów, rzeźb i kamei milionowej wartości. „Wspaniały bez zbytku, oszczędny bez chciwości“ zasłynie wkrótce na całym kontynencie: jego obligi na giełdzie amsterdamskiej mają lepszy kurs, niż weksle wielu głów koronowanych. Przeżyje wszystkich swego rodu († 1836), głośny też ze swych awantur z papieżem, oraz małżeństwa z kucharką.

Jak bardzo lekceważył sobie ludzi, o tem mógłby wiele powiedzieć Wojciech Bogusławski. Było to jeszcze w r. 1784, gdy go książę zaprosił do Grodna wraz z całą trupą, aby dawał przedstawienia w czasie Sejmu. Pomimo mrozów trzaskających jedzie Bogusławski do Grodna, ale cóż się pokazuje? Grać nie można, bo ks. podskarbi rozmyślił się w tym czasie, kazał teatr rozrzucić i urządzić w nim „rajtszulę“ dla „kusych Angielczyków“.

A któżby odgadnął, że jest bratem stryjecznym — ks. Józefa! Polski Bayard i dziwny rycerz z epoki rokoko wyrosły, stał się wyrodnem dzieckiem familii *d'arte* i jakże bardzo wyłamał się z pod nakazów babuni. Był jeszcze Poniatowskim, gdy hucznie bawił się w Wiedniu i pod Blachą, ale przestał nim być, odstrychnąwszy się od Targowicy, mimo przezorną radę króla: „Pamiętaj, że przedewszystkiem

trzeba zapłacić długi, moje i twoje!“ Przestał nim być, Poniatowskim, gdy... zginął nad Elsterą. *Fi donc!* Ponoś wyciągnięto go z nurtów rzeki bez peruki i bez faworytów, a świetny mundur krew brzydko poplamiła. *Savoir vivre* babci Poniatowskiej w Rykach takich ewentualności, jako żywo, nie przewidywał!

Wyrodna, zaprawdę, wyrodna latarośl rodziny, która brak moralności zastępowała fantazyą, próżniactwo gestem rozrzutnym, a nicość kryła szychem kolorowym. A jednak — można osądzać ostro Poniatowskich, lecz przyznać trzeba: utrzymali się z gorliwością, godną lepszej sprawy — w stylu epoki. Rokoko polskie nie miało gorliwszych nad nich chorążych!



podskarbiemu aby razem z nią — opracował wydanie Homera z tekstem greckim i rosyjskim, oraz rycinami, „robionemi wedle najpiękniejszych greckich kamei“. Po rozbiorach przenosi się na stały pobyt do Włoch, gdzie zasłynie wkrótce, jako najpierwszy zbieracz i epuzer. Pani Geoffrin przepowiedziała mu to dawno, pisząc: „Jest piękny i kształtny, a więc potrafi utrzymać sławę piękności Polaków“. W swej willi rzymskiej, przy via Flaminia, gromadzi kolekcyę obrazów, rzeźb i kamei milionowej wartości. „Wspaniały bez zbytku, oszczędny bez chciwości“ zasłynie wkrótce na całym kontynencie: jego obligi na giełdzie amsterdamskiej mają lepszy kurs, niż weksle wielu głów koronowanych. Przeżyje wszystkich swego rodu († 1836), głośny też ze swych awantur z papieżem, oraz małżeństwa z kucharką.

Jak bardzo lekceważył sobie ludzi, o tem mógłby wiele powiedzieć Wojciech Bogusławski. Było to jeszcze w r. 1784, gdy go książę zaprosił do Grodna wraz z całą trupą, aby dawał przedstawienia w czasie Sejmu. Pomimo mrozów trzaskających jedzie Bogusławski do Grodna, ale cóż się pokazuje? Grać nie można, bo ks. podskarbi rozmyślił się w tym czasie, kazał teatr rozrzucić i urządzić w nim „rajtszulę“ dla „kusych Angielczyków“.

A któżby odgadnął, że jest bratem stryjecznym — ks. Józefa! Polski Bayard i dziwny rycerz z epoki rokoko wyrosły, stał się wyrodnem dzieckiem familii *d'arte* i jakże bardzo wyłamał się z pod nakazów babuni. Był jeszcze Poniatowskim, gdy hucznie bawił się w Wiedniu i pod Blachą, ale przestał nim być, odstrychnąwszy się od Targowicy, mimo przezorną radę króla: „Pamiętaj, że przedewszystkiem

trzeba zapłacić długi, moje i twoje!" Przestał nim być, Poniatowskim, gdy... zginął nad Elsterą. *Fi donc!* Ponoś wyciągnięto go z nurtów rzeki bez peruki i bez faworytów, a świetny mundur krew brzydko poplamiła. *Savoir vivre* babci Poniatowskiej w Rykach takich ewentualności, jako żywo, nie przewidywał!

Wyrodna, zaprawdę, wyrodna latarośl rodziny, która brak moralności zastępowała fantazyą, próżniactwo gestem rozrzutnym, a nicość kryła szychem kolorowym. A jednak — można osądzać ostro Poniatowskich, lecz przyznać trzeba: utrzymali się z gorliwością, godną lepszej sprawy — w stylu epoki. Rokoko polskie nie miało gorliwszych nad nich chorążych!



DZIEŃ KRÓLA POLSKIEGO.

Ten człowiek pod wielu względami
liczy sto lat, a pod wielu dziesięć.
Katarzyna II. o Diderocie.



MARCELLO BACCIARELLI: PANI KRAKOWSKA





rzykazane było w etykiecie dworskiej, iżby król Jegomość przez sześć godzin na dobę snu krzepiącego zażywał. Pan Hofman, najpierwszy kamer-lokaj, miał sobie za obowiązek uważać pilnie, o której godzinie zasypia majestat, aby w przeciągu godzin sześciu zapukać do sypialni nazajutrz. *Octo pigri dormiunt, qui nulla negotia curant*, powiedziano w starożytnem przysłowiu, a Stanisław August, dziwny wyjątek w stuleciu oświeconych leniuchów, przywykł zarówno do niezwykłej pracowitości, jak i do niepróżnującego próżnowania.

Zaledwie słońce wejrzało na taras zamkowy a już blaski jego złote wypełniają sypialnię królewską: barwami tęczy goreje szklany parawan, otaczający łoże króla i kwitnąć zdają się kwiaty, co zdobią pekin biały na obiciach ścian... Wówczas budzi się król ze snu, odrzuca piernat z zielonego grodeturu i na czczo filiżankę bulionu wypija. Przez całą noc gotowano ów bulion. Osobny kucharz kładł w mały rondel ka-

wałki mięsa wszelakiego i zwierzyny, dodawał mocnych korzeni i na wielkim ogniu gotował, dopóki nie ostała się filiżanka jedna, a posilna wielce. Czasami do łóżka już podają królowi biureczko miniaturowe, *bonheur du jour* i tak, leżąc, załatwia monarcha pilna korespondencyę.

Gdy paryski pendul pana Gugenmusa ósmą godzinę wydzwoni, już króla w łożu niema. W nocnym jeszcze przyodziewku, rozzuty jeno z chustki białej, indyjskiej, która włosów przez noc chroniła, przyklęka na adamaszkowem genuflektorium przed Madonną Battoniego, modli się chwilę, potem w czapce-wolterówce idzie wolno do termometrów i barometrów, zaczem kwotę pewną przesyła do szpitala Dzieciątka Jezus, iżby dobroczynnością dzień rozpocząć. W tym czasie nie przyjmuje nikogo. *Les petites entrées*, które lubiła tak bardzo Marya Antonina, udzielająca audyencyi w sypialni swej w Trianonie, były w Warszawie rzadkością.

Chyba, gdy poczta dnia tego szczególnie ważną się zdaje, to ją przynosi do łóżka p. generał Komarzewski; ma tu wstęp również Imć Becker, lekarz nadworny, by zapytać, czy pedogra nie dokucza. Często Ryx wszechwładny, lub też przy pilnej okazyi przyjaciel króla nieodstępny, szef kancelaryi „dziaduś" Ogrodzki, co głowę miał w kształcie stożka, a serce najlepsze w Polsce i wszystkich ludzi w Rzeczypospolitej znał z fizyognomii, tytułu i nazwiska. Czasem, na utrapienie dworaków, król bardzo wcześnie już bywał gotów z toaletą i przyodziany całkowicie. „Położyłem się — narzeka w swym pamiętniku bibliotekarz króla, Marek Reverdil — spać wczoraj o północy, a dziś byłem już o 9-tej ufryzowany i ubrany

galowo. Jego Królewska Mość również ubrany był już w swoim gabinecie".

Nareszcie, około godziny dziesiątej z rana, rozpoczynała się najmilsza dla galantów uroczystość dnia, najważniejsza czynność wieku owego, w którym „sędziowie parlamentu, prawniki, doktory, nie są, jak tylko puklów i harbajtlów wzory".

W przylegającej do sypialni ubieralni, kitajką płomienną wybitej, dokonuje się ceremonia, około dwu godzin trwająca. Szedł tam król, odziany jeszcze wygodnie *en robe de chambre*, którą tu odrazu podwłośnikiem, czyli pudermantlem okrywają. Siadał cierpliwie w krześle *de commodité* z uszami i materacem, a dwóch fryzyerczyków, w pałąk zgiętych, rozpoczyna pracę. Podają mu najpierw perfumy nieco, którą zlekka twarz skrapiał, (mycie wodą zdrowiu szkodziło). Wszystko dzieje się odtąd, jak na sztychu Watteau, czy Chodowieckiego, gdy gotowalnię kobiecą wyobrażają. Bo toaleta wytwornego galanta, (a na to miano ostatni król polski w pełni zasługiwał) nie różniła się niczem od kobiecej. Nakryta muślinem białym, w pasy i kwiaty, niby ołtarz w koronki zdobna, u dołu falbaną opasana, była meblem tryumfalnym wieku oświecenia. Płyta zwierzchnia po podniesieniu na trzy rozdziela się części: w środkowej zwierciadło, po prawej ręce garnitur słoików porcelanowych, białych, w niebieskie kwiatki, po lewej szczotki i kryształowe miseczki.

Obok na komodzie paryskiej *à la Régence* „białem i czerwonem drzewem wykładanej", stoją w rzędzie długim flakony, nalewki i miednice, pudry, maście i pachnidła. Smary przedziwne na język, iżby mile słowo z ust płynęło, esencya niezawodna na

plamy wątrobiane, mleczko kosztowne *pour corriger le teint*, młoteczki srebrne i gratoiry do uśmiercania insektów natrętnych w koafiurze, nareszcie szminki wszelakie, których w wieku XVIII. używać wolno było jedynie ludziom z towarzystwa, oraz maluchne muszki z aksamitu, które przylepi się po skończonej toalecie na policzku.

Pracują pilnie fryzyerczyki, niedarmo z Paryża sprowadzeni mistrze w swym fachu. Podobno w doborze fryzyerów wybredniejszy król bywał, niż w doborze mężów stanu i szczęśliwszą miał w tem rękę, dlatego stan fryzury Jego królewskiej Mości był, niestety, lepszy nierównie od stanu Rzeczypospolitej. Przyroda obdarowała króla włosem bujnym i obfitym, tak, iż podziw budził zawsze swą naturalną, rzadką w XVIII. wieku fryzurą *à la nouvel Adonis*. Później bliznę, pozostałą po zamachu z r. 1771, przykryje małą peruką, a gdy lat z czasem przybędzie i przerzedzą się bujne pukle, wtedy już może łacniej upodobniły się rzeczy do słów satyry Niemcewicza, w której to:

„ . . . sługa przez misterną sztukę
„Żółtkiem na czole przylepia perukę,
„Trzy piętra puklów buduje wokoło,
„Potrząsa pudrem i obrzyna czoło,
„A kręcąc w trąbkę koniec harcapika
„Z starego dziada utworzył młodzika".

Czesano tedy włosy królewskie kunsztownie w pukle, we dwa rzędy, sześć po obu stronach, jeden nad drugim, tedy razem dwanaście w *ensemblu*, potem piżony układały się wzorzyste, oraz katagon u tyłu, okręcony czarną kitajką z kokardą. W tym ostatnim szczególe tkwiła cała odrębność mody ro-

kokowej, bo tylko ludzie starej daty pocili się w ciężkiej peruce z kędziorami, elegancik wieku oświecenia dbał pilnie o to, by nosić na karku główkę kształtną i foremną.

By nie nudziło się pomazańcowi w czasie fryzowania, rozlegał się wraz z chrzęstem grzebieni w garderobie głos lektora, czyli „czytelnika". Był nim zrazu uczony ksiądz Albertrandy, potem przez długi czas ksiądz Gawroński. Czytał królowi najpierw nudną, ale krajową gazetę ks. Łuskiny, z kolei „Gazette de Leyde" (bo miała wieści dobre ze świata i z Warszawy dopisy), nierzadko kroniki stare, ba nawet dzieła astronomiczne.

Gazet najrozmaitszych było w gabinecie królewskim istne zatrzęsienie: paryskie, badeńskie, hamburskie, lejdejskie, wiedeńskie, wszystkie pochłaniał król z ciekawością. Niektóre umyślnie extra pocztą sprowadzano, jako to naprzykład biuletyn zgromadzenia notablów francuskich, aktualnie raz na tydzień ukazujący się, albo ową sławną, rękopiśmienną korespondencyę encyklopedysty Grimma, która była *dernier cri* wieku oświecenia i przynosiła urywki z niedrukowanych jeszcze dzieł Woltera. Lektorów była w ciągu lat kompania doborowa. Księdza Gawrońskiego zastępował często pan Welke, książki polskie czytywał Feliks Oraczewski, francuskie Łuba (ten sam, co po Paryżu z Trembeckim się awanturował), włoskie Camelii, niemieckie słynny obwieś i awanturnik przez króla tolerowany — Corticelli. Szczególnie na to król baczył, ażeby każdy lektor wysławiał się w nienagannym akcencie cudzoziemskim. Nie sama tylko lektura uprzyjemniała trudy toalety. Nierzadko Naruch, przyjaciel króla ukochany, o ile powstał już był ze swego

plugawego na wieży legowiska, przybiegał tu z nowiną, czasem Trembecki się pojawił, a nawet księdza biskupa Krasickiego widziano w gabinecie kilka razy. Gdy Casanova przybył do Warszawy, donosi zaraz w swych pamiętnikach: „Prawie codziennie chodziłem do ubieralni króla, gdzie go czesano i rozmawiałem z panami, którzy się tam gromadzili, aby go zabawiać“.

Urzędujący szambelan zapisywał tymczasem w komnacie opodal audyencye partykularne i baczył na suplikantów, których ciżba gromadziła się wielka w oczekiwaniu, że około południa król będzie przechodził przez garderobę do katedry. Korytarze zamkowe urządzono bowiem tak wygodnie, że król mógł ze swoich pokojów przejść prosto do loży w kościele. Czekający zachowywali się wcale nieprzyzwoicie, czem się mocno gorszy podróżnik niemiecki Szulc w r. 1792. „W przedpokojach króla — powiada on — często można spotkać ludzi w ubiorze zaniedbanym i brudnym. Kłócą się tu, wadzą, chodzą, pobrawszy pod ręce, kaszlą, śmieją się i hałasują, robią co chcą i wrzawę podnoszą, jakby w jakiem publicznem miejscu“. Gdy te szmery z antyszambry dochodziły coraz głośniejsze, wtedy ksiądz Camelli — bywało — przerwie czytanie, wejdzie pomiędzy suplikantów z miną ostrą i nuże upominać... kanarki w klatce na ścianie, iżby zachowywały się przyzwoicie, bo nie przystoi przeszkadzać królowi. Lecz tej aluzyi nikt rozumieć nie chciał...

Tymczasem toaleta zbliżała się ku końcowi. „Bleiwasem“ polerowano twarz najjaśniejszą, dokładnie codzień z zarostu goloną, muszka z aksamitu dodawała rumieńcom uroku, oczy liliową szminką pod-

kreślone, nabierały słodkiego ognia. Dokończyć dzieła miał puder i puch łabędzi.

Wielki marszałek koronny i sławny wytworniś, Rzewuski, obmyślił sposób osobny dla pudrowania osoby królewskiej, a był on taki: w przylegającej do garderoby komórce wytrząsali hajducy puder łabędzi z wielkich worów. Gdy już wypełnił gęsto całą komórkę, wtedy, na chwil parę, wchodził do środka król, pogrążał się na moment w chmurach pudru i wnet wychodził — nienagannie ubielony, aby się znowu oddać w pieczołowite ręce czekających z szatami kamerdynerów.

W chwilę później majestat jaśniał w całej okazałości, takiej, jaką do dziś lśni na portretach Bacciarellego. Miał frak aksamitny à la Pompadour, bortami złotymi obszyty, guziki wokół brylantowe i taką gwiazdę na środku. Biały atłas złoto haftowanej kamizelki spływał w tonie z żabotem białym jedwabnym, w którym tkwi szpilka złota i misterny zegarek wielkości srebnika. Spodnie białe racymorowe, takież pończochy jedwabne i trzewiczki z różowemi talonami. Pod pachą trzymał kapelusz trojgraniasty płaski, przy boku szpadę w pochwie białej pergaminowej, zaś w lewem ręku tabakierkę, z której patrzyła Wenus Tycyanowska, emaliowana.

W majestacie dorównywał Ludwikowi XV., w elegancyi sprostał nawet Jerzemu IV., którego nazywano „pierwszym gentlemenem Europy“, a może nawet i pierwszemu dandysowi świata, temu co w następnej epoce obejmie rządy, a zwać się będzie Jerzym Brummelem. Cokolwiekbądź mówiono o kwalifikacyach królewskich Stanisława Augusta, to pewna, to dopełniał on doskonale kondycyi uchwalonej na sejmie

warszawskim w maju 1764: „Król polski winien być młody, czerstwy oraz pięknej i dobrej postawy“.

Wiedział o tem król Staś, zaczem chwila obejrzenia się w zwierciadle paryskiem o 6 taflach była jedną z najmilszych w dniu. Znał najdokładniej swe awantanże i braki. Wiedział, że wszystko w nim jest odpowiednie, a ułożenie jego i aparycyę stolnika chwalił nawet sam Horacy Walpole.

„Byłbym zadowolony z mej postaci — wzdycha w swych pamiętnikach — gdybym był o cal wyższy, miał nogę kształtniejszą, nos mniej orli, biodra niższe, wzrok bystrzejszy i bardziej widne zęby“. Zapomniał dodać o zbyt szerokich ramionach i za krótkich nogach, co powszechnie uważano. Zato malowniczo wycięte usta i lazurowy odcień rumieńców, słodycz oczu i dystynkcya ruchów sprawiały ostatniemu królowi Rzeczypospolitej dużą przyjemność, ilekroć przeglądnął się w zwierciedle.

Dopełnić toalety miały jeszcze drobiazgi, któremi cały stolik był wypełniony. Wiemy jak bardzo przepadali za tem ludzie wieku oświecenia i jak sobie pokpiwał Zabłocki:

„Każda moda z kaprysu głupia jest i lekka.
„Tabakierka, pulares, etui, lornetka
„Wódka pachnąca, grzebyk, nożyczki, szczypczyki!
„I żyd co z kontrabandą zmyka przed strażniki,
„Nie więcej koło siebie mógły natkać gratów“.

Za przykładem francuskim kochał się w drobiazgach król Stanisław August, a idąc śladami króla napychali sobie nimi kieszenie eleganci warszawscy tak, że „wieczorem przy rozbieraniu się ledwie wzrok mógł objąć wyładowany z ich kieszeni

towar". Król prócz koniecznej dla krótkiego wzroku lornety i perspektywki — opowiada dokładny pamiętnikarz Magier — nosił po różnych kieszeniach swoich wiele jeszcze sprzętów potrzebnych sobie, jako to: łokieć zsuwany pięknej roboty, cyrkiel, ołówek, „suwenirek", pudełko na cukierki i inne, drewienka do zębów, termometer mały, „sal volatile", gdyż ulegał konwulsyom, kalendarzyk, scyzoryk i wiele wszelakich innych rzeczy".

Gdy wszystko w porządku uroczyście dokonane zostało — wkracza do komnaty krokiem dystyngowanym naczelny kamerdyner królewski, starosta Piaseczyński pan Ryx i dopełnia jedynej funkcyi ze swym urzędem związanej: przewiesza królowi Jegomości niebieską wstęgę Białego orła z prawego ramienia na lewy bok, zaczem z ukłonem posuwistym obwieszcza, że toaleta Jego królewskiej mości króla Rzeczypospolitej, Wielkiego księcia Litwy i księcia Kurlandyi aktualnie jest przysposobiona i gotowa.

Ustroiwszy się w uśmiech łaskawy dla poddanych wkraczał król Jegomość na pokoje i rozpoczynał audyencyę. Były audyencye ogólne i partykularne. Do ogólnych każdy szlachcic miał zawsze prawo, (nie potrzebował, jak na dworze francuskim, dowodzić papierami heraldycznymi, że szlachectwo jego sięga roku 1400) w partykularnych brali udział cudzoziemcy i suplikanci w szczególnie ważnych okolicznościach. Dużo czasu zabierały kobiety; drzwi się nie zamykały od nich, wiedzących, że król Jegomość wielce białogłowom powolny. Tedy suplikowały bez końca: ta by kochanka swego umieścić w assesoryi, tamta synowi chce drogę utorować do skarbu, trzecia prosi o protekcyę w komisyi edukacyjnej. Czwarta, piąta

i dziesiąta po to tylko przyb yły, aby kochankowi stu żon przypatrzeć się z bliska. A było się czemu przypatrywać! W czasie audyencyi rozbłyskał w pełni urok i splendor osoby królewskiej. Najzaciętszych przeciwników i wrogów śmiertelnych zjednywał król przemiłem spojrzeniem, form gładkością, obyciem i słowem aksamitnem. Niedaremnie był jednym z najpiękniejszych kawalerów swego wieku. Posłuchajmy tylko co mówią ci, którzy powracają z audyencyi i przed chwilą króla widzieli. Nieskończony szmer zachwytów i kraśna wiązanka superlatywów.

„Król polski jest istotą tak nadzwyczajną i o tylu przymiotach, że pisząc o nim muszę popaść w przesadę pochlebstwa!“ — woła podróżnik Bernoulli. „Nawet i bez blasku korony musiałoby się nazwać Poniatowskiego jednym z najmilszych i najgrzeczniejszych kawalerów Europy!“ — wyznaje nieskory do zachwytów Anglik Wiliam Coxe. A generał Coccei ledwie przybył, cóż pisze do przyjaciela? „Wszystko co Panu mówiono o królu nie dorównywa rzeczywistości. Trudno być przyjemniejszym od niego Błogosławię chwili, w której zdecydowałem się pojechać do Polski!“ Wyniosła milady Craven, sarkastyczny i złośliwy Bernardin de Saint Pierre, Giacomo Casanova, który co najpiękniejsze chyba biusty kobiet kontynentu oglądnął, ambasadorzy Engelhardt, Heyking i nawet cyniczny Sievers, arbiter elegantiarum ks. de Ligne, podróżnik Biester — wszyscy piszą się na okrzyk Szulca: „Delikatniejszej ręki i ust składniejszych nie widziałem w życiu“ — wszyscy wtórzą polskiemu pamiętnikarzowi Moszczeńskiemu, który wyznaje: „Żeby kto chciał wybrać grzeczniejszego kawalera dla bawienia kompanii w salo-

nie, trudnoby znaleźć". Dodajmy jeszcze do bukietu komplementów czułe słowa Katarzyny zawarte w listach miłosnych, przypomnijmy lakoniczny aplauz Józefa II.: *Le roi gagne a être connu*, a będziemy święcie przekonani, że gdyby gładkie lica i układne exterieur o wszystkiem stanowiły, Stanisław August Poniatowski byłby najmożniejszym monarchą pod słońcem!

Audyencye przeciągały się czasami długo. W wypadku szczególnie ciekawej rozmowy król odchodził do przyległej komnaty i albo sam zapisywał, albo też dyktował dokładną treść dyalogu. A gdy ostatni suplikant opuści pokoje, zjawi się wtedy pan generał Komarzewski z pocztą, z którą następnie pójdzie do ambasadora, dalej regent kancelaryi Ogrodzki przedłoży sprawy bieżące w referacie, a marszałek dworu przedstawi raport o sprawach królewskiego domu. Pierwszym wszakże nad wszystkich, któremu król ucha najchętniej pozwala jest maestro Bacciarelli. Wiedzą dworacy, że król przenosi *les beaux arts* nad wszystkie inne sztuki, a więc i sztukę rządzenia. Zaczem sprawa obrazu Rembrandta albo szkiców nowego plafonu w sali rycerskiej ważniejsza jest nad program sesyi sejmowej, albo protokół obrad Rady Nieustającej.

Przed obiadem był spacer w programie. Czterech ułanów asystuje karecie, jedzie adjutant i dwóch paziów, a wewnątrz przy najjaśniejszej personie pan generał Komarzewski z urzędującym szambelanem. W dni uroczyste inaczej, król jedzie w złoconej karocy, wśród tafli kryształowych przeźroczystych, sam jeden siedzący, a dwa geniusze trzymają w ręku koronę. Rzadko, ale przecież czasem widywano Stanisława

Augusta konno jadącego ulicami. Ubierał wówczas ulubiony mundur Szkoły kadetów, niebieski z zielonymi wyłogami. Gawiedź z uszanowaniem przyglądała się monarsze, a tylko zły Fredericus w swoim Poczdamie słysząc o kadeckim mundurze chichotał zjadliwie: *C'est vraiment un roi à l'école!* Wyjątkowy już zgoła prospekt wydarzył się podróżnikowi Szulcowi: „Widziałem raz — opowiada — jak król w pończochach i trzewikach, z kapeluszem trójgraniastym pod pachą mustrował gwardyę narodową!"

Wracając ze spaceru wstępuje król do ambasadora, lub Lulierki, gdzie często damy zgromadzone czekają, chętniej jeszcze wizytuje malarzy zagranicznych, którzy na mieście mają swe pracownie, odwiedza fabryki sukna, jedwabiu i wosku, ogląda budujące się pałace i szkoły komisyi edukacyjnej, wizytuje korpus kadetów i obserwatoryum, rozmawia z mędrcem i cieślą, z bielnikiem płótna i wierszokletą.

Wraca prościutko do gabinetu, gdzie nowy sznur konsyliarzy i nowe stosy trosk. Zajęty nieustannie. „Był to — opowiada ks. Kalinka — jeden z najpracowitszych królów polskich. Sesye z ministrami, Radą nieustającą, rozmowy z ambasadorami, posłuchania dawane swoim i obcym zabierały mu znaczną część dnia, a w czasie sejmowym i dzień cały".

Im bliżej południa, tem więcej życia na zamku, a karet danglowskich na dziedzińcu. Zrazu, w pierwszych latach panowania zwyczaj był ustanowiony, że z uderzeniem godziny 12-tej zjeżdżała do zamku „familia": Ks. kanclerz i wojewoda ziem ruskich, strażnik Lubomirski i pan Zamojski, oraz wszyscy czterej bracia królewscy. Ale nie długo trwała idylla. Wyniosła

duma stryjów królewskich, którzy panów braci przez ramię traktowali, zaciekłe kłótnie i zajadłe intrygi położyły koniec konferencyom.

Tymczasem imperator trojga kuchen *monsieur* Tremo wydaje ostatnie rozkazy. Doglądał osobiście rożna, na którym piecze się „królewska zwierzyna *vulgo* baranina", podlewał sosy maderą, oczyszczał ostrygi i sosy przyprawia korzeniami, a zamek cały czeka niecierpliwie na hasło ostateczne. W sali recepcyjnej zgromadzili się już panowie, zaszczyceni na ten dzień inwitacyą do stołu królewskiego i czekają rychło-li pan Brunet króla do stołu idącego zaanonsuje.

Obiad, do którego zasiadało zawsze osób kilkanaście, a szambelan aktualnie dyżurujący stawał za królewskim krzesłem, trwa niedługo. „Chcąc dłużej zatrzymać monarchę przy stole — opowiada pamiętnikarz Łubieński — wypadało na samym początku rzucić jakąś kwestyę zajmującą, jadł bowiem tak prędko, że jeśli nie zawiązano dość ożywionej rozprawy, wstawał po kilkunastu minutach i oddalał się do swego gabinetu". Jeśli siedział przy stole gość obcy rozmowa toczyła się górnymi szlaki, z domownikami baraszkowano niefrasobliwie. Biskup Kossakowski wezwany raz przez króla na obiad „zgorszył się publiczną rozmową o biskupach, „który do której umizga się i który ma religię, albo nie? A król mnie zapytał: „Biskup wileński, jeśli ma metresę?"

Menu obiadowe to sprawa arcyważna! Gdy Fryderyk Wielki przegląda skrupulatnie rachunki kuchenne, król polski wyłączną uwagę poświęca spisowi potraw. Ostrygi, baranina i śliwki, oto trzy ulubione przysmaki. Szczególnie wiele zachodu jest z tem w czasie podróży. Sam własnoręcznie sprawdza ilość branych na

drogę zapasów, a przed wyjazdem do Kaniowa dopisuje na końcu kulinarnej notatki: *souvent ne pas oublier des huitres!* To samo odnosi się do śliwek, które były pewnego razu przyczyną wesołej przygody w Wiśniowcu. Za całych 1000 złotych polskich sprowadza skądsiś pani Mniszchowa nieco śliwek węgierskich na przyjęcie króla, specyał nielada na zimową porę. Dobrze, że są, bo karoce kuchenne wraz z panem Tremo ugrzęzły w śniegach, a król bez humoru. Tymczasem zjawia się ks. Józef, po daremnych usiłowaniach wydobycia karoc ze śniegu, siada przy stole i o niczem nie wiedząc zjada wszystkie śliwki. Skandal robi się ogromny. Pan Mniszech wnosi „zdrowie kwatermistrza, co zgubił ostrygi, a zjadł śliwki", a winowajca na przeprosiny ofiarowuje potem pani domu talerz śliwek, wykonanych z najdroższej porcelany saskiej.!

Ale powróćmy do dnia królewskiego.

Po obiedzie spacer po tarasie, z którego król ogląda przez lorgnon kąpiące się w Wiśle mieszczki warszawskie, oraz drzemka, na miękko wyścielonym szezlongu; za szklannym parawanem sali sypialnej przeciągał się wygodnie pomazaniec i nikt chyba tylko madame Grabowska miała przywilej pojawić się tu w tej porze.

Popołudniu wrzało od pracy w gabinecie. W obligu byli wszyscy konsylarze, uwijał się siarczyście Imć Ogrodzki i sekretarze wszystkich pięciu dyrekcyi, paź za paziem przebiegał komnaty z poleceniami. Załatwiał teraz osobistą i państwową korespondencyę ten nieszczęśnie dobrotliwy suweren *qui avait un excelent coeur, mals l'envie d'obliger tout le monde lui a fait beaucoup de mal.* „Wszystko, co doń pisano — opo-

wiada ks. Kalinka — czytywał sam. Codzień odbierał ośm, dziesięć do dwunastu depesz, raportów i własnoręcznie na nie odpisywał, albo gotował odpowiedzi do cyfrowania lub kopiowania, albo wreszcie przygotowane odpisy poprawiał". A któż obliczy korespondencyę wewnętrzną? Żadnych innych dokumentów z XVIII. stulecia nie dochowało się tyle, ile listów królewskich. Gdydy je zebrać razem i wydać, przewyższyłyby korespondencyę Fryderyka Wielkiego i Metternicha, Napoleona i Talleyranda i oddałyby berło Stanisławowi Augustowi, najgorliwszemu i skrupulatnemu korespondentowi wśród monarchów. Każdy wakans królewszczyzny lub urzędu krajowego czy ziemskiego wywoływał co najmniej kilka żądań, odpowiedzi i dziękczynień, a nierównie więcej skarg i wymówek. W rozumieniu lada najlichszego szlachetki król poto w zamku siedzi, by na każde pisanie grzeczną dał odpowiedź. Na takiem] odpowiadaniu zbiegły mu najpiękniejsze lata suwereństwa. Pisał, a pisał: jednał powaśnionych, załatwiał rozwody i małżeństwa, godził damy z kochankami, ratował podupadłe majątki, wstawiał się do sądów, przyspieszał wyroki, pośredniczył w układach, pomagał w sprzedaży dóbr i zamianie urzędów. Czegoż chcieć więcej, jeśli pani Brzostowska, znana zresztą z intryg i niechęci przeciw królowi, pisze doń urgens niecierpliwy z zawiadomieniem, że mąż jej rozwiedziony zwleka z ratami przyobiecanej pensyjki. Król najspokojniej obiecuje wdać się w sprawę i tylko w końcu listu grzecznie napomyka, iż powinna się dziwić, że odpowiedź otrzymuje.

A mimo wszystko żaden dzień nie minie bez mądrego czynu. Ile myśli promiennych król rzuci

a ile projektów w czyn wprowadzi! To szkołę lekarską założy, na której napis pamiętny: „tu się śmierć sama w korzyść ludzkości obraca“, albo utworzy zbawienne komisye dobrego porządku dla miast. Miesiącami całymi wertował będzie z Reverdilem dzieła organizacyi szkół zagranicznych poświęcone lub też studyował sprawę, tak dalekich od jego upodobań, manufaktur wełnianych. Każde mądre odkrycie zagraniczne będzie zaraz zastosowane: da Warszawie piorunochrony, latarnie i bruki. A ileż trudu i czasu poświęci dźwignięciu literatury pięknej i prawoznawstwa, historyi i hygieny, geografii i astronomii!

Nie po wszystkie czasy bywał dzień królewski tak zbożnie pracowity. W pierwszych czasach, za młodych królowych lat, bywało inaczej, młodość szumiała, na zamku rej wiedli powiernicy petersburskich szaleństw, zawadyaka Branicki, bogaty laluś Rzewuski i zawsze do wszelkiej zabawy skory ks. podkomorzy. Były maszkary, tańce, oraz uciechy z aktorkami. W owym czasie grały dwa teatry na zamku: francuski i włoski, *opera buffo* wyśmienita. Vestris, *dieu de danse* i Pic „opuścili Paryż na dni kilka, aby przemienić Warszawę w siedzibę smaku i wesołości“. Jakiż był mój zachwyt — wyznaje kurlandczyk Heyking — gdym się ujrzał na pierwszem przedstawieniu opery włoskiej; grano wtedy „*La buona figliola*“, w której primadonną była pani Ristorini. Co za śpiew i kuplety, co za muzyka, jaka gra! Melodya *una puovera ragazza* szarpnęła najgłębszymi pokładami mej duszy!“ Nawet wówczas, gdy się już burza barska na dobre rozpocznie, król zapyta zdziwionego Repnina: czy może zaprosić do Warszawy znakomitą aktorkę francuską Clairon?



CHODOWIECKI DANIEL: UCZTA WESOŁA



Ale nadeszły lata gorzkich prób. Gdy krwawy szlak pacyfikacyi rosyjskiej, chroniącej kraj przed Barszczanami, naznaczył ogniem i uciskiem Rzeczpospolitą, gdy król i dwór przeżyli trwożnie wiele bojaźliwych dni w obawie życia — wtedy przycichło na zamku. Król zamyka się w swej komnacie, płacze i Plutarcha czyta, sztychy stare przegląda, dyktuje pamiętniki, lub też tłumaczy z westchnieniem strofy Horacego, jakże mało odpowiednie:

„Prawy i w imprezie tęgi
„Człek przed rozkazem
„Źle rozkazujących współobywatelów
„Wspaniałej nie ugina myśli“.

Potem przyjdą na zmianę czasy dobre i złe. Sięgnie szczytów beztroska epikureizmu w dziesięcioleciu 1775—1785, wiele utrudzeń, ale i radości przyniesie era Sejmu, a znów ciężko i na zawsze zachmurzy się niebo nad królem — Targowiczaninem.

Ale wróćmy znów do dalszych dziejów popołudnia. Ulubioną pasyą staje się w krótkich chwilach wypoczynku bilard *à la guerre*. Od starego Fleminga jeszcze i Czaplica nabrał król tej namiętności i tak się przyzwyczaił, że nawet do Grodna z Warszawy bilard sprowadzono. To znowu spacer pieszy *incognito* z Naruszewiczem tylko lub z Reverdilem. Lubiał bardzo igrzyska pospólstwa, żydowskie wesela i zabawy ludu, to też często na peryferye zachodził, „mile przysłuchując się piosneczkom i zachęcając parobków do jak najściślejszych z dziewkami karesów“. Na chwilę samotności przydaje się tokarka, tak samo jak Ludwikowi [illegible] ślusarstwo. Jest to wielki warsztat z jesionu, [illegible]cie komody, na którym król własną swoją ręką

toczy siurpryzy dla białogłów: bonbonierki, pudełeczka, oraz igraszki wszelakie.

Wieczorem bywał teatr na zamku lub w mieście, koncert śpiewaków, albo też *soirée*, gdzie się przydarzyło: u pani krakowskiej w licznem kole society, u księcia prymasa, albo też hetmanowej Ogińskiej, a wreszcie w słodkiej solitudzie mieszkania pani Grabowskiej. Rozmaicie, gdzie okoliczność wymagała, lub gust królewski zapragnął. Zrazu także u Czartoryskich. Na takiej właśnie familijnej kolacyi widział króla Casanova. Posłuchajmy, jak było:

„Około godziny 9-tej znalazłem się u ks. Adama Czartoryskiego, który mię przedstawił towarzystwu. W kilka chwil potem wszedł piękny kawaler, na którego widok wszyscy z miejsc powstali. Ks. Adam powiedział moje nazwisko, a zwróciwszy się ku mnie rzekł sucho: To król!

„Było to dla mnie niespodzianką. Zauważyłem, że zbyt wielka prostota może tak samo wyprowadzić z równowagi, jak nadmierna wspaniałość. Postąpiłem dwa kroki naprzód, a w chwili gdy chciałem ugiąć kolano, dał mi król z wielkim wdziękiem rękę do pocałowania... Gdy podano do stołu, król, rozmawiając ciągle ze mną, przeszedł do sali jadalnej i kazał mi zająć miejsce po swej prawej ręce. Wszyscy jedli z wyjątkiem króla, który, zdaje się, nie miał apetytu... Po kolacyi czynił król uwagi o wszystkiem, co mówiono i zdobił swe słowa szczególnym wdziękiem. Wysławiał się w sposób jak najwytworniejszy, ale zgoła niewyszukanie. Na pożegnanie rzekł mi, że ujrzy mię zawsze z wielką przyjemnością na swym dworze“.

Urozmaicony bywał wieczór przez to, że do kompanii wchodziły kobiety. Częstokroć sekretnie wpro-

wadzane boczną bramą przez Ryxa lub Bruneta, albo też oficyalnie na sali. O każdej chwili miała dostęp w pierwszych czasach ks. strażnikowa, wieczorami *en deux* gwarzył sobie król z księżną gen. ziem podolskich, słuchał śpiewu Tomatysowej, lub podziwiał wdzięki pani Schmidt, co trudnem nie było, bo mieszkała na zamku. Mijał wieczór wśród niefrasobliwych zabaw dworskiej cortegiany przy grze w lombra i boczetę. Król grał, albo częściej udawał, że gra i „karty trzymane w ręku jak tak na stół wyrzucał, prowadząc rozmowę, a sama gra była tylko udaniem, gdyż ten panujący dużo był uzdolnionym na artystę scenicznego".

Kolor nadają dyskursom anegdotki. O Józefie II. i Fryderyku, o Karolu XII. i figlach życiowych ojca króla jegomości, o panu Wolterze, co w Cirey porabia, oraz o dziwactwach Jana Jakóba Rousseau, który nie lubi galantów. Tylko o Katarzynie mówić nie wolno. Nieszczęsnym jest tutaj człowiek, jeśli z za granicy przybył. Zamęczą go przy stole pytaniami: czyli widział delfina i był prezentowany u dworu; czy naprawdę inspektor klozetów Ludwika XVI. pobiera 20.000 liwrów pensyi rocznej; jaka fryzura w Wersalu aktualnie modna, i co mówią o Warszawie w *San-souci?* Król sam opowiada doskonale, okraszając rozmowę uczonemi cytatami z Szekspira, Horacego i z nowych pisarzy angielskich, to znów wtrąci w dyalog poważny, jakąś fraszkę wesołą i pieprzną, którą od ojca jeszcze zasłyszał.

A potem gasną świeczniki i cichnie rozgwar świegotek. *Salutem*, *argentum*, *bonumque appetitum* życząc kompanii, odchodzi król do sypialni. Tutaj, zasiadłszy przy malym stoliku, figluje chwilę z Kiopkiem, pieskiem ukochanym, albo też „późną, kradzioną godziną" pisze

projękty wierszy dla Narucha. Pan Marek Reverdil, świecę w ręku dzierżąc, znosi z biblioteki dzieła wielotomowe, nie na żarty zdziwiony, że ten północny suweren tak mądre książki czytuje, o jakich się żadnemu innemu z królów nie śniło. Leżą na stole angielskie oryginały dzieł Swifta i humoreski Wawrzyńca Sterne'a, Cyd Morsztynowski, Hainaulta historya cesarzowej Ireny, Vitruviusa szacowne *folio De architectura*, Barra Historya Niemiec. Wszystko to przeczytał królowi Reverdil w ciągu jednego zimowego miesiąca w r. 1765!

Król trochę słucha lektury, a trochę zrzędzi na złą angielszczyznę czytającego, to znowu pozwala mu nieco plotek z miasta opowiadać. Zżyma się, gdy nienasycony Reverdil znowu o podwyżce gaży wspomni. Potem trzeba jeszcze okiem rzucić na żurnale, które popołudniu nadeszły i nareszcie myśleć o hekatombie dla Morfeusza. Przysposobił tymczasem kamerlokaje piernaty i wały z zielonego grodeturu, zdjęto koronki brabanckie z poduszek, a szatny Brunet czeka w drzwiach rozkazu. Już wtedy króla nic nie obchodzi. Nie bez zdziwienia doświadczył tego Lizen, adjutant Repnina, gdy o tej właśnie porze wpadł do sypialni królewskiej z raportem hiobowym o porwaniu senatorów. Król spytał go tylko: *Sont — ils pris?* a otrzymawszy odpowiedź: *Oui, sire*, powiedział krótko *Bon soir, monsieur!* i — poszedł spać. Brunet sprawia się szybko i oswobadza króla z więzów wytwornej toalety. Leżącemu już pod białą, jedwabną kołdrą majestatowi czyta jeszcze chwilę imć. Reverdil, zaczem gasi wytrykuszem świece w lichtarzach. W przyległej garderobie zaciągają warty paziowskie na nocną służbę. Ryx kładzie się także w antyszambrze i owija dłoń

swoją w płomienistą szarfę dzwonka królewskiego, iżby zaraz powstał, gdy się król obudzi.

Za chwilę cisza głęboka kładzie się do snu na pokojach, a, za dobrym idąc przykładem, chrapią także stojąco paziki króla Jegomości. Wówczas to, gdy już wszyscy posnęli i dzwonki w pendułach północ głoszą, jawi się na pokojach Biała niewiasta. Snuje się cicho przez posadzki, przystaje na krużgankach i przy framugach okien, a cień jej niesamowity widać w zakątach luster. Coś sobie upatrzyła do rodu Poniatowskich. Pono widział Białą panię ojciec kasztelan w przeddzień bitwy nad Połtawą, książę Józef obaczy ją pod Lipskiem, a i samemu królowi przywidziała się raz biała jej szata w owych gorących chwilach Insurekcyi, gdy kula armatnia utkwiła w oknie zamkowem. Śpi, nie wiedząc o niczem, król Jegomość, śpi Ryx i paziki swawolne, a Białe widmo wciąż wędruje po salach, wędruje tak długo, póki kury nie zapieją i nie wstanie ze snu na wieży dyżurny pasztetnik, któremu posiłek ranny dla króla zgotować przykazano.



NA ZAMKU I W ŁAZIENKACH.

„Śliczne pałace, śliczne i pokoje
„Śliczne ogrody, śliczne sady twoje,
„W które jak wejdziem, aż melankolija
„Człowieka mija...“

Pieśń z wieku XVI.





t voila comme petit à petit l'oiseau fait son nid. W tych słowach króla do pani Geoffrin zawarta jest cała uciecha estety, budującego sobie rezydencyę. Było to jeszcze w czasach, kiedy królowanie wydawało się Stanisławowi Augustowi bajką rozkoszną, różami woniejącą. Napatrzył się był za granicą dosyć wszelakim cudownościom: widział wspaniałości Westminsteru, wystudyował dokładnie pieścidełka małego Trianonu i przepychy Wersalu Louis XVI., natura sama zresztą dała mu duże poczucie linii architektonicznej i wielką wrażliwość na otoczenie. Budowa pałacu kosztowała w Warszawie niemal dwa razy tyle, co w Rzymie, bo drobiazg każdy i każdego rzemieślnika trzeba było sprowadzać z zagranicy, Stanisław August nie przeraził się jednak kosztorysem wydatków, oszczędność nie leżała w jego naturze. Był przecież

dzieckiem swego wieku i współczesnym marszałkowi Richelieu, temu samemu, który wyrzuci przez okno kieskę złota daną swemu wnukowi, gdy ten, nie umiejąc wydać pieniędzy, zwrócił ją pełną.

W cywilizacyjnym programie Poniatowskiego architektura zajmuje jedno z pierwszych miejsc i, gdyby panował dłużej, Warszawa stałaby się niechybnie jedną z najpierwszych stolic Europy. „Maman“ Geoffrin mogłaby wiele powiedzieć o urządzeniu królewskiej sadyby, bo też namitrężyła się staruszka i nabiegała co niemiara po całym Paryżu za każdym potrzebnym dla Warszawy drobiazgiem. Zamawia świeczniki, wazy, lustra i postumenty z Lyonu, sprowadza drogie materye na meble, dobiera żółtych obić na karety, prosi ją król o zamówienia obrazu u Bouchera, Vien'a czy też van Loo, o kupno i wysyłkę gondoli do polowania, o biusty Henryka IV. i Woltera. Wszystkie zlecenia załatwia „maman“ skrupulatnie, choć nieraz i słusznie wtrąci skromną uwagę, że lepiej byłoby nie robić tak wiele zamówień, gdy... dawne nie są jeszcze zapłacone. Ale mów-że tu z rozrzutnikiem! Chce mieć u siebie wszystko. Pertraktuje o kupno brylantów, pozostałych po pani Pompadour. Marzy o ścianach, wyłożonych platyną jak są w Casa del Labrador Aranjuez, a jeśli wolałby być panią Guimard, niż królem polskim, to tylko dlatego, że sam Fragonard maluje jej sypialnię. I wiele tysięcy dukatów ofiarował by za to, gdyby mu Goya ozdobił Łazienki, tak jak ściany Escurialu. Zamiast Fragonarda zadowolić się jednak trzeba Norblinem, Goyę zaś i Da Vinciego, musiał, chcąc nie chcąc, udawać Bacciarelli. Gdy nie stało pani Geoffrin, Bacciarelli załatwia zamówienia listownie. W Petersburgu jest cały konwolut jego listów i ko-

respondencyi z jubilerami w sprawie wielkiego pająka i 16 świeczników, z których każdy kosztował 52 dukaty; są też zamówienia obszerne i kosztorysy firmy Pernon et Comp. w Lyonie w sprawie przyozdobienia i obicia jedwabiami sali tronowej w zamku.

Commodité et bienséance oto hasło! Chce król wytworniś by wnętrza mieszkalne drżały uciechą życia i barwą, niechaj przeziera zewsząd pogoda, elegancya i delikatność, niech będą barwy jasne i wiosenne, widoki miękkie i pieszczotliwe, i niechaj lśni niepokalane dostojeństwo klasycznej linii! Historycy sztuki mówią już wprost o stylu Stanisława Augusta. Przyznają, że w pomysłach, inicyatywie architektonicznej króla polskiego było coś więcej, niż ślepe naśladownictwo, bo twórczość indywidualna. Stanisław August umiał wznieść się ponad kolorowe zabaweczki rokoka, poszedł dalej i wyżej, a groteskową *rocaille* wysubtelnił i pogłębił klasyczną harmonią, nadał dziełom swoim subtelną lekkość, obcą np. ciężkim wymysłom Katarzyny w Petersburgu. „Określamy styl Stanisława Augusta — powiada dr. Alfred Lauterbach — jako zaawansowany klasycyzm, pozostający pod wpływem francuskim i włoskim, o planach centralnych, fasadach w jednym porządku z frontonem kolumnowym, balustrowanych attykach i barwnej dekoracyi wnętrz". Że nie brakło twórczej inicyatywy w budowlach królewskich, dowód choćby w tem: wszyscy magnaci polscy wieku oświecenia budowali sobie zbytkowne rezydencye, topili wielkie majątki w sprowadzeniu wszystkiego, co się tylko dało z zagranicy, a przecież „herbem architektonicznym" Polski XVIII. w., jej Alhambrą i Escurialem pozostaną tylko Łazienki!

Od pierwszych chwil panowania, aż po ostatnie petersburskie miesiące życia zamek warszawski i Łazienki to najmilsza troska Stolnika. W r. 1767 pożar zniszczył niemal doszczętnie skrzydło pałacowe od strony kościoła Bernardynów tak, że król zmuszony był niemal od początku podjąć na nowo dzieło odnowienia zamku, projektowane już i zaczęte przez obu Sasów. Merlini sprawił się tak dzielnie, że już po dwu latach ani śladu nie było po zniszczeniach, a także zniknął egzotyczny taras, widoczny dziś na obrazie Canaletta. Prowadzono pracę przez lat blisko 16, bo od r. 1770 do 1786 pod komendą i wedle projektów Merliniego i Bacciarellego, który wiele lat i godzin życia przesiedział w niewygodnej pozycyi na rusztowaniu, malując plafony sali assemblowej. Jak usilnie pracowano nad odnowionym do niepoznaki gmachem, wiemy z dochowanych do dziś 12-tu kompletnych projektów przebudowy zamku, które wykonali Fontana, Louis, Merlini, Schröger i Kamsetzer, umyślnie w tym celu sprowadzeni do Polski i suto za posłuszeństwo kaprysowi królewskiemu opłacani. Pomysły były istotnie przepyszne, sprytne architekty wiedziały, czem króla olśnić. Taki np. Schröger proponuje, aby na placu zamkowym wybudować olbrzymią kolumnadę i monumentalny pałac senatorski, wznieść dwie bramy symetryczne, oraz postawić jako pendent do kolumny Zygmunta gigantyczny obelisk! Merlini chce rozszerzyć fasadę do trzydziestu okien i ozdobić ją 36-iu kolumnami, Fontanie marzy się kompozycya w formie gwiazdy. O wykonaniu tych pięknych pomysłów marzył sobie król z tęsknem westchnieniem, a tymczasem wziął się raźno do rekonstrukcyi wnętrz.

W r. 1777 ukończono reparacyę i budowę zamku, zaczem w dniu 8. maja, po zbytkownym festynie, odbyło się pierwsze uroczyste przyjęcie, oraz rozpoczęły bić bujne tętna życia wytwornego w murach, które już dawno nie widziały dworu królewskiego. Wnętrza zamku budzą podziw u współczesnych, jako galerya obrazów przedewszystkiem. Tych jest najwięcej. Katalogi obrazów galeryi królewskiej na zamku i w Łazienkach z r. 1793 wymieniają cyfrę, którą nie każdy z suwerenów świata mógł się poszczycić: 2233 płócien, i to arcymistrze tacy, jak Rubens i van Dyck, Teniers i Rembrandt, Jordaens, Cuyp i w. i. Każdy niemal z tych obrazów zdobyty osobistą troską króla, opatrzony jego uwagą w katalogu. Już gorzej było ze sprzętami, w wielu salach, oprócz źwierciadeł i kilku krzeseł, brak innego umeblowania. Nie zdołał król polski sprawić sobie ani serwisów tak wspaniałych jakie miała Marya Teresa, nie pracował przy biurku z kości słoniowej Ludwika XV., nie miał owych przedziwnych cacek rokokowego stylu przez Boulle'go wykonywanych — niemniej przecież panował na zamku dostatek sprzętu wszelakiego. Pan komornik Młyński czyniąc w r. 1769 inwentarz, naliczył: 178 luster, oraz 105 tafli źwierciadlanych, 23 otoman, 21 komod, tyleż girydonów, 14 konsol z marmurami, 13 zegarów, 36 ekranów i parawanów, 17 stolików nocnych, krzeseł senatorskich 62, 50.000 ćwieczków paryzkich wyzłacanych i w. i.

Konsole i kantorki pełne są kosztowności i biżuteryi. Stanisław August w tem był podobny do ostatniego z Jagiellonów: przepadał za drogiemi kamieniami. To też w skarbcu J. K. Mości bogactw co niemiara. Starodawne naczynia srebrne, puhary i dzbany

zygmuntowskie, szmaragdy, rubiny, szafiry i granaty. Najcenniejszą wszakże ozdobą ścian zamkowych są owe słynne i drogocenne *arazzi*, gobeliny i szpalery, głośne w całej Europie, złotolite tkaniny, wyobrażające sceny z Pisma św. wedle obrazów Rafaela. Mają swoją dostojną historyę. Król Zygmunt August zakupił je dla ozdoby zamku wawelskiego, Jan Kazimierz zastawił w Gdańsku w czasie wojen szwedzkich, August II. wykupił, by je częściowo ulokować w Dreźnie, a Stanisław August wydobyć kazał resztę ze skarbca i rozwiesić na Zamku.

Trzy sale zamkowe są dziełem Poniatowskiego, balowa, rycerska i marmurowa. Za najwspanialszą uchodzi w oczach wszystkich podróżników sala balowa, czyli assemblowa utrzymana cała w stylu Ludwika XVI., w tonie biało-złotym o przepysznych stiukach żółtych, marmurowych i wspaniałej kolumnadzie. Na tle bogatych, złoconych bronzów tem piękniej prezentują się monumentalne plafony Bacciarellego „Jowisz“ i „Chaos“. Pokój audyencyonalny, czyli tronowy wybito adamaszkiem karmazynowym. Na pawimencie przepyszny kobierzec turecki, przy ścianie tron z aksamitu karmazynowego, szamerowany suto galonami i frędzlą z krepinami złotemi. Przy tronie dwie wspaniałe chorągwie na straży, koronna i litewska. Opodal 12 krzeseł senatorskich wyzłacanych, tyleż stołków dla pospolitszych gości, kominek z marmuru siwego i mały taburet do przysięgi. Zasiądzie nieraz na tronie pomazaniec w pełni chwały, a jeno opodal ktoś wyniośle oczu przymruża: *l'ambassadeur* ten tam w przyległym pokoju skromnie stojący, wszechzłośliwy!...

A przepych sali audyencyonalnej! Zdobi ją ośm posągów marmurowych. Po obu bokach tronu trzyma straż Katarzyna II. w postaci rycerza z Janem III. Sobieskim pospołu. Towarzystwo niebardzo wprawdzie odpowiednie, ale koniecznością polityczną podyktowane. Naprzeciw ustawiono biust Elżbiety królowej angielskiej i Henryka IV. Na stołach zaś Cezar August, Hadryan i Marek Aureli. Białe, marmurowe kominki dopełniają ozdób tej sali. Ukończono ją w r. 1782. W sali, przez Magiera srebrną nazywanej „obszernością ścian, srebrnych kolumn i świateł wspaniałej“ odbywały się koncerty. Tu śpiewała pani Tomatisowa, pani Todi, Banti, Morigi, Crespi i Bonafini, artystka opery, obdarzona głosem bardzo pięknym, którą opiewali Węgierski I Bielawski w rymach, a cały dwór powtarzał za nimi:

„Szczęśliwsza od królowy śliczna Bonafini!
„Co stary Rzym z Kartagą, ona z nami czyni“.

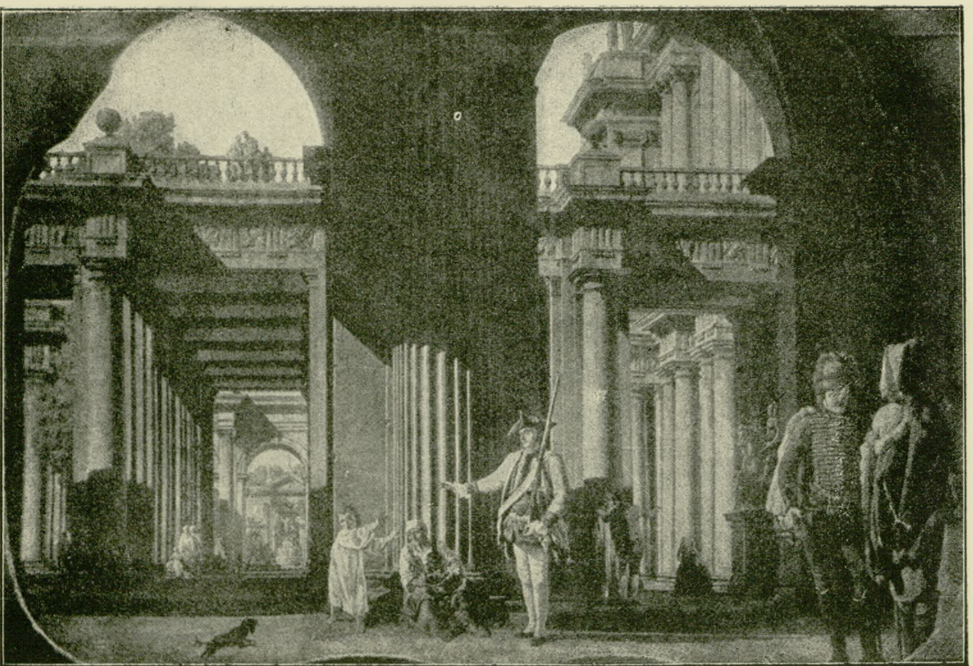
Pokój, a consiliis, albo Rady przybocznej, malowany al fresco, zwany „prospektowym“ bo miał wyjście na taras, z lamperyami sosnowemi, wybity zielonym adamaszkiem — stał się z czasem salą Canaletta, tu bowiem rozwieszono 22 pejżaży („wszystkie prawie ładne“, zapewnia Fortis) Wenecyanina Bellota, Canalettem zwanego na pamiątkę artysty, który przybył do Warszawy w r. 1768 i tu umarł po 12-letniej dla króla pracy. Chyba całą Warszawę z Pragą, Wilanowem i pałacami wymalował ten pracowity człek, pobierający pensyi złotych sto. Najbardziej podobał się obrazek, na którym ks. Józef Poniatowski pobiera lekcyę jazdy konnej od pułkownika Boenigsfelda. Piękne supraporty, zwierciadła i konsole, oraz kosztowny

zegar z wazonem mosiężnym à la grec we środku dopełniały całości.

Ten pokój najwięcej by mógł powiedzieć o gehennie życiowej króla. Tu odbywały się narady polityczne, tu dosięgały króla zjadliwe sztylety familii i Branickiego, oraz dręczył go zazwyczaj ambasador. Z pokoju Rady przybocznej wchodziło się do kaplicy, którą ozdabiał podobno autentyczny Rembrandt.

Cięższa w ornamentyce z herbami wielkich rodów i poważnemi supraportami, rzeźbiona w drzewie i grubo złocona, była sala rycerska. Tu znalazły miejsce wszystkie historyczne obrazy Bacciarellego, o które król tak bardzo nalegał, chociaż nam dzisiaj wychowanym na Matejce wydają się tylko dziwaczną transpozycyą przeszłości dziejowej na modę rokokową.

Do sali tronowej przylega mały ośmioboczny pokoik konferencyjny, z arabeskami Plerscha na złotem tle. Miluchna proporcya i harmonia szczegółów wiąże ściany, meble, posadzkę i „podsiębicie" w jedną całość. Cackami w każdym względzie są apartamenta, które król jegomość sam zajmuje Zrazu skromnie i dorywczo urządzone, zyskiwały z latami na wspaniałości. Przedpokój senatorski, o 9-ciu fasonem angielskim oprawnych oknach i gipsowem podsiębiciu prowadził do sypialni króla. Cackiem jest ta sypialnia Jego królewskiej Mości — przeczucie empire'u. Wyłożona drzewem cisowem o barwie, przypominającej mahoń, pokryta niebieskiemi materyami i złotą sznurową siatką. Żółte boazerye dopełniają całości niezwykle pod względem kolorystycznym efektownej. Tu jest też miejsce dla najmilszych królowi obrazków: wiszą główki Greuze'a, ze ścian patrzy Ma-



BELLOTO CANALETTO: TARAS ZAMKU WARSZAWSKIEGO PRZED POŻAREM



donna Battoni'ego w udatnej kopii. Obok alkowy królewskiej była garderóbka do nocnej wygody, dalej ubieralnia oraz gabinet do pisania, urządzony pieszczotliwie i starannie. Nad drzwiami błyszczał barwami tęczy supraport zwierciadlany „z tafli ze srebra oskrobanych“, podłogę ozdabiał śnieżno biały kobierzec *de nouget*, na kominku z marmuru kararyjskiego paliły się szczapy smolne. Król tutaj dużą część dnia przepędza przy pulpicie. Lubiał starą komodę czarną, chińską i klamki u drzwi, do których sam wzory rysował, oraz zielony, trzciną pleciony garnitur mebli.

„Pokoje i gabinety — pisze Szulc w r. 1793 — „w których król mieszka, obite są materyami „prostemi, sprzętem smakownym ubrane i zaj„mują tę stronę zamku, która wychodzi ku Wi„śle. Noszą one piętno prostoty, przechodzącej, „gdzie należy, w pełną smaku wspaniałość. Nie„wiele mieszkań książęcych ogląda się i prze„biega z tak miłem wrażeniem!“

Okna apartamentów królewskich wychodziły na Wisłę, zaczem piękny roztaczał się z nich prospekt na życie miasta i rzeki. Południową porą lubił król Jegomość oglądać z tarasu przez „lorgnon“ pluskające się na Wiśle mieszczki, a societa nieraz spędzała tu pogodne wieczory. Pamiętny był jeden wieczór r. 1772, pamiętny, ze słów przez króla wypowiedzianych.

Gdy kanclerz Czartoryski czynił królowi cierpkie wyrzuty za to, że zgodził się na pierwszy rozbiór, Stanisław August, stojąc na tarasie, trzema metresami otoczony (jak chce świadek współczesny), rzucił kapelusz na ziemię i zawołał: „Niech zostanie mi z mego

królestwa tylko tyle, ile tym kapeluszem przykryję, chcę na tym kawałku panować niezależny!“

Blisko sto tysięcy dukatów kosztowało odnowienie narożnego pokoju marmurowego, który już Władysław IV. budować zaczął. Siedmiu różnych gatunków marmuru użyto do budowy ścian i kominka. Portret królewski ponad nim obwieszczał w napisie łacińskim, że król poświęca *anno* 1771 ten pokój pamięci swoich poprzedników na tronie. (Portrety ich wszystkich wykonał Bacciarelli po 50 dukatów od sztuki). Naprzeciwko portretu królewskiego, wyżej wielkiego zwierciadła i zegaru, dwa geniusze zwyczajnie przy pieczęciach królewskich używane, z białego marmuru ryte trzymają herby króla i Rzeczypospolitej. Na suficie odmalowana wieczność w postaci dziewiczej, trzyma w ręku wieniec gwiazdowy, a naokoło jej geniusze nauk, jakoto: historya, poezya, snycerstwo, malarstwo. Gdy w r. 1769 czytamy w inwentarzu zamkowym, że pokój marmurowy „cały zrujnowany“ — to już później Naruszewicz w objaśnieniach do swej straszliwie nudnej „Ody na pokój marmurowy“ zapewnia, że widzieć można tu wszystko cokolwiek dowcipna ręka najpiękniejszego w marmurze, kamieniach, miedzi, drzewie i malowaniach oczom ukazać może. Tym razem ks. biskup nie przeholował w pochlebstwach, bo słowom jego przyklasną wkrótce wszyscy podróżnicy z zagranicy. Za to brat szlachcic, o ile się tu kiedy zabłąka, ani docenia, ani też rozumie się na tych splendorach. Bezwstydnym golasom byłby chętnie łby pościnał, tak, jak ów poczciwiec, co w ogrodzie pani Wąsowiczowej Woltera na postumencie zastrzelił!

Osobne skrzydło, bardzo interesujące pod względem architektonicznym, odbudowano dla pomieszcze-

nia biblioteki, liczącej z górą 20 tysięcy tomów, którą król w r. 1785 zamierzał oddać na użytek publiczny. Jest to długa, udekorowana stiukami galerya i ozdobiona płaskorzeźbami, które wiszą wśród masywnych szaf. Na środku sali posąg Woltera w szlafroku i szlafmycy. Satyryk siedzi na krześle, u stóp którego napis hołdowniczy przez króla ułożony. Biblioteka królewska nie „robiła wrażenia przyjemnego co do porządku i zręcznego ustawienia“, a to głównie dzięki próżniactwu bibliotekarzy. Ale ruch był wielki przy szafach. Tu zachodził ks. Gawroński ilekroć czegoś do czytania królowi potrzebował, tu kręcili się, udając bardzo zapracowanych, Marek Reverdil i Monsieur Lex, noszący szumne miano *enltrepreneur du cabinet litteraire du roi de Pologne.* Najwięcej jeszcze krząta się ks. Albertrandy, jako kustosz gabinetu monet, oraz hr. Moszyński, opiekujący się daktylioteką, czyli zbiorem gemmogliptycznym. Stały trzy szafy ogromne, pełne miedziorytów, sztychów, oraz gabloty z kolekcyą gemm i kamei, monet, numizmatów i drobiazgów z kości słoniowej, a nawet modeli i przyrządów fizykalnych. W dwu osobnych komnatach mieścił się zbiór przyrodniczy. Katalogowania doglądał sam król, rękopisy były bogato oprawne, wśród nich biblia na welinie z XIV. w. i rękopis ewangelii, złotem pisany z XIII. podobno stulecia. Na każdym rękopisie widniał herb królewski i napis wyciśnięty: *Stanislaus Augustus rex Polonorum saeculorum posteritati vindicat.*

O innych pokojach, pod koniec rządów do świetności przyprowadzonych, krótko wspomnijmy. Był tedy pokój grecki, pokój senatorski, apartament t. zw. wielki z bilardem orzechowym, sala *en ovale*, biała i zielona w gzygzak, z której przejście do kościoła

farnego. Wszystkie, aż pod sufit zawieszone, nawet przeładowane obrazami. Kiedy podróżnik Fortis chciał w r. 1792 opisać dokładnie pokoje królewskie, sprawozdanie jego przemieniło się w jeden wielki katalog obrazów i artystów. Jeszcze skrupulatniejszym człowiekiem jest pan komornik ziemski stężycki, Eustachy Młyński, któremu zalecono w r. 1769 sporządzić inwentarz zamku królewskiego. Imć pan Młyński opisywał wszystkie meble i urządzenia w komnatach, określał dokładnie ich barwę, kształty, tak dalece, że nawet podał nam szczegółowo ubikacyę następującą: „Miejsce sekretne, biało malowane z pozłacanemi filonkami, boazeryą robione, w którem bidet, czerwoną skórą obity, z szprycą cynową, basenem farfurowym i flaszkami do wódki dwoma, w tyłku chowającemi się, podłoga połową dębowa, a połową sosnowa ordynaryjna“.

Wrzały życiem i gwarem te wszystkie wspaniałe ubikacye czasu każdego sejmu i zawsze w wigilię Nowego Roku, a już szczególnie w epoce Sejmu Wielkiego, „tańcującym“ zwanego. Wtedy bawiono się najświetniej, puste zazwyczaj dziedzińce zamku napełniały się co wieczór rzędem pysznych ekwipaży i tłumem bogato przyodzianej służby. A w sali audyencyonalnej i balowej wstawała z martwych cała dawna jagiellońska wspaniałość Rzeczypospolitej. „Widziałem — pisze poseł szwedzki Heyking — dwór rosyjski z całym jego przepychem w czasie audyencyi publicznych, ale, jakkolwiek wielki jest ten splendor, przecież nie daje widoku tak wspaniałego, jak audyencya u króla polskiego na czele zgromadzonych stanów“.

Codzienne życie na zamku było nierównie skromniejsze. Król w zamku czuł się wogóle nie dobrze

i mieścił się w skromnych ubikacyach. Dziwi się temu poseł Siwers, gdy przybywszy w r. 1793 do Warszawy, pisze do córki:

„Wyobraź sobie, jak skromnie jest w mieszkaniu króla: jada w przedpokoju, na lewo ma gabinet, na prawo pokój sypialny i bawialny razem“. Toż samo przyznaje Fortis: „Stanisław August przyjmuje wieczorami w pokoju najskromniejszym, gdzie również jada kolacyę, na którą stoły przynoszą już zastawione i zaraz potem je uprzątują“..

Choć wiele i najwspanialsze skarby sztuki zdołał tutaj zgromadzić, choć wyrafinowaną elegancyą i splendorem lśniły apartamenta, nie czuł się szczęśliwym Stanisław August na zamku. Tutaj ciążyło mu królowanie i ta korona Chrobrych, którą daremnie kazał złotnikowi do rozmiarów swej głowy przystosować i lżejszą uczynić. Uciekał wtedy do ostatniego szczęścia swego życia — do Łazienek.



Podobno dlatego przystąpił król do konfederacyi Targowickiej, bo bał się, że mu Moskwa skonfiskuje Łazienki... Ta śmieszna wersya, zanotowana przez

ks. Kitowicza jest przecież znamiennem świadectwem miłości, jaką król otaczał swe ukochane dzieło. Gdy Zamek urastał zwolna na poważną i reprezentacyjną rezydencyę, Łazienki stać się miały huczną pieśnią na cześć wytworności i uciechy życia. Było to *chef d'oeuvres* pracy artystycznej króla, której końca nie miał nawet oglądać. Trzykrotnie powracał do ich przebudowy i upiększenia, rozpoczętej już w pierwszym roku wstąpienia na tron, prowadzonej dalej w r. 1784, a ukończonej dopiero w maju r. 1795. Ostatnie rusztowania spadły z murów pałacyku, gdy króla już nie było nietylko w Warszawie, ale i na tronie. Łazienki, to jedna z piękniejszych kompozycyi artystycznych, jakie wogóle wydał wiek XVIII. Są one wypadkową dwóch stylów: barokowego, którego nabrały, gdy je budował marszałek Lubomirski w końcu XVII. stulecia, saskiego rokoko za czasów Augusta, który tutaj właśnie ujawnił swą odrębność.

Był jeden z niewielu, może jedyny nawet dobry interes finansowy w życiu Stanisława Augusta, gdy jeszcze jako stolnik litewski, kupił na własność Ujazdów za milion sto tysięcy złp. i zaraz polecił Merliniemu przebudowę starej łazienki na modny pałacyk. Komużby przez myśl przeszło imać się pracy syzyfowej? Błotnisty i zapuszczony park odstraszał ludzi, budynki, kanały i sadzawki pustoszały, służąc za pastwisko, — Stanisław August włożył odrazu wielkie sumy, oczyścił powietrze, zarażone wodami stojącemi, kazał wyrąbać stare spróchniałe olchy, osuszył bagna i moczary. A potem wszystką swą wrażliwość artystyczną i poczucie piękna włożył w dalszą pracę nad Łazienkami. Pałacyk na wyspie odmienił szybko

oblicze. Stare gipsatury dawnej łaźni uświetniła facyata kamienna z kolumnami korynckiemi. Szpalery i klomby angielskie, chińskie pawilony i kuliste laury ozdobiły park. Na stawach trzepotały stada łabędzi, w zwierzyńcu patrzono z ciekawością na dwa ogromne strusie, dar króla obojga Sycylii. I zaludniło się też w parku. Łazienki weszły w modę w Polsce, zasłynęły w Europie. Zamieszkała tu z czasem generałowa Grabowska, rozgościła się wygodnie w Białym domku. Na wzgórku, ku zachodowi położonym, zyskał swoje tusculum z ogródkiem pan Bacciarelli. Stąd widok w różne strony rozciąga się piękny i obszerny, część lasu, zamknięta parkanem, służy do utrzymania różnego rodzaju zwierza i ptaków zagranicznych, a szeroka, we cztery rzędy aleja lipowa, z dwóch stron opasana sadami wiedzie ku Nowemu Światu.

A ilekroć wiosna wszystką swoją krasę roztoczyła, opuszczał król zamkowe komnaty, by całe lato spędzić w polskim Trianonie, a tylko w niedzielę i święta wracał do Warszawy.

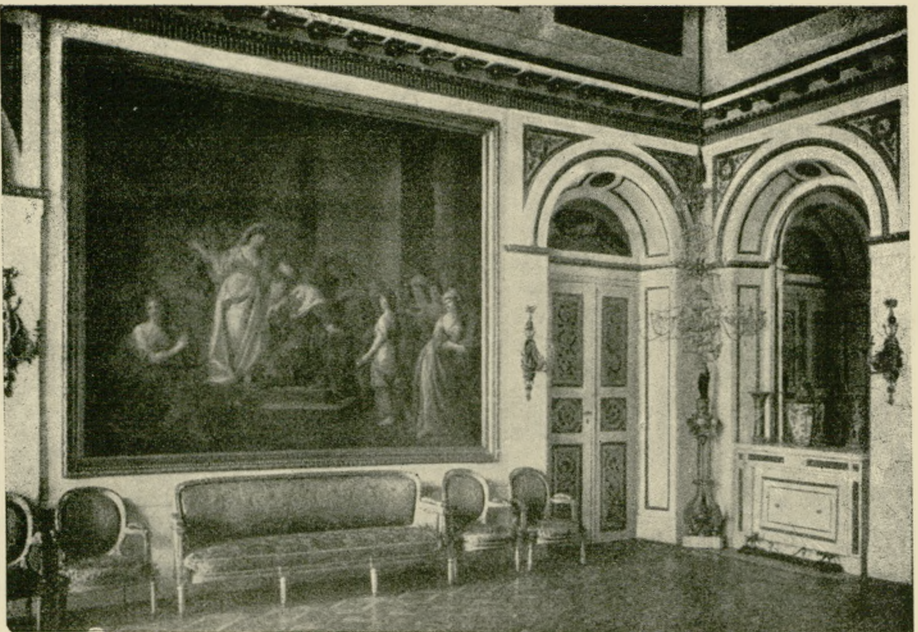
Najpiękniejsze płótna Bacciarellego „Sąd Salomona“, „Bachus“ szły do Łazienek, rzeźby monumentalne Herkulesa i Apolina, najlepsza kopia dzieł klasycznych, tutaj Monaldi ustawił swe cztery olbrzymie karyatydy, podtrzymujące kominki, a Kamsetzer i Merlini ofiarowali najszlachetniejsze wzloty swego natchnienia. William Coxe opisuje przemiłą niewymuszoność, wśród jakiej grał tu wista i zabawiał się wesoło aż do północy, a Schulc nie może się dość nachwalić wszelkich przyjemności, zaznanych w pałacyku, „którego lekkie kolumny zdają się przy świetle księżyca wyrastać wprost z wody, a gdy wiatr zmarsz-

czy wód powierzchnię obraz ich drży, odbity w srebrzystej fali“.

Tak pysznej dekoracyi przyrodzonej i tak pięknego tarasu, jak ów łazienkowski, przyozdobiony wazonami kararyjskiemi, oraz przedziwną linią posągów Wisły i Bugu nie miał żaden inny pałac w Polsce.

Sam pałacyk w Łazienkach, po ostatecznem ukończeniu, składał się z 9-ciu pokoi. Był przedsionek od strony południowej z rzeźbami, wśród nich piękna kompozycya Polski rozkwitającej, w przedsionku lapidarium z rzadkich zabytków starożytności, przecenne bareliefy z sarkofagów rzymskich, nad wyraz ważna i rzadka płaskorzeźba z V. wieku przed Chrystusem wedle wzoru Fidyasza. Dalej była rotunda z posągami królów, rozkoszny pokój Bacchusa, taflami z porcelany wyłożony, za nim mała łazienka, pieszcząca oko wspaniałością reliefów, skąd drzwi do sali balowej, między nią, a pokojem Salomona gabinet portretowy, wreszcie sala jadalna, w której odbywają się obiady czwartkowe, za nią galerya, a w końcu sala chińska, na koncerty, przyozdobiona wielkim widokiem Pekinu. Na pierwszem piętrze pokoje Ryxa i biblioteka.

Rozkazał król, aby nad wszystko piękną była sala Salomona, ze złotych wieńców uwita. Jest tu tęskna wspominka włoskiego *cinquecenta*, trochę znowu nieświadome przeczucie empire'u. Sala głośna w całej Polsce i chyba każda szarmantka rada ją była coprędzej zobaczyć. Bynajmniej nie dla piękności budowli, ale z innego powodu. Malując Salomona w gronie nałożnic, zaktualizował pan Bacciarelli biblijny temat obrazu. Nałożnicami Salomona zostały panie z society warszawskiej. Stąd temat do rozmów



POKÓJ SALOMONA W ŁAZIENKACH.

na wszystkich salonach: które to malarz wybierał i czy im do twarzy w kostyumach?

Pan Bacciarelli wybrał pań warszawskich pięć, na więcej, pomimo próśb usilnych, nie chciał się zgodzić. Szczęśliwemi nałożnicami króla Salomona zostały: ks. Radziwiłłowa z Arkadyi, jako że była śpiewaczką i poetką, kochanka królewska Sapieżyna, w. ks. litewska, jej córka pani Sewerynowa Potocka, siostrzenica króla Tyszkiewiczowa i wreszcie panie Krasicka i Gutakowska.

Przyległy gabinet zielony stanowił znowu jakoby mauzoleum miłości królewskiej. Bacciarelli i Kraft umieścili tu portrety kochanek królewskich. Nie wszystkich naturalnie, bo by miejsca nie starczyło.

Biały domek, przemiłe maleństwo, przypomina nieco Ludwikowy *Palais de Bagatelle*, tak jak ornamentyka pokoju kąpielowego zdradza pokrewieństwo z gabinetem Maryi Antoniny.

Wraz z pałacem samym upiększano też jego otoczenie. Pałacyk myśliwski, Pomarańczarnia i „*Le grand Commun*“, wreszcie na końcu teatr na wyspie!

Cudzoziemcy ze wszech stron świata podziwiali ową scenę szczególną, której kulisami były skały i drzewa, ruiny greckie stanowiły dekoracyę tylną, a scenę od widowni oddzielały wody kanału. Rząd gipsowych popiersi 16-tu pisarzy dramatycznych, dłuta Rhigiego, przydawał amfiteatrowi dostojeństwa. W repertuarze były przedewszystkiem tak ulubione przez króla balety; gondole iluminowane, podpływając pod gorejący światłami amfiteatr, zabierały baletników i opływały staw wśród pląsów i pieśni. Wnuczka malarza Conaletta, panna de Pertes, upamiętniła w kilku akwa-

relach kostyumy baletniczek, biorących udział w przedstawieniach. Widać tam, że dziewice owe ubrane były skromnie, bez nadmiernych dekoltów, w toaletach do kostek.

W dziejach baletu dwa widowiska szczególnie się upamiętniły: „Kleopatra“ i „Porwanie Aspazyi“. Teatr na wyspie wykończono ostatecznie w r. 1793. Do tego czasu przedstawienia odbywały się w Pomarańczarni, gdzie i biedny dramat polski znalazł czasem przytulenie. Gdy w r. 1791 zamknąć musiano w obawie przed katastrofą stary budynek teatru warszawskiego, pozwolił król Jegomość Imć Bogusławskiemu i jego aktorom, cieszącym się już od roku tytułem „nadwornych“, dawać dwa razy na tydzień widowisko w Łazienkach. Publiczność miała wstęp wolny, a koszta pokrywał król z własnej kieszeni.

A w parku Łazienkowskim wszystko tu było tak, jak chciał poeta:

. . . . niech będą z cyprysów gaiki,
Mruczące po kamyczkach gdzieniegdzie strumyki,
Tu kiosk, a tu meczecik, holenderskie wanny,
Tu domek pustelnika, tam kościół Dyany
Wszystko to od niechcenia, jakby od igraszki.

Tu dopiero mogło używać do syta rokoko polskie. Suwano się po kanałach okwieconemi bacikami, a wiejskie gry i zabawy, oraz pływanie po wodzie, przy księżycu i muzyce, miało wiele uroku. W orszaku rozbawionych kobiet i dworzan, na tle korynckich kolumn Łazienkowego perystylu, najbardziej czuł się Stanisław August medyceuszem i najbardziej królem.

A ileż planów pozostało nieziszczonych! Do ostatnich dni królowania, do ostatnich niemal chwil życia pieścił się król swem dzieckiem ukochanem. „Myśl

o Łazienkach — pisał z Grodna — jest jedyną rozrywką, jedyną osłodą pośród udręk, które znosić muszę w tym czyścu, by nie powiedzieć w tem piekle grodzieńskiem". Oderwany został od swej pracy, w chwili, gdy miał oglądać ją na ukończeniu, w chwili, gdy obmyślał plan wystawienia mauzoleum rodziny Poniatowskich w parku Łazienkowskim i cały szereg nowych budowli, pawilonów i upiększeń. Pisał do Bacciarellego o figarni, ananasarni, o świątyni, która ma stanąć na górze sztucznej, o jakiejś *l'eglise rotonde* i wiele, wiele innych zamysłów architektonicznych marzyło się pięknoduchowi.

„Częste koncerty w Łazienkach — czytamy u nieocenionego Magiera — oraz obchody uroczyste przy rzęsistych iluminacyach parku, turnieje, rycerskie igrzyska. Wszystko to stanowiło dziwny odskok od ogólnej atmosfery przygnębienia. Ale raz przecież zdarzyła się chwila, w której miasto całe uczestniczyło z serca w Łazienkowej wesołości, a działo się to w rocznicę odsieczy wiedeńskiej, w dniu poświęcenia posągu Sobieskiego".

Oddawna postanowił król dedykować Łazienki najczcigodniejszemu ze swych poprzedników. Wystawił mu grobowiec na Wawelu i posąg konny na łazienkowskim moście. Rzeźbiarzowi Pinckowi zalecono wykonanie monumentu, Fontana zaś objął komendę nad całem przedsięwzięciem. Merlini obrał miejsce na moście, opodal zbudowano osobną pracownię dla Pincka, z której, po całorocznej pracy, wyszło dzieło wykute w jednym kawale głazu. Z „wymwoza" w Szydłowcu wydobyto ten kamień olbrzymi, którego transport drogą lądową, zapomocą 70 par wołów, i wodną, na olbrzymich galarach, trwał przez całą wiosnę r. 1787.

Wielu ludzi pracowało przy robocie pilnie, a wśród nich i Szloma Schiffmeister zasłużył się także. Tak przynajmniej sam pisze w podaniu do łaski królewskiej, które trafem dochowało się wśród papierów gabinetowych i unieśmiertelnia dziś imię pracowitego furmana. Pisał zaś biedny żydowin, jak umiał najlepiej:

„Aller Gnädigster König und Herr!

Ich ein Jude und ein Unterthan Ihrs Königlichen Magestäten habe mich unternomen diese Figur, welche 70 paar Ochsen 12 paar Forde auch wo Leüthe nicht erziehen konten, dabey auch die Herrn viele Mühe gehabt, haben also doch daran Leüthe ein Schaden geschehen, dem die Stelle, laut dem Begehren Ihrs Königlichen Magestäten zubringen. Ich habe den Allerhöchsten gebethen, Er würde mir helfen die Sache glücklich vollzubringen, wie es mir auch Gottlob gelungen hat, dass ich die abgemeldte Figur mit 20 Leüthen 4 Meilen zu Lande und 11 Meilen zu Wasser in 7 Wochen ohne Schaden bis auf die Stelle gebracht. Für diese Mühe habe ich von den Herrn keinen Lohn begehrt, sondern nach dem Belieben Ihrs königlichen Magestäten.

Szlome Schiffmeister".

Zanim w r. 1788 złożono hołd Janowi III., odbył się w setną rocznicę odsieczy, 14. września 1783 r. przesławny karuzel w Łazienkach, jedna z najefektowniejszych uroczystości za panowania króla Stasia. Tem większy był splendor, że działo się to nie bez zachęty ze strony Petersburga. Rosya chciała wplątać Rzeczpospolitą w wojnę z Turcyą i rozbudzić zamarłe już dawno entuzyazmy wojenne.

Opodal Białego domku zbudowano na placu łazienkowskim obszerne i okazałe amfiteatrum z czterema lożami i tyluż bramami. Loże były dla gości, bramy dla dokazywać mających kawalerów. Karuzel, balet, kolacya, oraz iluminacya składały się na całość uroczystości, na którą zjechało do Łazienek wszystko co żyło. Senatory i Rada nieustająca, ministrowie narodowi i zagraniczni, komisye i urzędy Rzeczypospolitej. Paniom przykazano przywdziać białe suknie z pąsową szarfą, oraz toki ze wstęgami, lub piórami. W pośrodku wysypanej piaskiem areny widniały drzewce z pierścieniami, tarcze do strzelania figur murzyńskich z papieru, oraz leżały na ziemi głowy Turków, które biegający wokoło całym zapędem końskim kawalerowie kopiami i pałaszami zbierać mieli.

Gdy król Jegomość w loży zasiadł, dał pan Konarski, pułkownik artyleryi koronnej znak, aby uderzono z harmaty. Zaczął się pochód. Jechali naprzód trębacze z leibregimentu gwardyi koronnej, za nimi pułkownik Königsfeld, jako dyrektor karuzelowy w kolecie białym i szyszaku srebrnym z piórami strusiemi. Potem pierwsze kadry z czterech paziów z cyfrą Jana III. Kaszkiety srebrne mieli na głowach, a w ręku kopie pozłacane. Drugie kadry składało czterech kadetów, trzecie czterech paziów litewskich, czwarte tyluż podkoniuszych Jego Królewskiej Mości, ci kaszkiety wdziali czarno szmelcowane. Piąte były kadry oficerów leibregimentu gwardyi koronnej, ostatnie szambelanów i adyutantów. Wszyscy, przyjeżdżając obok loży królewskiej, czynili powinność swoją uchylaniem oręża przed Królem Jegomością.

Potem rozpoczęło się przyzwoite stanom rycerskim igrzysko. Biegali paziowie dla zbierania pier-

ścieni, strzelali z pistoletów do figur murzyńskich, ścinali im głowy pałaszami lub podnosili z ziemi na kopiach; to powtarzało się po trzykroć z powszechnym u wszystkich spektatorów poklaskiem. Na koniec potykali się ze sobą rycerze, strzelając i siekąc się w pałasze. A wreszcie rozgorzała bitwa ognista i wojenna z zamieszką wszystkich uczestników. Trwał karuzel 5 kwadransów. Poczem król udał się do nowego teatru na kantatę i balet heroiczny, gdzie ujrzano jakąś zarówno obszerną, jak wzruszającą historyę z czasów starożytnych. Czule płakały damy, widząc przygody miłosne Agathysa z Cephalidą i Parmenona z Elianą.

„Chwalebna ciekawość tak pięknego widowiska — czytamy dalej w tym opisie — sprowadziła do Łazienek, prócz około tysiąca powozów, tak wiele ludzi różnego stanu, że napełnili i okryli wszystkie pagórki okoliczne. Możnaby śmiele powiedzieć, że do 30 tysięcy głów tam się znajdowało".

Wieczorem zajaśniały Łazienki kilkudziesięciu tysiącami lamp kolorowych w różne kształty ułożonych. I nastąpił wydział nagrody dla rycerzy, oraz kolacya na 300 osób, w czasie której król raczył łaskawie obchodzić gości swoich, do dobrej myśli ich zachęcając.

Wspaniały i kosztowny fajerwerk, wypuszczony przy odgłosie harmat, zakończył uroczystość. Różne sztuki ogniste na wodzie i na lądzie bawiły przez pół godziny spektatorów, wydawszy na ostatku bukiet z kilku tysięcy rac złożony. Tak umieli się bawić ludzie z dworu króla Stasia.

W Łazienkach miały też miejsce owe dziwne bale maskowe, kostyumowe spacery i teatralne festi-

vale, w których naturę całą w teatr przemieniono. Wyobrażenie o tem, jak bywało w Łazienkach, daje poniekąd zabawa, urządzona na przyjęcie króla w lecie w r. 1777 w Puławach, u Czartoryskich. Po szeregu uczt, iluminacyi i festynów odbył się tam spacer „perspektywą umyślnie wycinaną wprost od Puław, więcej pół mili. Zastał tam król jmć. pospólstwa kilkaset zgromadzonego, salon umyślnie wystawiony, z galeryą na górze. Przy nim koło rzeczki z kamieni darniem przykrywanych, zrobiono kanapy, do których przez mostek z prosta sporządzony, przechodzić trzeba było". Zobaczmy jednak, co się w lesie samym dzieje. „Na łące długiej drwa w stos ładowane, kilka sztuk bydła i owiec, przyczem chałupa z darnia wystawiona, z której pokazał się z aktorów francuskich ubrany stary holender z żoną jeszcze późniejszego wieku. Gdy król usiadł, holender z żoną zaczęli się troskać, czemby króla zabawili i tak jedno od drugiego obligowane, wzbudzali sobie głos do śpiewania piosneczek francuskich. Niezmiernie król tem był ukontentowany. Wówczas holendrzy „naczynia podali gliniane i łyżki drewniane, prosząc, aby nie gardził tem, czem go mogą częstować". Dalej jeszcze w las idąc, król „usłyszał dzwonka echo, a nakoniec trafił na eremitorium i pustelnika w niem mieszkającego". Obok pustelnika stał krzyż nachylony, mchem obrosły, sadek, pasieka, studnia umyślnie zrobiona. Po tym spacerze wszczęły się tańce przy huku armat i iluminacyi.

Na łazienkową siestę patrzali przeciwnicy Stanisława Augusta ze zjadliwym przekąsem. Kitowicz zapewni nas w swych pamiętnikach z oburzeniem o zwierciadłach, które król sobie kazał przy łożu sypialnem w Łazienkach ustawić, „ażeby oczami dopo-

magał innym zmysłom“. Opowie, jak król „bezpieczny pod protekcyą Moskwy, składał radę na wiele województw poćwiartować kawałek Polski zostawiony i coby jeszcze przydać do ozdoby Łazienek“. W Łazienkach — tak znowu szydzi bezimienna broszura — używa król świeżego powietrza, zdrowszego, aniżeli to, które w sali sejmowej często bywało — napełnione „Merkuryuszem“.

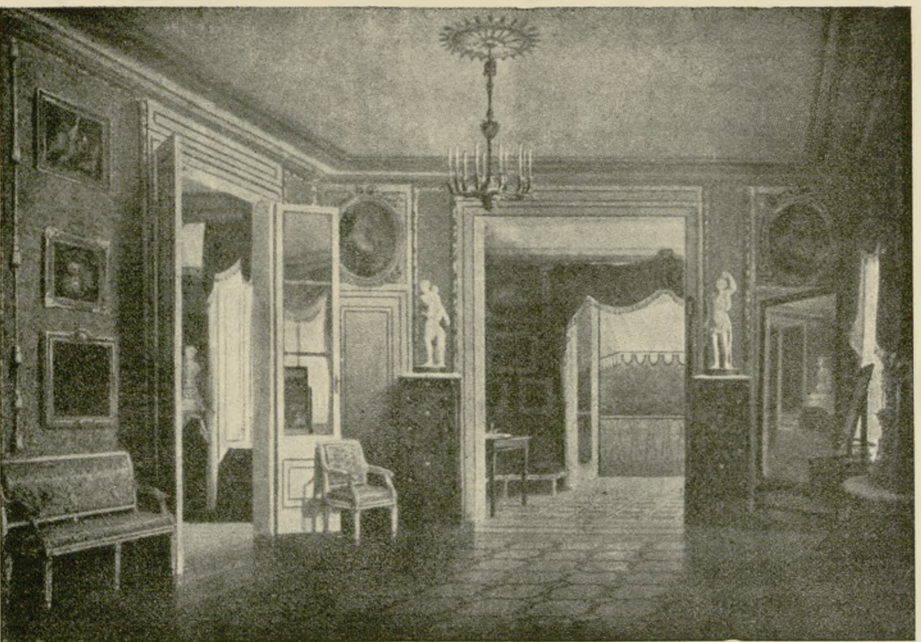
A on, naprzekór przegryzkom, był tak tu szczęśliwy, jak Marya Antonina w Trianonie, Ludwik Bawarski w Chiemsee, a Eugeniusz Sabaudzki w swoim Belwederze. Nie darmo przecież w medalionie, zdobiącym sufit przedsionku Łazienek, napisano: *Haec domus tristitias odit.*

Gdyby nic więcej nie zostało po ostatnim królu dawnej Rzeczypospolitej, gdyby zaginęły wszystkie dobre dokumenta, świadczące o szlachetności, jego intencyi i oświeceniu, owo jedno dzieło sztuki, najpiękniejszy zapis w testamencie Poniatowskiego — zmazaćby mogło wiele innych win ciężkich, których dopuścił się w obec historyi.

Łazienki są poematem i symfonią, są kapitalnem dziełem króla artysty. Nie urosły wprawdzie na miarę tego czynu artystycznego, o który zaklinał sztukę polską Norwid, wołający:

„Gdyby się swojski duch raz wytłumaczył,
„Usymbolicznił rozkwitłemi znaki...“

Podobnie jak salon warszawski XVIII. wieku są i Łazienki nietyle dziełem sztuki polskiej, jak raczej dziełem sztuki w Polsce, ale tworem największym, na jakie zdobyła się stojąca nad grobem Rzeczpospolita. I jeszcze czemś: błogosławieństwem dla tej „Polski



SYPIALNIA KRÓLEWSKA W ŁAZIENKACH

rozkwitającej", ku której tęskni w przedsionku rzeźba Merliniego.

Łazienki są poematem i symfonią. Jakże bezmierna skala tonów i bujność akordów, jak nienasycone bogactwo kształtu i barw! Oto epickie dostojeństwo figur marmurowych w niszach, oto *bel canto* r.afonów, godnych chyba Trianonu. Każdy drobny lichtarz zachwyca gładkością linii, intarsya każda, fresk i supraporta jest tonem jednym w pysznym rytmie b^rw i kształtów, a wszystkie stiuki rozrzutne uczestniczą w chórze pieśni na cześć życia.

Zmącą się potem pieśni tej kaskady i odmienią a:ordy, skryją się w żałobie stada łabędzi białych, wichr północy rozhula wpośród drzew parkowych... Poemat dumny stanie się bajką smutną, którą przez wiek cały opowiadać będzie park łazienkowski:) Polsce świetnej i wzorzystej, która kiedyś była,) królu wytwornisiu, co miał duszę słabą. Słuchali ej bajki Belwederczycy i Wyspiański i słuchać jej ędą długo pokolenia!



WSRÓD DWORAKÓW I DWOREK.

Dobrze być filozofem, ale w gabinecie
Bądź wietrznikiem, na wielkim kto chce znaczyć świecie!

Zabłocki.





Dopalają się świeczniki, bo północ minęła dawno. Baletnicy włoscy skończyli swój program, przy faraonie też niema nikogo. A oni siedzą ciągle ślęcząc gorliwie. Nawet rozmów i wesołości niewiele, chyba czasem szczególnie łyskliwe *bon mot* rozśmieszy kompanię zapracowaną. Czem są tak zajęci, pytać nie trzeba, bo rzecz rozumie się sama przez się: *parfilują. Veux-tu des talents pour la cour?* Jeśli chcesz je znać, to wypada wiedzieć, że najmodniejszym talentem jest umiejętność parfiłowania. Bierze się tkaninę złotą, albo kobierzec, lub wreszcie galony, czy frędzle i psuje się, wyciągając z nich nitki złote i srebrne. Chodzi o to, aby spruć jak najwięcej, potem się nici spieniężа i otrzymuje cenę, częstokroć... dziesięć razy mniejszą od wartości zniszczonej tkaniny. Więc pocóż to robić? Jakto po co, przecież tak dzieje się w Wersalu, który jest wyrocznią. Parfilowanie stwarza pozory pracy,

daje zajęcie rozpróżniaczonym palcom i uspokaja nerwy przyjemnością niszczenia.

Na dworze Poniatowskiego należy parfilaż do rzędu zabaw nadewszystko ulubionych. Parfiluje kto żyw w sociecie łazienkowej, obcina się epolety u mundurów i złote obszywki fraków, sprowadza tysiące metrów złotej lamy z Holandyi, niszczy szale i gobeliny. I śpiewa się:

Vive le parfilage!
Plus de plaisir sans lui
Cet important ouvrage
Chasse partout l'ennui!

Dopalają się świeczniki, północ minęła dawno, a oni wciąż zajęci parfilowaniem. Pracują długo, wytrwale i cierpliwie, to też napruli wiele najszczerszego złota a koniec pochwalił dzieło: spruli dwór, króla i Rzeczpospolitą, sparfilowali Polskę całą doszczętnie.

1. W URZĘDZIE MARSZAŁKOWSKIM.

Wspomnienia sielanki wilanowskiej i dworu królowej Marysienki zatarły się już w mroku dziejów, bo przecież sto lat już prawie minęło od tego czasu. Rządów saskich nie było też co wspominać. Od lat blisko 70-ciu zapomniano, że bywał polski król i polski na warszawskim zamku dwór! Dlatego na ścielące się znowu gniazdo piastowskie patrzała zrazu Rplta z rozczuleniem, z tak wielkiem rozczuleniem, jak gruntowne było potem rozczarowanie. Zaroiło się na Zamku od pierwszego dnia elekcyi i rojno miało być aż do końca. Dwór Stanisława Augusta, prawie tysiąc

osób liczący w swym składzie, był nowością od czasów renasansu, nowością była ciżba próżnujących i weselących się na Zamku dworaków, chociaż zaznaczyć trzeba, że królowy splendor blednął wobec innych dworów magnackich, wcale nie dorównując ani Białemu Stokowi i Puławom, Ogińskim i Sanguszkom. Obaczmy teraz, jak było na królewskim dworze.

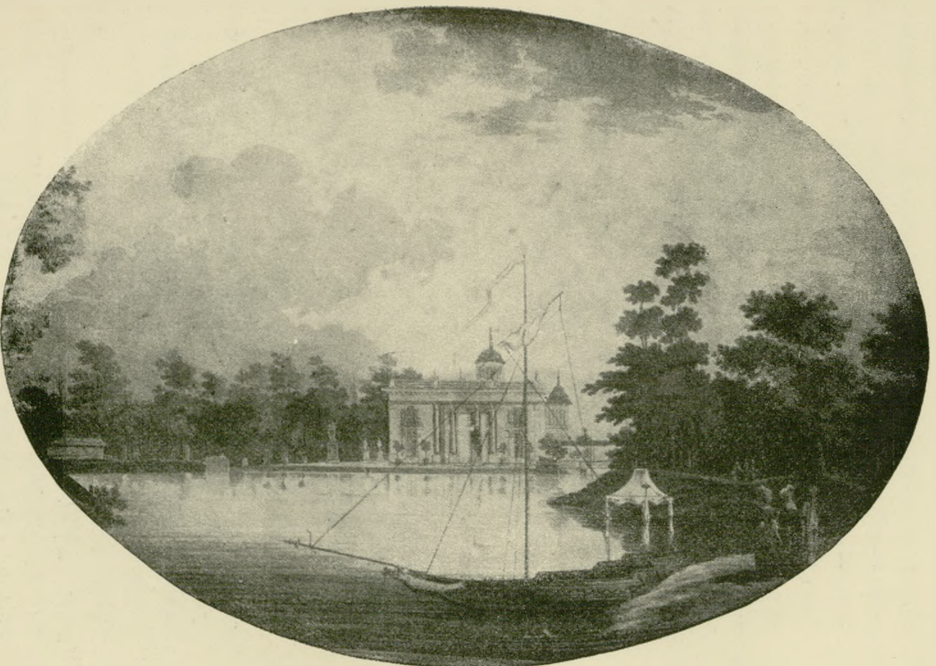
Zarząd domicilium królewskiego spoczywał w ręku urzędu, zwanego dziwacznie z niemiecka „marszalambtem J. Król. Mości“. Należeli do tego urzędu marszałek dworu, wice-marszałek, regent kancelaryi królewskiej, adyutant przyboczny oraz dla honoru spowiednik królewski i kaznodzieja. Wiemy zatem, kto ster trzymał: pan Karaś i pan Aleksandrowicz, Jacek Ogrodzki, pan generał Komarzewski, ks. Sliwicki i ks. Lachowski. Urząd marszałkowski troszczy się jeno o domowe sprawy, podobnie jak kamera królewska, niby izba obrachunkowa, w której pan Karaś przewodniczy, a Roch Kowalski najpierw, potem Dziekoński i Ostrowski są podskarbimi. W departamencie doktorskim rej wodzi leibmedyk wieloletni, pan Becker z Bergonzonim, jest wreszcie departament biblioteczny i dozoru sztychów, a na ostatku kuchnia, piekarnia i kredens, cukiernia, stajnia i piwnica.

Sprawy publiczne należą do gabinetu królewskiego. Podzielono go na pięć dyrekcyi, którym przewodzą: Dzieduszycki, Kiciński, Badeni, Ghigiotti i Glaire, a dyrektorem nad wszystkimi był do śmierci Jacek Ogrodzki, a potem „Kicio“ kochany, *alias* pan Kiciński. W kancelaryi wojskowej króla, gdzie mało mówi się o wojsku, a więcej o kroju paradnych mundurów i obsadzie wakansów — siaduje codzień generał Komarzewski, faworyt i adyutant przyboczny. O panu

generale mówiono, że potrafi wypić za jednem posiedzeniem kosz szampana. Czy to prawda? niewiadomo, to pewne wszakże, że pan Komarzewski, człowiek poczciw i stateczny, śmieje się wciąż kurczowo, spazmatycznie rzucając głową na wsze strony, a przeto niema miru u pazików, płatających mu ciągle psie figle.

Dwór właściwy składa się z 18-tu urzędujących szambelanów, 5-ciu kamerjunkrów, 12-tu dworzan, oraz z departamentu paziów, pod wodzą pułkownika Königsfelda. Naczelną nad wszystkiem komendę dzierży pan marszałek dworu królewskiego. Dawne dwory polskie nie znały takiego urzędu, który dopiero Stanisław August ustanowił. Przez lat trzydzieści było czterech marszałków. Pierwszy — imć kasztelan Karaś, totumfacki starego Poniatowskiego a króla młodego mentor, stąd też cała familia Karasiów w łaskach wielkich. Wszelako pan kasztelan wiski, niezbyt życzliwy modnej galanteryi, prowadził on dwór ze splendorem, ale po staropolsku. Reformy w tej mierze wprowadził dopiero od r. 1775 *grand maitre* i pisarz koronny, Franciszek Rzewuski. Tego poznać musimy. Zcudzoziemczały sybaryta, gdyż większą część życia spędził za granicą, głośny był ze swych dziwactw w całej Warszawie. On właśnie używał sześciu kołder do spania, które to przybliżały się to oddalały w miarę temperatury, a krok w krok za panem nosili wyfryzowani lokaje wiele ubrań i surdutów na wypadek odmiany wietrzyka. Leniwy przysłowiowo, zarozumiały ponad wszelką miarę, bał się panicznie „ćmów, owadów i bakcylusów“, masła nieświeżego i surowych owoców, a w swem mieszkaniu na Zamku urządził pierwszą w Polsce windę.

A przytem wojażer światowy, znawca antyków i angielskich ogrodów. Tenci to człowiek przybrał ży-



ZYGMUNT VOGEL: WIDOK ŁAZIENEK

cie dworskie w jeszcze jaskrawsze i rozrzutniejsze kolory, niż się samemu królowi marzyło, a kupując srebra, zastawy i meble, sekundował królowi dzielnie w rozrzutności. Pyszałka dumnego wyruguje ze dworu dopiero ks. prymas Poniatowski. Z jego poduszczenia zażądano od *grand-maitra*, iżby swych apartamentów w Zamku ustąpił na połóg pani Mniszchowej, siostrzenicy królewskiej. Rzewuski i tak stropiony, gdy nie został marszałkiem w. kor., choć się nim tytułuje od śmierci Lubomirskiego, obraził się do reszty i, opuściwszy Polskę, zamieszkał odtąd na zawsze w Paryżu w Palais Royal. Skromniejszym nierównie był jego następca, pan Aleksandrowicz, kasztelan podlaski, po którego śmierci znów hetmanił urzędom dworskim pan Kicki, łysy, przystojny i gadatliwy szwagier króla (bo żonaty z siostrą pani Grabowskiej).

Miał o kim myśleć i kim rządzić urząd marszałkowski. Z górą trzysta osób na codziennej służbie przy majestacie. Od przysieni aż do poddasza pełny Zamek królewski wszelakiego dworactwa. W przedpokojach błyszczą srebrne słońca i ponsy koletów: to trzyma odwach gwardya Mirowskiego pułku z odznakami w kształcie słońc srebrnych na piersiach. U wejścia dogląda osób wchodzących furyer w ponsowej liberyi, który też zwozi gości wzywanych na audyencye.

Innej służby ciżba ogromna. Dwunastu lokajów liberyjnych i tyluż hajduków w płaszczach białych chodzi tu i tam, a wszyscy strojni i zgrabni, gdyż sam król obmyślił krój liberyi i wzory galonów, wykonanych potem w grodzieńskiej manufakturze. A iluż poza służbą! „Tabella expensy generalnej“ z lat 1764—1767 wylicza jak następuje: 18 dworzan, 3 furyerów, 6 kamerdynerów, 2 kamerlokajów, 4 biegu-

nów, 4 pajuków, 3 strzelców, 15 lokajów, 12 hajduków, 18 majtków, oraz 1 frotter, czyli razem osób 107. Nadto murzyn Jean Ledoux, gwoli osobliwości i turek Kirkor, z którym dogadać się potrafi chyba tylko pan Crutta, tłumacz mowy bisurmańskiej.

Sługusom króla Jegomości wiedzie się doskonale. Obiadujący u króla, musiał służbie zostawić conajmniej 70 czerwonych złotych, nie dziw więc, że ks. biskup Kossakowski narzeka w swych pamiętnikach na „znakomitą ekspensę“ w tej mierze. A była ona konieczną, skoro lokaje stawali się „familiarni i pozwolone mieli ucho u króla, jako szpiedzy i donosiciele wszelkich bajek miejskich“.

Spojrzmy teraz wyżej — ku dygnitarzom, których pułki całe! Nie zliczyłby wszystkich, wysoce utytułowanych szambelanów, podkomorzych, fliegeladyutantów, radców dworu, konsyliarzy! Gdyby kiedy wszyscy naraz na Zamek zjechali, napewne miejscaby nie stało. Stanisław August rozdawał przecież z dziecinną szczodrością tytuły. Szczególne utrapienie było z szambelanami, wielu z nich nigdy już nie dworu, ale wogóle Polski nie widziało.

Byle sowizdrzałowi, co wiatry gonił po świecie, a raz o Polskę zawadził i o tytuł się przymówił, król pisać kazał przywilej szambelański. Za Augusta III. było ich tylko ośmiu, teraz namnożyło się rzeczywistych do dwudziestu, (za wzorem dworu Ludwika XV.), a liczba tytularnych sięgała chyba tysiąca! Zaczem godność ta poszła w zupełną poniewierkę. Za kilkadziesiąt dukatów mógł każdy szlachcic nabyć u Ryxa dostojeństwo klucza, a całkiem bezpłatnie dostawał ów tytuł lada awanturnik bez urodzenia, może z pod szynku lub sklepu korzennego za granicą, któż

go wie, przybyły. Służbę czyniących szambelanów bywało razem sześciu, a brali pensyę po 50 dukatów rocznie.

Paziki biegały zwinnie przez komnaty. Było ich dwudziestu czterech, liczba wcale niewielka w stosunku do Wersalu np. gdzie ich liczono aż 150. Każdy pysznił się ponsem opiętego surduta, z zieloną bortą i galonem, za pasem nosił kordelas, a umiał z gracyą kapeluszem z piórem pawiment zamiatać. Paziowie mieszkali społem w pałacu Karasia pod opieką swego „oberhofmistrza“. Synowie rodzin zamożnych nie pobierali płacy żadnej, mając za to na widoku w wieku dojrzałym, promocyę do gwardyi na oficyera lub koniuszego. Opływali w prezenta. Ilekroć ofiarował komu król order, przywilej czy podarek łaskawy, paziowie z tem jechali, pewni sutego gościńca. Tak np. pazik, który Stackelbergowi zawiózł karetę w prezencie od króla, dostał za to od pana ambasadora pierścień wartości 500 dukatów, a więc większej, aniżeli cała kareta.

Niefrasobliwość i wdzięk codziennego życia objawia się także w tonie, używanym wobec pokojowców i służby. Miękki i dobrotliwy król „pasyonował wprawdzie w domowej osobności i klął dyabłami bez liczby“ — ale w istocie pobłażał wszystkiemu. Wiedzieli wszyscy: król do karania leniwy, do nagrody skory. Figlów paziowskich bywało zawsze co niemiara i to nawet w obliczu majestatu. Jeden taki urwisz stanie sobie za królem, piszącym coś przy stoliku i nuże pszczołę udawać. Król za pszczołą w pościg, szuka jej po pokoju i długo się tak zwodzić daje. Inny znowu cichcem w nocy wymyka się na redutę, postawiwszy na swoje miejsce bałwana w liberyi. Pod-

stęp się odkrywa, winnemu król dobrotliwie przebacza. Znana jest też historya, kiedy to pana Komarzewskiego do domu obłąkanych złośliwi paziowie odwieźli. A chyba żaden suweren nie słyszał takiej odpowiedzi z ust kamerdynera, jak owa, którą Brunet dał raz królowi. Zdarzyło się, że w gabinecie królewskim dym zawiewał z kominka i nie ustawał pomimo otwartych drzwi. Zniecierpliwiony król powiada wreszcie do Bruneta:

— *Que deviendrai-je dans cette fumée?*

Na to Brunet z uśmiechem:

— *Jambon, Sire!*

Król porwał się z krzesła, Brunet czemprędzej za drzwi uciekł i na tem się, jak zapewnia Magier, skończyło. W czasach, w których w postępowych Puławach u Czartoryskich, pokojowcy dawnym zwyczajem brali jeszcze plagi od marszałka na rozłożonym kobiercu, tu na dworze królewskim, nawet w stajni i w kuchni nie wolno było chłostać ludzi. Najcięższą już karę stanowiła ośla głowa żelazna, ważąca 25 funtów, którą skazany musiał nosić na ramionach. Ale wróćmy do dygnitarzy.

Można sobie teraz wyobrazić, jak nie wiele robili sobie z majestatu wielmoże, bliżej dworu stojący i to tacy, z którymi król liczyć się musiał. O swobodzie tonu świadczy też fakt taki. Ks. biskup Kossakowski razu pewnego podchmieliwszy sobie mocno gdzieś na mieście, idzie na Zamek, wali wprost do komnat królewskich, a obaczywszy obecnego tam Chreptowicza wszczyna z nim na oczach króla awanturę. Nazajutrz wielkie przeprosiny, a król jeszcze „kontent z otwartości“.

Najnieznośniejszym wszelako urzędem, same tylko troski sprawiającym królowi, była kamera rachunkowa.

Nie dziw, że jej dobry duch, podskarbi Roch Kowalski, tak szybko wyłysiał, bo wydołać wydatkom króla i dworu przechodziło możność człowieka. O rozrzutności Stanisława Augusta krążą legendy, a gdy prof. Korzon zabrał się do skrupulatnego sprawdzania rachunków, rzeczywistość przeszła oczekiwania. Abdykując zostawił król 30 milionów złp. długu, a ile ich wydał w ciągu rządów, tego nikt nie zliczy. Był pod tym względem rozrzutny jak dziecko, niepoczytalny, niczem maniak. Stary tetryk, rezydent saski Essen przesadzał nieraz w swych relacyach, ale przecież trudno mu nie przyznać racyi, gdy charakteryzuje rozrzutność króla. Choć dwukrotnie wzrosły dochody Rzeczypospolitej w okresie Stanisławowskim, pieniędzy nie było nigdy. Tedy pożyczał król Jegomość gdzie się dało: od żydów i u karmelitanek, od kochanek swych i lektorów. A przedewszystkiem u wszystkich dworów. Jeden tylko Fryderyk Wielki umiał oprzeć się atakom. Spostrzeżono zaraz po koronacyi, jak lekko poczyna sobie młody król z pieniądzmi. Oto na znak, że podobał mu się festiwal na Wiśle, przeznacza sześciu pannom, które przebrały się za syreny — stałą i dożywotnią pensyę miesięczną. Śpiewaczka Todi dostanie za jedną piosenkę 4.000 dukatów, za to na wypłatę „salariów" dworskich często nie wystarczy. Król tem się nie martwi, a gdy mu przyjdzie zwinąć trupę włoską i francuską, napisze zirytowany do pani Geoffrin: „za to, że oszczędzę na teatrze, nie wystawię przecież armii!" A ludzie grabią go, jak mogą. Raz n. p. szambelan Bronikowski pojechał do Anglii z misyą ubezpieczenia króla. Wziął na to 30.000 dukatów, wrócił z niczem, oddał ledwie dziesiątą część, a o resztę nawet go nie pytano. A ile kosztowało jedno po-

lowanie na żubry w Białowieży, albo wszelkie „ekspensa" na kobiety, wino i śpiew! *J'aime à donner*, powiada król w swym auto-portrecie, więc rozumiemy czemu doszczętnie wyłysiał pochylony nad rachunkami podskarbi tego władcy, który w ciągu dnia jednego wydawał przeciętnie 6.000 dukatów! I znowu niech mu przebaczy duch czasu. Wszakże Ludwik XIV. czynił tak samo a kłaniał się nisko lichwiarzowi Samuelowi.

2. PAN RYX I PAN TREMO.

Ponad ozdobione tytułami dostojeństwa i jaśnie oświecone splendory wznoszą się u dworu dwaj ludzie i daremnieby kto usiłował wpływ ich przeważyć. Pan Ryx i pan Tremo. Pierwszy kamerdyner i pierwszy kucharz króla Jegomości. Spadało i wywyższało się dworactwo na drabinie łask, rzucała ludźmi jak piłką wola królewska, utrącała intryga, pognębiała, to znów awansowała aktualna konfiguracya *in politicis*. Innych, ale nie tych dwóch. Przez cały ciąg królewskich rządów, przez wszystkie cztery klimaktery ostali się: zawsze konieczni i nieodzowni, pierwsi i najpotrzebniejsi. Pan Tremo i pan Ryx. I nie mogło być inaczej. Nie zjadłby nic król Jegomość i nie byłby ubrany, jak należy, gdyby nie oni. Co dziś będzie na obiad, było u dworu problemem poważnym. Któż problem ten rozwiąże? Jeden tylko pan Tremo. A skąd wziąć gotówki, gdy jej brakło nagle? Jak wymotać majestat z przygody erotycznej? Komuż wreszcie pamiętać o wszelakich drobiazgach, z których się życie na codzień uplata? To był wydział Imć Ryxa.

Zarysowały się później między oboma różnice. Porósł szybko w pierze i fortunę pan starosta piase-

czyński i butnie nosił głowę do góry, pan Tremo zasię zostanie zawsze, czem był od początku i wraz z bratem Żakiem stwarza istne uczty Gargantuy. Władał kuchnią, piekarnią, piwnicą, cukiernią i kredensem dowodząc kompanią 70 prawie osób, kucharzy i pasztetników, rotisserrów i cukierników, liwerantów, klucznic i pomywaczek. Ilość nie nadmierna skoro zważymy, że król już jako stolnik miał pięciu kucharzy na swe usługi, a w sejmie konwokacyjnym zwrócił na się uwagę szlachty smakowitością podawanego jadła!

Wiemy już jakie przysmaki lubił król nadewszystko, ale pan Tremo wiedział o tem jeszcze lepiej. Dwór bez niego nie ruszył się nigdzie: do Wiśniowca i do Kaniowa brano go z sobą, potem do Grodna, wreszcie do Petersburga. Tak się był zaś król do zasad kulinarnych Tremona przyzwyczaił, że już na wygnaniu. w czasie obiadu u cara Pawła, westchnie: „Cóżbym dał za to, gdyby i Tremo zaproszony był do cesarza na obiad!“ Gdy w jakiś czas potem Tremo dostąpił zaszczytu gotowania obiadu dla cara, król nie posiada z radości. *Menu* obiadowe bywało zawsze przedmiotem długich deliberacyi. Biada wszelako człowiekowi, ganiącemu obiad, który smakował królowi Takiej odwagi dokazał brygadyer Jakubowski, grubas francuski, lubiący bardzo „trufelki, cynamonek, szafranki i czekoladki“. Śmiałość tę przyszło mu widocznie potem odpokutować, o czem świadczy wierszyk z ekskuzą:

Surową Pana przerażonym miną!...
Wszyscy mi rzekli, że to moją winą.
Jam zgrzeszyć nie chciał, rzekłszy, że pospołu
Dwom nam podano twardszą sztukę wołu,
Ślinę łykałem na tę z pasternakiem

I w smak mi poszedł rozbef z kilman-rakiem.
To prawda, rzekłem, ale bez uwagi,
Żem nie skosztował jeszcze czamanagi,
Daruj królu...

Gdy od czasu afery Dogrumowej nabił sobie król głowę obawami otrucia, pan Tremo stał się jeszcze niezbędniejszy. Król nie obiadował nigdzie, nawet u ks. podskarbiego jeść nie chciał, wierzył tylko kuchni swego Tremona, a ceremonia uprzedniego próbowania pokarmów była niemał tak dokładna, jak owe *essays* za Ludwika XVI.

Wszechwładny Franciszek Ryx (* 1732 † 1799) zdobył sobie szczególną przy królu pozycyę, niczem później Napoleoński Constant. Szkoda jeno, że choć ortografia szła im ciężko, nie zostawił, jak tamten pamiętników, bo wielce zajmujące są dzieje człowieka, który z biletera stał się dyrektorem teatru, a z kamerdynera — jaśnie panem starostą! Szalonym sprytem i znajomością ludzi obdarzony być musiał ten czeladnik fryzyerski, z Flandryi rodem, który chłopcem małym dostał się do Polski na dwór podkanclerzego Sapiehy i tu czesał pokornie książęce peruki.

Jeszcze przed elekcyą zetknął się gdzieś ze stolnikiem. Jedni twierdzą, że w Paryżu, inni, że rekomendował go kuzynowi ks. Adam Czartoryski. Zoryentowawszy się w miękkości charakteru nowego pana i zwęszywszy dobre dla się widoki — usidłał szybko chytry fryzyerczyk Stanisława Augusta. O trudnych początkach opowiada złośliwie ks. Kitowicz: „Prał go król w pysk o lada niedogodność, a, iż guzy i kułaki od króla oberwane, nigdy mu bez basarunków dobrych nie przysychały, dlatego często się na nie narażał“. Pierwszy szczebel karyery stanowi rzemiosło intratne, nie-



MARCELLO BACCIARELLI: KS. MARSZAŁKOWA LUBOMIRSKA

wstydliwe zresztą wówczas nawet senatorom ni hetmanom. Jest tedy zrazu monsieur Ryx, który do końca dobrze pisać po polsku się nie nauczy, „plejzerów miłosnych króla najsprytniejszym rajfurem“, ale potem szybko rozszerza agendy i zyski ciągnie ze sprzedaży orderów i kluczów szambelańskich. Tak samo jak ów fryderycyański, napędzony zato lektor mr. Catt, ale z większem szczęściem i powodzeniem.

Dzięki ogromnemu sprytowi finansowemu Ryx dochodzi wkrótce do majątku. Mówi się o tem w Warszawie jak najgorzej. Że doprowadził do ruiny kilku kupców cudzoziemskich, że wiódł szalbiercze, krzywoprzysięskie procesa, że oszukał szwagra swego Colignona, od którego wyłudził za pół darmo palac pod Blachą, aby go sprzedać królowi i wiele innych sprawek nieczystych. Z kamerdynera podniósł się wkrótce wyżej. Już wtedy nie w smak panu staroście piaseczyńskiemu podawać szaty królowi, a zostawia sobie tylko jedną czynność: przypina ordery ubranemu królowi. Z czasem stanie się kasą podręczną króla i wszechwładnym administratorem jego finansów. Do tego doszło, że gdy król pieniędzy na rewers potrzebował i szambelanów na miasto rozsyłał, wówczas zastrzegali się żydkowie, że tylko wtedy waluty nie poskąpią, gdy *ryx* a nie *rex* na rewersie podpisany będzie!...

W przedsięwzięciu teatralnem zaczął także Ryx od małego. Kiedy na zamku urządzono pierwszy teatr francuski, gdzie grały namiętna teatromanka pani de Nassau z domu Grodzka, oraz Sewerynowa Potocka, pan Ryx skromnie i grzecznie sprzedając bilety u wejścia, zwęszył świetne profity, a powodzenie Tomatisa, który zrobił majątek na wprowadzonej do Warszawy operze

włoskiej, dodało mu bodźca. Nabył tedy przywilej teatralny od zniechęconego Sułkowskiego, połączył dramat z operą i baletem i wraz z baronem Kurtzem, wiedeńskim obieżyświatem objął kierownictwo teatru na Nowym Świecie. Kiesa królewska, pomoc i rada zapewnione, impreza pomyślana sprytnie, przeprowadzona energicznie. Z Włoch jadą głośne gwiazdy Campanucci i pani Bonafini, Warszawa poznaje nieznany sobie dotąd rodzaj: „operę serio" a Ryx — dzięki potrojonym cenom miejsc — zgarnął góry złota i zdobył powodzenie, o jakiem się nigdy ani śniło Bogusławskiemu. Rozgoryczony ojciec dramatu polskiego w swych pamiętnikach porówna potem ten entuzyazm Warszawy z greckim zapałem dla igrzysk olimpijskich! Ryx stał zdala od właściwego kierownictwa, zachowując sobie tylko najbardziej lukratywną część imprezy: przywilej i płynące zeń korzyści. W dziesięcioleciu 1776—1786 spotykamy osobę jego we wszystkich przedsiębiorstwach i próbach dotyczących teatru. Praojciec dzisiejszych ajencyi koncertowych, nie kryje się wcale z tem, że wcale mało mu zależy na artystycznej, a cóż dopiero narodowej idei! Co straci na dramacie, to zaraz odbija na balecie. Jak zrazu dorobił się grosza na operach *„Didone abandonata"* i *„Eurydyka"*, tak później powiodły mu się występy umyślnie sprowadzonego głośnego tancerza Pica. Ryx wiedział też, jak szukać w mieszkach błękitnych. W początkach samych wspomaga go marszałkowa Lubomirska, potem magnaci sypią szczodrze złotem na balety jego. Tu wystarczy wspomnieć o amfitryonie gwiazd opery Marcinie Lubomirskim, który kosztem 50 tys. złp. wystawił balet „Sąd Parysa", sprowadziwszy doń kostyumy w Paryża. W tym samym czasie dramat

polski grzeje się przy jednym piecu,. w mizernej sali na placu Krasińskich i coraz przerywa przedstawienia z biedy.

Gdy w r. 1785 wybuchła afera trucicielska pani Dogrumowej, a wmieszany w sprawę Ryx dostał się do więzienia w klasztorze Paulinów, przygasła silnie jego gwiazda. Ale tu także dowiedzie swego sprytu, ujawniwszy na sali sądowej dużą kulturę literacką, przypomnieniem opartej również na niedosłyszeniu sprawy aresztowania pana Scudery, autora romansu „Cyrys“, ale to mu dawnych splendorów nie wróci.

Wywiozą potem nieszczęsnego króla do Petersburga, mocarstwa zaborcze płacić będą długi jego, a w Warszawie pozostanie *natus et possesionatus* pan starosta piaseczyński, właściciel majętności wielkich i kapitałów, żonaty z równie wpływową Imć panią Ludwiką z Melinów, ten mierny ongiś fryzyerczyk flandryjski.

3. *FAWORYCI, WIELMOŻE I ŁUSZCZYBOCHENKI.*

Bez wielu innych odbędzie się assambl i gala dworska, ale bez księdza biskupa smoleńskiego nigdy. Gdy go czasem niema w Warszawie, to musi przyjechać, król prosi i każe, bo się tak przyzwyczaił, a zresztą kocha „Narucha“. Nawet do Kaniowa razem w jednej pojadą karecie. Ks. biskup Naruszewicz, człek wysoki, twarzy niepięknej, chudej, miał nos jak spłaszczoną trąbę, włos lisowaty i bardzo nieokrzesane maniery i wcale się z tem niekrył, że wiejską plebanię przenosi nad woskowane pawimenty pałaców.

Nie dworak modny, ale raczej mnich ubogi, w poplamionym kabacie, puklu z tyłu grubym i potarganym. Zato jowialny aż do zbytku! Mieszkał przez siedm prawie lat nad pokojami królewskiemi w jednej izbie wraz ze służącym. Boże zmiłuj się, jak tam brudno! Żelazne, rzadko prześcielane łóżko, podobniejsze do barłogu nędzarzy, stół przedwieczny pełen foliantów i ksiąg, portret króla na prostej ścianie i dwie szafy dębowe, oto całe mobilium poety i historyka, który nie uznawał imperatywów wytwornego czasu.

Powoli przyzwyczaja się dwór do sarmackiej rubaszności Narucha, wiedząc dobrze, że on bardziej kocha Horacego, niżeli brewiaż i ornaty, a nie wiedząc, że ten człowieczek, jeden z niewielu, utrzymać potrafi do końca godność narodową bez szwanku.

Niechby tylko wierszy swoich „miodopłynnych" nie czytał, w których „ciężkorymny" wieszczek z „siebielubną pychą" puszcza swą „jękorymną wenę" na „skrzydłoruche Tetydy". Cudacznie złożone przymiotniki były stałą nawyczką ks. biskupa. Już o wiele więcej wzięcia mają na dworze wierszyki nieprzyzwoite; napisał ich conajmniej tyle, ile panegiryków na cześć króla, tych zaś było coś ze trzy tuziny. Dworacy ubiegają się o łaski faworyta królewskiego także i dlatego, że w potrzebie pisuje im wiersze miłosne na użytek zakochanych. Potem wszakże przyjdzie kreska na biskupa. Złośliwy amor przestrzeli boleśnie serce ks. biskupa, a ludzie będą sobie pokpiwać:

Jeśli dobrze
Było w Bobrze
Biesiadować w zakonie —
Wstyd poecie
W fijolecie
W cudzej kochać się żonie.

Tą cudzą żoną jest pulchniutka pani kasztelanowa, kobiecinka mało uczona, ale mocno zalotna.

Opędzał się Naruszewicz ile umiał od erosa i plotek, ale robił to niezgrabnie, tak jak niezgrabnie układał dla siebie samego już teraz rymy zakochane: „Miesza się we mnie przyrodzenie samo, w takim, ach takim jestem stanie, damo!“ Zaprawdę, przykra sytuacya. Ale druhowie jego Trembecki i Krasicki w gorszych, jak usłyszymy, bywali.

Zostawmy teraz w pokoju ks. biskupa, którego jeszcze przy niejednej pracy z królem wespół spotkamy i z poważniejszej obaczymy strony. Niechaj się pocieszy i koi strapienia miłosne wertowaniem annałów historycznych w swej izdebce. Są na dworze ludzie inni, źli i postrach budzący.

Więc najpierw o najszaleńszym z warchołów, co często miał głowę zapitą, a zawsze — duszę pianą. Gdy nieprzytomny wpadnie na zamek i zaklnie po hajdamacku, bledną wszystkie fircyki a wibrujące w rękach dam wachlarze zamierają w bezruchu... *Qui est là?* To Branicki — Belzebub i Cezar Borgia polskiego oświecenia! Nikt nie wie, co zrobi: czy za chwilę rzuci się królowi do kolan, czy też nakrzyczy mu grubiaństw ostatnich. Bo jedno i drugie równie było łatwe.

Król rozmawia z nim, niczem stryj Hamleta z Laertesem i ma jeszcze potem cierpliwość spisywania tych upokarzających dyalogów, których do końca przeczytać nie można. Repnin radził sobie lepiej, kładąc zawsze na czas rozmowy nabite pistolety na stół. W Ksawerym Branickim upostaciowała się chyba wszystka buta dawnej polakeryi, której był żywym, ostatnim speciminem w geście, słowie i stylu. Bielidła rokoka nie imały się nic tej rogatej sarmackiej duszy. Bo choć znał na wylot wszystkie dwory Londynu, Paryża, Petersburga, choć bywał na wojnach fran-

cuskich i w salonach, z Katarzyną grywał w lombra, (co nie wielu ludziom było wolno), z Ludwikiem XV. dyskutował o Wolterze, mimo to zostanie zawsze już nie rubachą, ale nieokiełznanym opilcem hajdamackim! Przy całej sile żywiołu natura pasożytnicza. Jeden z tych ludzi, którzy, jak mówi Kraszewski, „mają dość siły, aby podgryzać dęby potężne, ale o własnej mocy utrzymać się nie mogą“. Nie tyle o władzę i ambicyę panowania idzie panu hetmanowi, ile o folgę chwilowym szałom i zachciankom, o rozkoszną świadomość, że wszystko jego kaprysu usłucha. Nic też znamienniejszego, jak stosunek Branickiego do króla!

Za młodu już odda się duszą stolnikowi, ratując go dwukrotnie od niezaszczytnej śmierci, raz w Petersburgu, to znów w czasie reasumpcyi trybunału. Będzie dlań walczył z Barszczanami, a nawet, gdy królowi potrzeba gotówki — potrafi zdradzić za pieniądze sekrety polityczne Saldernowi! Zawsze nieobliczalny: dziś dyszący pomstą straszliwą, jutro przesadny w objawach czułości. U króla widoczna dziwna słabość do Branickiego: magnata zeń czyni, daje starostwa, buławę, szarżę generalską, kupuje pałace w prezencie, by zaraz nazajutrz — drżeć w obawie przed nim, jako hersztem swych wrogów. Bo przecież ten zły duch opozycyi najwięcej burzy rozpęta, a w lipcu r. 1791 uplanuje nawet zamach stanu z zamiarem zwalenia konstytucyi i porwania króla z Łazienek. Branicki godzien jest monografii. Jakże lęka się go Potemkin i nawet wszechmocny Stachelberg, szczególnie po małżeństwie hetmana z siostrzenicą Potemkina. A te jego plany! Warcholskie, śmieszne, dziecinne!

Zamawia w Holandyi ruble fałszywe, by zniszczyć skarb rosyjski, chce Kronsztad wysadzić w powietrze,

to znowu, obiecuje Czartoryskiej (która i jego amorów spróbować musiała!), że ją zrobi królową polską... Czasem błyśnie gestem wspaniałym, jak wówczas, gdy raniony ciężko w pojedynku z Casanovą, rzuci mu worek z 400 dukatami i doradzi gdzie uciekać. Ale, że gesty wspaniałe były pojawem rzadkim wśród codziennych burd i awantur, dlatego przycichało wszystko strwożone, gdy pan hetman pojawił się na dworze.

O ileż łatwiejsza sprawa z nieświeskim Heliogabalem, który pod sobolami litewskiej przekory i nadczłowieczeństwa, chował duszę dziecka! Z niekoronowanym królem Litwy, Radziwiłłem „Panie kochanku“, mimo wszystkie walki, prędzej król doszedł do ładu, choć wiele wody upłynęło, nim Panie kochanku uznał monarchę w człowieku, któregoby przedtem nawet do konfidencyi nie dopuścił. „Nim rzeknie Najjaśniejszy, trzykroć się zakrztusi“, zaś audyencye u dworu nazywa oddawaniem królowi wizyty. Nie trwają one nigdy długo, bo król ledwo znosi uporczywe gadulstwo bajczarza. Jak cała postać dowcipnisia przeszła w legendę, tak i o jego stosunku do króla krążą ucieszne historyjki.

Kiedy Radziwiłł powrócił z wygnania, trwają długo pertraktacye o pierwszą audyencyę u króla, nie sposób mu bowiem zgodzić się na ucałowanie ręki królewskiej. Próżno go namawiają.

— Nie widziałem, Panie kochanku, żeby wojewoda stolnika po rękach całował! Król na wieść o tem kiwnął z uśmiechem ręką:

— Niechże nie całuje!

Znowu źle, bo nagadał ktoś Radziwiłłowi, że tak też nie wypada, a ludzie powiedzą zaraz: o! król odmówił mu tego zaszczytu. Rada w radę, nowe nego-

cyacye, na których ostatecznie postanowiono, że przeprosiny odbędą się w szczupłem gronie zaproszonych osób. Będzie tylko prymas, Ludwik Tyszkiewicz, biskup Turski i kuzyn Maciej. Jadąc do zamku, gotował się Radziwiłł przez całą drogę, by taką wypalić oracyę: „Daruj W. K. Mość! cała moja wina, żem nie umiał ocenić przymiotów mojego króla i Pana“. Ale cóż, kiedy zapomni języka, a przystąpiwszy do monarchy bąknie tylko:

— Panie kochanku, Najjaśniejszy Panie, bardzo przepraszam...

Król, nie słuchając końca, odpowiada:

— Mości książę, Panie kochanku, kochamy oba ojczyznę, pracujmy też oba dla jej dobra! Już był niedźwiedź udobruchany do cmoknięcia gotów, gdy król, rękę wstrzymawszy sam go w czoło całuje.

Tak sobie opowiadano w Nieświeżu, a świadom rzeczy pan Ambroży Wejła opowiadanie spisał. Później rozmaicie bywało, jak znowu zaświadcza Ochocki. I tak, gdy z rozkazu monarchy wprowadzono mundury wojewódzkie, Radziwiłł wybrał się do króla w kontuszu tak podartym i połatanym, jakby go wczoraj na tandecie kupiono. Pyta tedy Stanisław August o przyczynę szczególnego stroju. Na to wojewoda, trzepiąc się po kontuszu: — Panie kochanku, bo ten kontusz to już na szesnastym wojewodzie wileńskim! Stare łachmany, ale nie każdemu się w nie stroić...

Cóż było robić? Król musiał zjeść przegryzkę. Naogół naśmiewano się obficie z wojewody, że mu z pisaniem ciężko, że kapłony palcami z półmisków bierze, ale gdy się bywało postawi, to dwór cały języka w gębie zapominał. Tak działo się na przyjęciu

króla w Nieświeżu w r. 1785, tak i w czasie balu warszawskiego na pomyślność Korony i Litwy, co 2 miliony złp. kosztował!

Z litewskich swych, piękniejszych niż królewskie przepychów, zjeżdża do Warszawy Michał Kazimierz Ogiński, hetman-„klarynecista“; zwany tak dlatego, że grał doskonale na skrzypcach i wogóle znał się na muzyce. Płochy, piękny, przytem łatwowierny i naiwny, jak dziecko, królewię litewskie w kosztownych grodeturach, zawsze w orszaku złocistych janczarów. Zanim przejdzie do opozycyi ten kuzyn króla, ożeniony z Czartoryską, bywa na dworze stale. Raz, (opowiada o tem Heyking), wpadł na zamek zdyszany, wołając:

— Właśnie umarł mój kolega!

Przypuszczano, że to o pisarzu Sosnowskim mowa. — Nie, Sire, to — Jan Jakób Rousseau! Koleżeństwo owo stąd sobie wykombinował, bo Jan Jakób napisał raz operę, a pan hetman czynił to z pasyą także, przy wydatnej pomocy jakiegoś Włocha. Lubił także układać wiersze, które zań pisał pan Chomiński, smarował płótna, z czego malarze robili obrazy, a nadto uważał się za trzeciego architekta w całej Europie. Nakoniec dokonał wiekopomnego wynalazku: skonstruował pedały do harfy.

Przemiłe wesołki i pustaki rozbijają w puch sztywną etykietę polskiego Wersalu. Wśród żartownisiów, z których jedni należeli do typu *narrateur* inni zaś *causer*, nie wiedzieć komu dać berło pierwszeństwa. Czy szambelanowi Żaboklickiemu, który rozśmieszy nawet melancholika Zabłockiego, a zawsze ma w zapasie wierszyk solą i pieprzem posypany, czy też czcigodnemu Czaplicowi? Dziwny to czło-

wiek, ten pan łowczy koronny, Celestyn ze Szpanowa Czaplic, herbu Kierdej. Senator uroczysty i w powszechnej estymie, znawca praw i statysta, pamiętny marszałek sejmu Czaplicowego, a przecież nad wszystko lubi „kobiet niewinne pieszczoty“ i pustackie piosenki, które sam układa na uroczystości. Na rękach nosi dwór marszałka, gdy weźmie do rąk gitarę i zanuci swą strofę ulubioną:

„Niech żyje zawsze ten luby kątek
„Z którego mamy życia początek!“

A malarz Vogel, albo pazik Turkułł? Zygmunt Vogel malował bardzo zmyślnie i miło swe pejsaże, ale bawił ludzi jeszcze lepiej, zawsze dumny, przeto, że rodził się jak król w Wołczynie. Turkułłowi znów wszystko wolno. Jest on Stańczykiem Stanisława Augusta. A przytem także wierszami sypie *ex abrupto*. Nieraz wystrychnie na dudka najbardziej poważną personę, często królowi samemu ostro dotnie, albo pani Grabowskiej, pamiętna zaś jest sprawa, gdy przy oglądaniu złotych medali królów polskich, wrzucił zręcznie jeden z nich za obszewkę fioletową Naruszewiczowi.

— Gdzie jest Władysław Warneńczyk? — zapytał po chwili król, gdy medale złożono do pugilaresów.

— Zginął pod Warną — rzekł Turkułł — jak temu ks. biskup poświadczy...

Ksiądz biskup kosem okiem spojrzał na figlarza i z przerażeniem odnalazł medal w swych szatach.

...W tem umilkł gwar, bo śpiewa panna Bacciarelli.

Wszystko Krysiu będziesz miała,
Byleś tylko sama chciała:
Koronki, klejnoty, szaty,
Fraucymer ładny za katy,

Modne kolaski, karety
Pazie, francuzy, stangrety,
Strojne sługi do parady,
Pałac wielki w kolumnady!

A chór powtarza społem:

Wszystko Krysiu będziesz miała,
Byleś tylko sama chciała!

Nagrodą śpiewaczki jest poklask ogólny dla córki najlepszego z królewskich przyjaciół. Mademoiselle Anusia, nie piękna, ale w sentymenty bogata cieszy się sympatyą całego dworu. Ojciec chce z niej mieć godną spadkobierczynię talentu, kształci ją więc w malarstwie. Uczy się naprzód w domu także i u matki miniaturzystki, kształci się w portretowaniu i robi konterfekt Greczynki Wittowej, potem wojażuje trochę. Dużo powodzenia ma w śpiewie, to też produkuje się na koncertach, śpiewając po polsku i włosku. Więcej o śpiewaczce nie wiemy, słychać jeno „że zakończyła smutno żywot wielce egzaltowany".

Możnaby bez końca, mnożyć konterfekty oryginałów i prezentować coraz nowe procesye bywalców. Nie o wszystkich wszelako mówić trzeba i warto, bo ileż wśród nich figur mętnych i podejrzanych! Grzebiący w brudach Essen powie o nich krótko: „Osoby najwyższego urodzenia, a przecie dopuszczają się występków i zbrodni". Kto ich karze? Nikt. Gdzie kryją się? Na dworze królewskim, w Warszawie należą do najpierwszych świeczników towarzystwa. Możecie tu poznać wojewodę, który ukradł sygnet, starostę fałszującego weksle i karty, a wreszcie kawalera maltańskiego, do którego rzekła raz pewna dama: „Pan niewiele zyskał, ukradłszy mi zegarek, bo on kosztował

tylko 80 dukatów". Zaprawdę jednak nie odnoszą się te brzydkie insynuacye do wielu ludzi, o których nie wspomnieliśmy. Nie kradł, jako żywo, zegarków Imć. Benedykt Hulewicz, równie głęboki łacinnik, jak figlarny dowcipniś; nie fałszował weksli oryentalista Dzieduszycki, uczący króla po turecku, albo gruby i porywczy Wojciech Mier, ani nawet Arnold Byszewski, choć różnie mówiono o tym rycerzu szczęścia, co z kozaka czerkiesika zostawszy masztelarzem dopiął później stopnia generała i komendanta. Zakończmy wreszcie wspomnieniem o serdecznym przyjacielu starych lat królewskich. Był to ostatni jego sekretarz, Badeni, człek daleki od spraw politycznych, ale sercem oddany królowi, co nieraz zmęczony pracą przy biurku zasypiał jak dziecko na jego ręku. O ile tego nie czynił w białych ramionach kobiecych. O nich, o świegotliwych dworkach, co były, lub tylko chciały być metresami króla, powiemy osobno, tak, jak na innem miejscu mowa będzie o braci malarskiej i literackiej, jakoteż o ludziach, których pełno na dworze w każdym kącie, choć słowa po polsku powiedzieć nie umieją — o przybyszach cudzoziemskich.

4. W PĘTACH INTRYGI.

Wprawdzie madame de Genlis poucza w swym dykcyonarzu etykiety dworskiej, że wszelka intryga jest rzeczą bardzo brzydką i nie powinien jej cierpieć troskliwy władca na swym dworze, wprawdzie zaleca dalej, że szanująca się grande dama nie może być *artificieuse et intrigante* lecz zawsze *aimable, douce i naturelle*, ale któżby tego słuchał? I w tym względ-

dzie Łazienki mogły iść z Trianonem w zawody. Przestronne apartamenty, rozkoszną wonią angielskiej wody wypełnione, są labiryntem intryg co najwyszukańszych. W tem jarzmie chadzają wszyscy. Wre bój nieustanny *à outrance* o wpływ na wiotką duszę króla epikurejczyka, o klucze szambelańskie i protekcye, o wyderkafy i szmatki orderowe. „Żelozia“ chytra a zjadliwa, wraz z obłudą w uśmiechu skrytą, pracują od świtu do nocy. Bogini świegotka włada niepodzielnie.

Wyleci słówko wróblem z Łazienek, obiegnie pałac Saski i Repinowski, by wrócić wołem do królewskiej garderoby. Kichnie kto u dworu, a zaraz z Pałacu błękitnego pada odzew zjadliwy i rozdąsany: na zdrowie! Zasadnicza intryga, jądro historyi polskiej w XVIII. wieku, tj. bój homerycki Czartoryskich z Potockimi, Radziwiłłami i Sapiehami, jest tutaj tylko tłem w dalekiej perspektywie, tłem, na którem dopiero wiją się nieprzeliczone gniazda swarów pomniejszych, ale upartych wśród familii samej. Gniazda coraz inne i nowe. Z początku, gdy rządzą dworem wujowie Czartoryscy, bije w mury taran tych wszystkich walk, jakie wiedzie familia. Ale gdy w r. 1776 umrze ks. Michał, a w r. 1782 ks. August wojewoda ruski, wówczas ster polityki obejmą bracia królewscy i siostrzyczka, a ich znów wszystkich osaczy ambasador rosyjski, z którym Czartoryscy pójdą solidarnie przeciw niewygodnemu królowi, gotowi każdej chwili do jego detronizacyi.

Wojen domowych jest na dworze tuzin, czy z nuncyuszem papieskim, lub zwolennikiem Sasów, prymasem Podoskim, który z okien swego pałacu, gdzie mu pani Oemchen lupanar urządziła, patrzy i knowa

wciąż zawistnie przeciw spacerującym w ogrodzie zamkowym dworkom. Księżna generałowa kopie dołki pod panią krakowską, panie Brzostowska, Wielopolska i Ossolińska łączą się przeciw Ciołkowi. Marszałkowa Lubomirska — której mąż tak bardzo nie lubi króla, jak ona go nienawidzi — dyszy pomstą ku matce ks. Józefa i księżnej generałowej Czartoryskiej, Branicki zaś dałby im wszystkim napić się wody tofańskiej tj. takiej, która kości ludzkie w próchno przemienia.

Śmiało rzec można, że jeden jedyny bawił na dworze człowiek, który plotek nie słuchał, w obmowy się nie bawił, intryg nie rozszerzał. Był nim zaś... głuchoniemy szambelan Wilczewski.

Łatwo też pojąć, jakiem okiem patrzą na siebie metresy królewskie „bywsze“ i aktualne, „gratyskowe“, czy pensyonowane! A więc: co ks. wojewodzicowa mówi głośno o władczyni Puław, co jedna Sapieżyna, ta mścisławska, myśli po cichu, o drugiej, tej litewskiej, w chwili gdy spotkają się razem w antyszambrze królewskiej, gdzie przywiódł obie wspólny cel: suplika o wsparcie pieniężne!... A *Fredericus rex*, gdy mu o tem doniosą, napisze, jakże niestety słusznie, w swoich dziełach: „Rozum w Królestwie polskiem popadł w zależność od niewiast. Intrygą rozstrzygają o wszystkiem“. Cóż zostaje nieszczęsnemu królowi? Najczęściej: *principe de non intervention;* trzaska wtedy drzwiami i idzie sztychy oglądać w bibliotece.

Przykładem najlepszym celności strzałów „familii“ przeciw królowi jest sprawa pani Geoffrin. Uwielbiał ją król, jak nikogo na świecie i szczycił się przyjaźnią siedmdziesięcioletniej staruszki z ul. St. Honoré. Miesiącami całemi pracuje, by ją do Warszawy sprowadzić, komnaty przyozdabia, karetę osobną bu-

dować każe. Nigdy mu może na niczem tak nie zależało, jak na tem, by przyjaciółka encyklopedystów odniosła najlepsze wrażenie, może nawet na stałe w Warszawie zamieszkała — i cóż się dzieje? *Les plus cruels ennemis du roi* stary ks. wojewoda z żoną dołożyli starań, aby odrazu po przyjeździe Francuzki lancetem intryg przeciąć nici tego wyjątkowego sentymentu. Po miesiącu opuści p. Goeffrin Warszawę, *sed quantum mutata!* Rozżalona, skwaszona i zawiedziona już nigdy więcej nie napisze w liście do króla: *Mon cher fils*, ale poprzestanie na oficyalnem: *Sire!* Augustowa Czartoryska nagadała źle ubranej żonie fabrykanta luster, poprostu inpertynencyi, a książę wojewoda w sposób bardzo niewybredny oczernił „drogiego syna“ przed nią. Bezsilność króla widać tu w całej pełni. „Przeklinał — czytamy w pamiętnikach — chwilę w której ją sprowadził na dwór i ledwie co nie żądał, żeby sobie pojechała“.

W dziesięć lat później wybuchnie skandal, w obec którego zbledną wszystkie dawne intryżki. Trucicielska afera majorowej D'Ugriumow, przebiegłej „awanturierki“ o krzaczystych brwiach, rozdmucha nowe płomienie nienawiści między Zamkiem królewskim, a Pałacem błękitnym, zniszczy doszczętnie ostatek stosunków wzajemnych, a zakończy się klęską Czartoryskich i wyjazdem ks. marszałkowej do Paryża na zawsze. Awantura wstrząśnie całą niemal Rzeczpospolitą, a na wszystkich dworach Europy wzbudzi żywą ciekawość swym przebiegiem. Bo przecież nie byle co się stało: aresztowano kamerdynera królewskiego i adjutanta Komarzewskiego, a króla samego chciano skompromitować jako truciciela i podżegacza do zbrodni. Od czasu afery królowej duńskiej, która w r.

1774 z pomocą swego kochanka, lejbmedyka, chciała zdetronizować męża od czasu procesu o naszyjnik królowej francuskiej, nie było rzeczy ciekawszej.

Gdy w styczniu r. 1785, w czasie premiery opery „król Teodor“, rozniosła się wieść o aresztowaniu Ryxa pod zarzutem usiłowanej zbrodni otrucia, wrażenie było w Warszawie niesłychane, a cóż dopiero na dworze! „Powracam właśnie od dworu — pisze Ignacy Potocki — nigdy smutniejszej nad dzisiejszą nie było gali. Król się wcale widzieć nie dał. Lubo pełne pokoje były, jakaś smutna panowała odludność i samotność, każdy w ustroni sąd osobny układał y najmniejsze rozważał okoliczności“.

Nie będziemy opowiadać przebiegu sprawy i procesu, o którym wiele pisano. To jeno zaznaczyć trzeba, że intryga zawiodła, a to *coup d'etat* opozycyi przeciw królowi nie udało się zupełnie. Pomimo najusilniejszych zabiegów siostry ciotecznej króla, ks. marszałkowej, która złotem i błotem walczyła przeciw znienawidzonemu kuzynowi, udowodniono przed sądem marszałkowskim bezpodstawność oskarżeń Dogrumowej. Co więcej wyszło na jaw, że podobną intrygę proponowała ona już przedtem ale... stronie przeciwnej, a gdy się nie powiodło przekonać króla, że ks. Adam pragnie go otruć, wtedy przebiegła hetera ujęła kij z drugiego końca: oto zdołała wmówić w otoczenie Czartoryskiego, że właśnie król — za pośrednictwem Ryxa i Komarzewskiego — zamierza otruć ks. Adama. Skazana na pręgież, piętnowanie znakiem szubienicy i wieczne więzienie, wydostała się zeń później i mieszkała do zgonu na łaskawym chlebie w dobrach Czartoryskich.



MARTEAU LUDWIK: MADAME GEOFFRIN

Zaczem przejdźmy do głównej kwatery wszelkich intryg, do pałacu ambasadora rosyjskiego.

5. SUWERENI KRÓLA.

Nie należy ani na chwilę zapominać o ich obecności i władzy, z rokiem każdym rosnącej. Żelazna obręcz, którą pan ambasador, *alias* poseł upełnomocniony Najjaśniejszej Imperatorowej, wtłoczył na skronie Rzeczypospolitej, zacieśnia się i zacieśnia. Repnin zacznie tę pracę i Repnin ją po Stackelbergach i Bułkakowach dokończy, a dwór, jakże często, ułatwi! Przez cały niemal ciąg rządów Poniatowskiego ambasador rosyjski jest instancyą rozstrzygającą. W wielkich sprawach politycznych zapewne? Nietylko, także i w innych. Uszom nie wierzymy, gdy Anglik Harris opowiada, że król prosił go raz o protekcyę i to w takiej sprawie... Oto zażądał pan Repnin, aby tańce rozpoczęto przed kolacyą, gdy król pragnął ich dopiero — po kolacyi. Prośby nie zdały się na nic i dopiero interwencya Anglika przyniosła królowi zwycięstwo: tańczono po kolacyi.

Odrazu po swem przybyciu do Warszawy próbuje Repnin tonu ostrego i bezwzględnego i jest wprost zdumiony pokorną uległością dworu. Król będzie się uskarżał innym posłom na surowość Repnina („traktuje mię w taki sposób, jakiego ja wstydziłbym się wobec najlichszego z mych służących"), ale nieszczęsny defekt cywilnej odwagi nie pozwoli mu choćby na słowo sprzeciwu. A zresztą wie od początku, że bez Rosyi w Warszawie, nie ma na tronie Poniatowskiego. I oni wiedzą także. Pisał prze-

cież Saldern w r. 1771: „Gdybym opuścił Warszawę z wojskiem i armatami, to w 24 godzin później Barszczanie ukamienują króla w pałacu". Suwerenność ambasadorów ujawnią się w ceremoniale towarzyskim. Weszło odrazu w zwyczaj, że król nieraz godzinami siedzi w teatrze, bo kurtyna szła w górę dopiero po przybyciu ambasadora; weszło w zwyczaj, że król polski musiał w poczekalni ambasadorskiej czekać na udzielenie łaskawej audyencyi!... Stackelberg po rozbiorach będzie kazał kasztelanom przynosić sobie krzesła, co jest jeszcze drobnostką wobec tonu repninowskiego na sejmach. „*Pan Bohomolec paszoł won!*" krzyczy po prostu, obiecując w razie oporu „nogą w tył", a do biskupów mówi się w tonie rozkazującym: „*Gowori inflanckoj!*" W Instrukcyach danych na drogę Repninowi, nakazano mu surowość wobec „woskowej lalki", nie przypuszczając wszelako, że *woszczenaja kukła* będzie potulną nad podziw. Gdy Repnin na wieść o zdobyciu Krakowa przez Rosyan i klęsce konfederatów barskich dał bal, król wziął udział w zabawie i, gwoli uciesze gości, naśmiewał się z dawnego obyczaju Sarmatów.

Zgodnie z sytuacyą polityczną poseł petersburski grał skrzypce pierwsze. Nierównie mniejsza rola przypada posłowi pruskiemu, a już całkiem mała Austryakowi. Panów Benoit i Rewicky'ego lekceważono tak, jak bano się Repnina, dopiero marchese Tulipano, czyli *serpent de l'Italie*, chytry organista sejmu Wielkiego, Lucchesini, w którego postawnej żonie kochał się Niemcewicz — stłumi na czas jakiś wpływy Petersburga.

Walczyli ambasadorzy rosyjscy kiesą i fartuszkiem. Lista pensyi jurgieltniczych powiększała się

z rokiem każdym, a wpływy fartuszkowe sięgały głęboko w życie dworu i państwa. Nie tylko decydował o każdym kroku i aprobował poseł Katarzyny każdy krok Rady i króla, nie tylko miał w mocy wszystkie nadania wakansów i urzędów, lecz także hetmanił pustym serduszkom pań warszawskich. Historyk polityczny nie umiałby wielu faktów wytłumaczyć, gdyby nie wiedział, jak obłędnie kochał się w księżnej generałowej Repnin, lub gdyby nie znał romansu Salderna z hetmanową Ogińską.

Puste i lubieżne dworki z Zamku warszawskiego padały z rozkoszą w objęcia ambasadorów, jenerałów rosyjskich i oficerów. I naodwrót przybysze z północy nie są w stanie oprzeć się urokowi małych rączek i ząbków białych, jakich nie znali nad Newą.

Nawet o pani Grabowskiej mówią, że kocha się w młodym Zubowie. Słynna z rozpusty madame Załuska afiszowała się z Igelstromem, którego podejrzywano też o stosunek z ks. marszałkową. Wdziękom ks. Heleny Radziwiłłowej uległ Sievers, oczarowany jej śpiewem, zaczem później asystował pani Camelli. Młody Stackelberg przypadał więcej do gustu pannie Kossowskiej, niż sam ks. Józef. Januszowa Sanguszkowa kochała się w Kreczetnikowie, zalotny Bibików próbował szczęścia u pani Ogińskiej i dostał za to własnoręcznego nosa od carycy! Rekord osiągnęła przecież głośna kochanica ambasadorów, pani Ożarowska, która też, dzięki temu, wykołata dla męża buławę hetmańską. Król i tu także ustępliwy. Cóż więcej mógł zrobić, skoro nawet własną kochankę odstąpi Repninowi, łudząc się wpływem, jaki tą drogą ewentualnie da się uzyskać? Wolał, że taki ambasador kocha się na miejscu, niż gdyby się miał powtó-

rzyć kaprys Salderna, który, przywiózłszy sobie rąz z Rosyi nieokrzesaną i łabatą Moskiewkę, wymagał, aby ją traktować, na równi z siostrami króla.

Grand-damy warszawskie martwiły się tym skandalem więcej, aniżeli pierwszym rozbiorem Polski! Ale zwolna doszło na parkietach salonów do porozumienia z przybyszami. Ambasadorzy umieli się bawić grzecznie i lekkomyślnie, kochali gorąco, a dla dam byli grzeczni uprzedzająco.

Bo czyż nie nazwać grzecznym srogiego skądinąd Sieversa, gdy tak pisze do swej córki: „Jedna z pań tutejszych bardzo mię o coś prosiła. Dałem jej w liście tytuł Jaśnie Oświeconej i odmówiłem prośbie. Powiesz, że byłoby lepiej napisać poprostu: *madame*, a prośbę spełnić? Cóż, kiedy to nie było możliwe".

Demoraliser pour asservir — oto hasło, w myśl którego rządzili i ujarzmiali Polskę, najpierw sami przez króla opłacani, potem jemu pensyę wypłacający. Uczynili z Warszawy przedmieście Petersburga, a odradzająca się Rzeczpospolita nie miała jeszcze dość siły, by wyrwać truciznę z korzeniem.

6. GALA, ALBO ASAMBLA U DWORU.

„Słowo: „gala" — tak wyjaśnia Tadeusz Czacki — nadawane uroczystościom dwornym, potem i biesiadom partykularnym, jest od arabskiego c a l a lub c a l o a t — suknia honorowa". Nawiasem powiedziawszy, na złego trafiliśmy objaśniacza, bo czcigodny Tadeusz Czacki, znany asceta i odludek, jako żywo nigdy na galach dworskich nie bywa, a słynie wszem wobec z roztargnienia i wielkiej pogardy form towa-

rzyskich. Wiadomo jak raz postąpił, zaskoczony wizytą królewską. Porwał się z ziemi, gdzie rozciągnięty ślęczał nad rękopisami i przewiesiwszy przez siebie wstęgę orderu Białego Orła, w koszuli i skórzanych pantalonach, ale zato z dekoracyą, wybiegł naprzeciw monarchy.

Ale nie o Tadeuszu Czackim mamy tu mówić. Gala dworska, na której jawiło się wszystko, co błękitne, wyjąwszy chyba zaprzysiężone wrogi króla, była sejmikiem wytwornej Warszawy. Szał radości, jak zając przeskakiwał opłotki morałów, wedle słów Porcyi w „Kupcu Weneckim“, a okazyi nie brakło nigdy. Dzień 8-my maja, jako uroczystość imienin królewskich i zarazem święto orderu św. Stanisława, Nowy rok, Niedziela Wielkanocna — oto terminy najweselszych asambli. Koło południa wysłuchano przykładnie *belle messe* w kościele Bernardynów, zaczem jechało się na Zamek, a król w dniu takim przy obiedzie pił dwa, miast jednego, kieliszki wina. Raz tylko od czasów Baru zmącił się rząd zabaw i przyjemności, gdy po straceniu Ludwika XVI. ogłoszono 6-cio tygodniową żałobę dworską, drugi raz miał się przerwać niedługo potem, ale już — na zawsze.

Gala, albo asambla dworska zaczynała się od tańców. Ludzie rokoka umieli i mogli tańczyć. Trwał błogi czas pokoju i nijakie *fructa belli* nie dokuczały rycerzom w krzyżach, czy goleniu. A już dla króla taniec był najwyższą z rozkoszy. Wiemy przecież z jaką przyjemnością odczytuje zawsze ten ustęp z podróży Holendra Bernoullego po Polsce, w którym powiedziano: „Króla polskiego stawiają w rzędzie najlepszych tancerzy. Widziałem go tańczącego z wido-

cznym powabem i gracyą“. I nic dziwnego, skoro ongi, jak z dumą wyzna w pamiętnikach, uczył się tańczyć u samego Marcela, a Marcel był twórcą menueta. Ludzie rokoka pół życia przetańczyli. „Tancmistrz pomoże ci więcej, niż Arystoteles“ pisał lord Chesterfield do syna, a tej dziwnej maksymy nikt w żart nie obracał Ludwik XIV. przez dwadzieścia lat zgłębiał tajemnice kontredansów i pląsał własnonożnie we wszystkich baletach dworskich. Każdą galę dworską w Warszawie uprzyjemniały dźwięki menueta z gluckowskiego „Orfeusza“, którego potem zastąpią przecudne aksamity „Don Juana“. Złoconą pałeczkę aranżera najchętniej dzierży w dobranem kółku król sam, o ile nie odbywa się ceremonialny *bal paré* z całym przepychem etykiety lub też *bal réglé*, na którym *ad hoc* osobnego wybierają monarchę. Moda tańczenia tak owładnęła elegantkami, że gdy angielski poseł Harris przybył do Warszawy „tańcowały z nim wciąż przez dni jedenaście“. Dwór pruski przyznać musi, że na naukę tańców trzeba jechać do Warszawy. Sejm czteroletni dzisiaj nazywamy Wielkim, u współczesnych nosił on nazwę sejmu weselszą: sejmu tańcującego. W niedzielę tańczono u prymasa, w poniedziałek u marszałka Mniszcha, we wtorek u Małachowskiego, w środę u ks. generała, we czwartek u Szczęsnego, w piątek u Ignacego Potockiego. Król w niedzielę przedpołudniem przyjmował w Łazienkach Izbę poselską. W cieniu drzew i przy szmerze kaskad podawano śniadanie, zaczem societa zebrana udawała się na bal do sali koncertowej. Król, po skończonym polonezie i kadrylu, konferował ze stronnictwami, a wypocząwszy kończył przerwaną zabawę entrechatami menueta, przytakując boskiemu Plato-

nowi, który rzekł przecież: „Taniec jest miłym, radosnym darem bogów, a niezdarnymi mazgajami są jego przeciwnicy“.

Po tańcach — karty. Do stolika karcianego zasiada u schyłku 18-tego stulecia cała Europa, a już we Włoszech i w Polsce dniami i nocami nie wstają od puli. W Wenecyi, wedle zapewnień Chłędowskiego, gra gondolier i praczka, rzemieślnik, mnich, prokurator i dogaressa. A w Warszawie? Wystarczy sięgnąć do satyr Krasickiego, otworzyć karty jakiegokolwiek pamiętnika, albo posłuchać, co mówią o polskiem karciarstwie oficerowie francuscy w służbie barskiej. Pot leje się z czoła „faro-damom“ (tak Horacy Walpole nazwał zwolenniczki Faraona), mierzwi fryzury, porywa za sobą róż z policzków i — wieś za wsią co wieczora. Staropolski mariaż, tryszak i pancerola poszły dawno w niepamięć, kwindecz, faraon i lombre należą teraz do najulubieńszych.

Gdy przyjęcie jest szczególnie uroczyste, z *cercle'm* i prezentacyami, karciarze uciekają do bocznych pokoi. Na salonach włada wtedy surowy ceremoniał, z pod którego wolno się wyłamać chyba tylko kochance królewskiej, lub też synom Apollina. Dla tych jest zawsze pole do popisu, a turnieje wierszokletów ulubione ponad wszystko! Opis takięgo dorywczego turnieju odszukał Leon Potocki w starym pamiętniku. Było to na balu u księstwa marszałkowstwa Lubomirskich, w uroczystym dniu 8-ym maja. Pani Grabowska rozmawia na sali z królem. W oczach ma miłość i szczęście, w ręku bukiet ze świeżych kwiatów, z których, gdy upuściła różę, stojący niedaleko Stanisław Potocki, podniósł ją czemprędzej i temi odzywa się słowy:

„Mówią, żeś piękna, jak róża nadobna,
„Ja mówię: róża piękna, bo tobie podobna!“

— Cóż na to, panie Trembecki? — zapytał monarcha swojego nadwornego poety. — Czemu tak zachmurzyłeś czoło, czyliż widok nowego współzawodnika już tobie mowę odbiera?

— Królu, — zawoła smętnie dworak:

„Czegoż się dzisiaj wszyscy dziwujecie,
„Że poetę utwarza ta polska Wenera,
„Gdy mnie, staremu poecie,
„Kadencye nawet odbiera?“

Odurzona pochlebstwy generałowa (bo do piękności było jej daleko), zakłada co tylko podniesioną różę za gors od niechcenia. Na to szambelan Szymanowski, co „Wenerę z Knidu“ tłumaczy:

„Gdyby śniegu drobina spadła na Twe łono,
„Widząc swą białość Twoją białością przyćmioną,
„Śnieg by się nawet z tego zarumienił
„I ze wstydu się topiąc, w łzę-by się zamienił.

— Kochany kolego — zagadnie z nagła Byszewski adjutant króla, stojącego obok jenerała Grabowskiego — czy się Twe serce nie raduje na widok hołdów, jakie twej żonie przypadają? Grabowski sam nie wie, czy ma się gniewać, czy z wdzięcznością przyjąć komplement. Z kłopotu wybawiają go w czas rymy Węgierskiego, który pali bez zająknienia:

„Że wyjął jedno żebro Pan Bóg Adamowi
„I z niego stworzył Ewę, to nam wierzyć każą.
„Ja wierzę! Odtąd bowiem któremuż mężowi
„Żony bokiem nie wyłażą?“

Zgrabne, lotne i dowcipne były te rymy, ale też sztuczne i zimne. Bo sztuczność i ziąb jest klątwą tej

epoki, o której jakże wyraziście świadczy wyznanie jednego z paryskich galantów: „Prawdziwe uczucie spotyka się dziś tak rzadko, że powracając z Wersalu, zatrzymuję się niekiedy na ulicy, aby popatrzyć na — psa ogryzającego kości!“

A cóż rzec o tonie rozmów towarzyskich, które z razu toczyły się po francusku, a potem po angielsku, gdy lokaje francuski język rozumieć zaczęli? Co rzec o swobodzie tonu w czasach, w których chłopcy siedmnastoletni opowiadali sobie najdrażliwsze anegdoty, panie przepisywały skwapliwie Trembeckiego „Odę do Priapa“, Józef II. bawił księżnę Czartoryską dowcipami tak drastycznemi, że ich nikomu powtórzyć nie chciała, w czasach nareszcie, kiedy to caryca Katarzyna nie wahała się przy stole nazywać księcia Kazimierza Sapiehy pieszczotliwem mianem: *ce pisseur?* Ta sama zresztą Katarzyna, której wierszowanych nagrobków pośmiertnych, kursujących obficie w Polsce, w żaden sposób reprodukować nie można.

Wszystkie sztychy sprośne, schowane dziś w sekretnych oddziałach muzeów europejskich, krążyły wtedy z rąk do rąk, zasię brzydkie wierszyki odczytywały sobie panie pół głosem, w miejscach drażliwych zasłaniając się wachlarzami. Moralności nie zawsze stawało się przez to zadość, bo na skrzydłach wachlarza (w Paryżu przynajmniej) wyobrażone były nieraz sceny tak nieprzyzwoite, iż nie wiedziano: czy lepiej chronić się za wachlarzem, czy raczej wachlarz sam wstydliwie zamknąć do biurka? Mimo wszystko pozory pozostały zawsze wytworne, nieprzystojność rzeczy nigdy się w słowach nie objawiała, a język konwencyonalny pętał wybuchy namiętności.

Gdy niema gości i zabawy oficyalnej, na dworze bywa ciszej, ale nie mniej wesoło. Wielkie zabawy wymagają prac przygotowawczych, więc dwór cały krząta się, ładząc kostyumy i niespodzianki na *bals champêtres*, na owe kostyumowe maskarady pod gołem niebem, których tak wiele bywało w Łazienkach i na Wiśle, w Powązkach i Wilanowie. A często tak wymyślne jak raz, na kanale łazienkowskim, gdzieto na okwieconych łodziach i bacikach pojawił się orszak bogiń greckich, gdy tymczasem panowie, łuskami trytonów opancerzeni pływali, chlupiąc się w wodzie.

Czasem, ale rzadko — muzyka. Rozrywki muzyczne są na drugim planie, bo król ucha dla muzyki nie posiadał, chociaż rozumiał jej potrzebę na dworze. Gitara hiszpańska i klawikord, fletnie i skrzypków kompania uprzyjemniają zawsze galę dworską. Muzyków też nie brakowało. Z dworu biorą przecież początek słynny wiolonczelista Wagner, oraz głośni kompozytorzy Stefani i Kamieński.

I w małem kółku dworaków też wieczorami zabawić się można. Najpierw loteryjki poetyckie, zabawa ulubiona dlatego, bo grają w nią sam Wolter i stary Fontenelle. Każdy z wieszczków dworskich, Naruszewicz, Szymanowski lub nawet sam Krasicki, wyciąga literę alfabetu; gdy wypadnie *o*, wówczas musi ułożyć odę, *s* zobowiązuje do sonetu, a przy *p* wystarczy przysłowie. Bardziej dostępną jest rozrywka, polegająca na wyszukiwaniu nazwisk szlacheckich, zaczynających się od różnych liter alfabetu, a kończących się różnemi spółgłoskami. Ulubione wreszcie bywały *tableaux*, czyli żywe obrazy z dzieł dawnych mistrzów, jakoteż doskonała na zimowe wieczory moda spisy-

wania swych własnych charakterystyk. (Dochowały się do dziś w pamiętnikach króla, oraz w zwierzeniach ks. generałowej Czartoryskiej). Wogóle obmyślanie nowych zabaw jest rzeczą konieczną, skoro z rozkazu króla brakło jednej, a naczelnej: picia. Na dworze upijać się nie wolno. Dworacy czynią to więc na mieście; król z pasyą trzebi ten nałóg powszechny i wkońcu postawi na swojem: dymiący łeb, zjawisko gdzieindziej pospolite, to rzadkość na warszawskim dworze. Natomiast obficie pije się tyzannę. Jest to „lekarstwo najlepsze na chorobę galicką“. Choroba owa powszechna i prawie modna, więc któżby się tego wstydził? Tyzannę podają po jedzeniu, niczem deser, albo likiery. Ludzie rokoka nie widzą w tem nic zdrożnego.

Dworacy znają jeszcze jeden przybytek, gdzie się mile czas spędza. To loża masońska. Stanisław August już w r. 1777 wszedł do loży niemieckiej *Rose Croix*, a nie był tam wcale królem, jeno zwyczajnym kawalerem różanym imieniem: Salsinatus. Doszedłszy do „8-mego stopnia tajemnicy“, zaniepokoił się wzrostem i szerzeniem się tej organizacyi, której nie był pewny od chwili, gdy sprytny Ignaś Potocki począł ruch masoński ku swoim naginać celom. Posyła tedy zaufanego Glaire'a, by w masoneryi strzegł interesów królewskich. Tenci postanowił sprawę unieszkodliwić i utworzył loże pań, zaczem masonerya polska XVIII. wieku nabrała wybitnie towarzyskich znamion.

Wszystkie najpierwsze damy złożyły przysięgę na kobiercu i przypięły fartuszki siostrzyczek od chwili, gdy księżna marszałkowa przywiozła wieść o tej modzie z Londynu. Płoche dworskie bawidamki przyj-

mują udział w tajemniczych posiedzeniach, dzieląc między siebie urzędy o straszliwych nazwach. Ten jest „sztuardem“, inny „pieczętarzem“, tamten „wielebnym mistrzem katedry“, lub też „bratem strasznym, czyli przysposobicielem“, a każdemu przysługuje dostojny tytuł „czterykroć wielebnego kawalera“.

Można się wcale przyjemnie zabawić w loży masońskiej! Ukryta orkiestra wykonywa na dany znak przepisane utwory, w salonie, wyścielonym kwiatami, palą się wonne kadzidła, brakuje tylko, żeby, tak jak w Berlinie, przysięga odbywała się na... Owidyuszowską „Sztukę kochania“. Szczególnego uroku nadają wieczorem wyszukane kostyumy braci i sióstr.

Taki np. wojewoda Mokronowski, papież masoneryi polskiej i wielki mistrz wschodu narodowego, nosi komżę ze wspaniałego atłasu z frędzlami złotemi, a na szyję ubiera krzyż w rodzaju biskupiego. Szampan w czasie uroczystości leje się strumieniami, a o wystawnych kolacyach świadczą do dziś słone rachunki. Tymczasem w dworkach szlacheckich opowiada się cuda niestworzone o Belzebubie, wynurzającym się z garnków kwaśnego mleka i dyabelskiej służbie masonów. Tłum oświecony temu nie wierzy, a tem mniej lalusie, którzy chętnie garną się ku nowym a wcale przyjemnym lokalom zabaw.

Wspomnieliśmy powyżej o dworku szlacheckim, lecz nie pytajmy go dalej o zdanie, bo każdy szlachetka dobroduszny a nieuczony, mówić nam będzie o dworze w słowach — mocnych. Mówcy na sejmach przestrzegają Rzeczpospolitą, by obywateli nie wysyłała do stolicy gwoli zepsucia, a co o tem wszystkiem myślał szary tłum gdzieś w Brześciu Litewskim, Łęczycy, lub Nowogródku, nie trudno pojąć. Musiała

przecież szlachcianeczka każda zazdrościć damie dworskiej, że codzień rano kawę pija i nosi różowe pantofelki, a brat Łata z irytacyą targał wąsika. Było o czem gadać, toż mówiono co się zmieści, a nawet wychodząca, tuż pod bokiem króla, gazeta ks. Łuskiny, nieraz ostro królowi przytnie. „Każdy śmie rezonować — użalał się „Monitor" w r. 1770 — jakby statysta jakiś, o tajemnicach dworu i skrytych gabinetowych sprężynach. Lada chetka, chłystek, lub pomiotło, co ledwie w gębie obrócić może to słowo „król", gada o królu bez potrzeby, a obmawia w sposób obelg i uwłóczenia sławy pełen". Ale nie im się tem martwić. Ludzie z dworu króla Stasia nie mieli czasu kłopotać się swą złą reputacyą, bo każdy dzień niósł z sobą emocye. *On danse surtout à Varsovie* — pisał brygadyer Jakubowski do przyjaciela — *on est chez nous comme en France sous Louis XIV.: les plus grandes fêtes au milieu des batailles perdues.*



W MALARNI KRÓLA JEGOMOSCI.

„Jemu z różanej cedząc biały fosfor dłoni
Ranny z rosą szkarłat goni,
Czyste tło srebrnym z góry szafirem się śmieje,
Tęcza w kolorach szmaragd leje".

Naruszewicz. Oda do malarstwa.





iszą tuż obok siebie na ścianie w złotych ramach, a przecież nigdy jeszcze w galeryi antenatów tak bardzo nie odrodził się jeden od drugiego. Bohomaz, czerniejący na spękanem płótnie, o drewnianej ręce i woskowej twarzy — to pradziad. Kontusz zwisa mu cudacznie, bo malarz nie umiał dać sobie rady z fałdami, w oczach zaś nieruchawych nikt duszy nieśmiertelnej nie odgadnie. A tuż obok syn jego — inny żywy człowiek! Uśmiechmięty, gładki i zgrabny, jak był naprawdę. Mówi, kim on jest i jakie czasy były, w których żył. A ten konterfekt jego, to pierwsze częstokroć dzieło sztuki w galeryi portretów. Albowiem dopiero wiek XVIII. nauczył Sarmatów, że w złociste ramy nie godzi się kłaść piktury byle jakiej i lada malunków cudacznych, dopiero wiek oświecenia rozkochał Polskę

w sztukach plastycznycb. Tym razem naprawdę wdzięczni jesteśmy modzie oświeconej, która nakazała wytwornisiowi pozować malarzom niemal co tygodnia. Raz da się z profilu wykroić w czarnej sylwetce, to znowu portretować w owalnym pastelu; dzisiaj pozuje cierpliwie do miniatury na słoniowej kości, jutro do ogromnych rozmiarów portretu na płótnie. Miniatura w złoty medalion oprawna będzie siurpryzą dla kochanki, portret olejny zostanie dla potomności. A jak są wybredni w doborze malarzy! Gdy głośnem stało się na świecie imię pani Vigée Le Brun, nie może się wzięta artystka opędzić polskim zamówieniom. Warto zobaczyć, ile to nazwisk senatorskich zawiera katalog kilkuset wykonanych przez nią konterfektów. U kolebki nowożytnego malarstwa polskiego stoją tedy eleganci rokoka. Za ich to sprawą urodził się wspaniały portret polski XVIII. wieku, pogromca bohomazów w dworach i w dworkach szlacheckich, im zawdzięczamy pierwsze polskie miniatury i pastele, im nareszcie owocną imigracyę sztuki Zachodu do Polski. Od kogoż zaś, jeśli nie od króla brali przykład i zachetę?

* * *

Bez malarzy i bez dzieł sztuki nie pojmował wogóle życia Stanisław August. Chłopcem małym, za pierwsze oszczędności, kupi sobie w Holandyi rzekomego Rubensa, starzec złamany, na kilka dni przed śmiercią, będzie jeszcze studyował w Ermitażu, a posłowie, wysłani po elekcyi, zastaną stolnika, zajętego malowaniem szaty koronacyjnej. I jakże go lubieć nie miały dzieci Appellesa! Taki Per Kraft aż w Szwecyi, nad jeziorem Melar, o malarni króla polskiego zasły-

szy, Norblin rzuci dlań Francyę, Bacciarelli zaszczyty i profity u Habsburgów, Smuglewicz karyerę u jakiegoś lorda angielskiego, nareszcie Wall pożegna się bez namysłu z profesurą w akademii florenckiej, aby malować pod okiem Poniatowskiego.

Ktokolwiek zapukał do drzwi malarni królewskiej na Zamku z paletą lub szkicownikiem w ręku, przyjęty bywał z otwartemi rękoma. Jeśli malarzem był, jak się patrzy, sypało się złoto i zamówienia, jeśli czeladnikiem, lub adeptem dopiero, a iskrę bożą miał w sobie, też wystarczyło. Zasadzał go maestro na trójnogu przed sztalugami i rychło szedł do królewskiej łaski projekt „pensyonowania“ i wysyłki. Była taka sobie mała różnica. *Fredericus rex* wysyłał swoich poddanych do twierdzy w Spandau, Ludwik XIV. więził ich w Bastyliach, Stanisław August zaś, owładnięty pasyą cudną stworzenia sztuki polskiej, łożył na wojaże artystyczne. Rzym i Florencya, Paryż i Monachium zobaczą znowu, po dwu wiekach, żaków polskich na studyach. Wiedział król, że artystów trzeba szukać, pamiętał, że Watteau był dzieckiem pobijacza dachów, Norblin synem karczmarza, Orłowskiego znaleźli Czartoryscy w szynku, a ojciec Diderota ostrzył noże w Langres. Tak i Stanisław August odszukał Gruszeckiego w klasztorze bazyliańskim w Supraślu, na Kucharskim się poznał odrazu, z Vogla wykształcił milutkiego pejsażystę, Lesserowi kazał robić miniatury, zaś porucznika gwardyi Oleksińskiego, gdy ciągle coś na służbie rysował ukradkiem, ukarał surowo — oddając na naukę malowania. A Norblin stał się Norblinem, to znaczy mistrzem malarstwa obyczajowego, li tylko z zachęty króla.

Tu już król ma racyę, kiedy obcych nad swoich przenosi! Tak, jak nie ufał, że kamień z Dębnika potrafi marmur karraryjski zastąpić, tak i talentowi polskiemu do plastyki nie dowierza. Zaczem plejadzie artystów zagranicznych, którzy zjechali do Warszawy, przydarzyła się — jak głupkowato mówi Foumier — dziwna awantura i stworzyli szkołę malarstwa narodowego w Polsce.

Nie bylejakie lakierniki, ale wprawne majstry, zgłaszają się na apel królewski! Dziwnie pobłażliwy dla cudzoziemców wszelkiego innego zawodu monarcha — w sztuce nie zna żartów! Nie miałby co robić u niego taki „artysta“, jak ów Włoch, Alfierini, co to małżonce Jana III. zrobił baranka z puchu łabędziego, z malutką chorągiewką, podziwianą dlatego, że wypisano na niej słowo „Alleluja“ 18.250 razy, t. j. tyle razy, ile dni królowa przeżyła.

Artyści króla Stasia różnie się znajdą i zachowają. Jedni, jak Marteau, Grassi i Bacciarelli, zadzierzgną najserdeczniejsze węzły z Polską, inni (Joffroi, Monaldi, Merlini) pozostaną zawsze niechętnymi przybyszami. Ci zabawią przelotem, aby, uzbierawszy garściami polskiego złota, rentierami do domu wrócić, innym uśmiechnie się praca zbożna pod szczodrem skrzydłem opieki króla - mecenasa, znajdą w Polsce nietylko dobrze zaopatrzoną pracownię, ale i drugą ojczyznę. Zjeżdżają od pierwszych dni królowania, kiedy jeszcze w Warszawie nie było nikogo, a tylko Bellotti Canaletto został się z czasów saskich. Zaprawdę, wędrówka ludów! Z Francyi i z Włoch, z Bawaryi i ze Szwajcaryi, z północy dalekiej i z południa! Bacciarelli urodził się w Rzymie, Lampi pochodził z Trydentu, Grassi przyjechał z Torunia, Graff i Schellen-

berg byli Szwajcarami, Pitschman Tryesteńczykiem, Norblin i Marteau, Joffroi i Lebrun rzucili Francyę dla Polski, Per Krafta wydała Szwecya, Bellota Wenecya, Drezno przysłało Kamsetzera, a Lugdun Pillementa; sztycharz John jest Prusakiem, miniaturzysta Kaiser Bawarem, dekorator Jarząbek nareszcie, był narodowości czeskiej!

W tem zbiegowisku przeróżnych plastyków, rzeźbiarzy i architektów, dekoratorów i portrecistów, jednego człowieka nadewszystko król sobie upodobał, jednemu najbardziej zaufał. A przeto Rzymianin Marcello Bacciarelli stał się dla Stanisława Augusta tem, czem był Velasquez dla Filipa IV. a Michał Anioł dla papieża' Juliusza: dzierżył najwyższe marszałkostwo sztuki na warszawskim dworze. Jeszcze za Augusta III., powołany jako kopista do Drezna, podobał się bardzo stolnikowi. Daremnie Kaunitz pragnie ściągnąć go do Wiednia, aby portretował Habsburgów, młodemu malarzowi przyszły król przypada dziwnie do gustu, tedy zostaje w Warszawie. Będzie odtąd przez długich lat trzydzieści służyć mecenasowi, wraz z całą swą rodziną, synem, sekretarzem królewskim i córką, miniaturzystką.

Wybór był dobry i na czasie. Bo nie znamy dziś może drugiego malarza w Europie, który tak umiał wszystkie pieszczoty rokoka na swej palecie skupić. Obrazom Bacciarellego braknie tego samego, czego brakowało i epoce: słabe w ekspresyi nie mają siły wyrazu, ale zato jakaż wytworność i gładkość pudrowana we wszystkiem! *Il se distingue des maitres de son temps par une harmonie delicate et de fines colorations*, stwierdza francuski historyk sztuki.

Jakże pilnie pracuje dobre Włoszysko wśród zamkowych próżniaków! Posłuszny famulus królowego

faustyzmu wprowadza w życie każdą inicyatywę. Z górą 300 płócien wychodzi zamalowanych jego pędzlem. Portrecista, nie ma wprawdzie zmysłu dla malarstwa historycznego, ale trudna rada, skoro dla dekoracyi Zamku i Łazienek potrzebne są płótna z dziejów Polski. Ukochaniem artysty jest osoba króla, uwielbia go wprost jako motyw malarski. Chyba Naruszewicz jeden tyle zdołał wysmażyć na cześć króla panegiryków, ile rozmaitych portretów jego stworzył Bacciarelli. Lubuje się w miękkich rysach, aksamitnem oku i słodkiem wejrzeniu stolnika, w gładkich liniach torsu, ale nadewszystko ciągnie go królewska ręka, biała, krągła, piękna, rasowa. Odtwarza życie jej nabiegających krwią błękitną żyłek, jej formę, rzeźkość i wytworność. Maluje wiele i z gorączkową szybkością, koloryt trzyma blady, niby pudrem przysypany, a w Warszawie mówią prostaczki, że dzieje się to wskutek pośpiechu, bo, nagabywany o obrazy malarz królewski, nie ma czasu na silniejsze nakładanie farb.

Żeby tylko samo malowanie! Ponadto jest Bacciarelli generalnym dyrektorem budowli królewskich, sprawuje dozór nad kopalniami marmuru, opiekuje się ogrodami, prowadzi korespondencyę króla w sprawach artystycznych, zamawia obrazy i kopie, ma obowiązek prowadzenia studyów dokładnych nad organizacyą akademii sztuk pięknych w Europie. Bo to się kiedyś dla Warszawy przyda. *Le peintre du roi de Pologne* nosi na głowie całą troskę o urządzenia dla Zamku i Łazienek, pertraktuje z jubilerami, użera się z lyońskim tapicerem, z architektem i rzeźbiarzem.

Z czasem stanie się najpierwszą osobą na dworze. Już w r. 1776 podwyższono mu pensyę z 1300

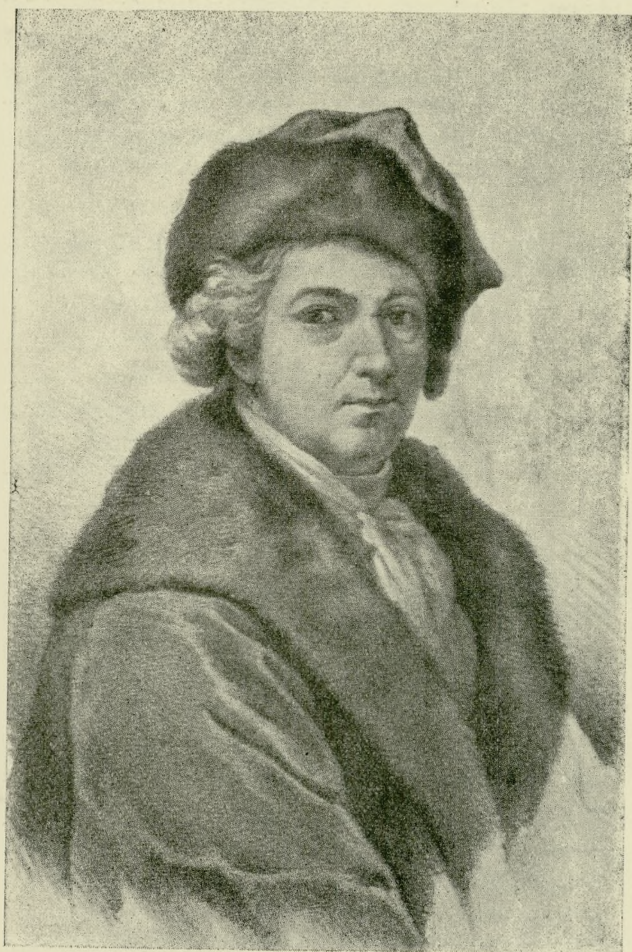
na 3.000 fl. i dano budulec na dom, który sobie wznosił. Mimo tak różnorodne zajęcia nie zapomina o malarni Imć dyrektor. Rankami całemi siaduje na ulubionym trójnogu przed sztalugami, poprawia malowania i odsłania adeptom tajemnice sztuki, tak bardzo dotąd w Polsce zaniedbanej. Uczy ich, czem jest proporcya, czyli rozmiar człowieczy, wyjaśnia zasady „kromatyki, czyli farbowania“, oraz „wymysłu, czyli kompozycyi“. Eksplikuje, że cień na ciele ludzkiem należy oddawać asfaltem, że unikać trzeba żywego blasku kolorów, a wszystko przysypywać, jak gdyby pudrem, że wreszcie strzedz się wypada akcentów szorstkich, bo malarz epoki rokoko musi być artystą wytwornym.

Nakoniec, jako na dworaka grzecznego przystało, tłumaczy uczniom przy portrecie, że osoba wysoko urodzona nie może być w konterfekcie brzydka, a wszystkie księżniczki urodziły się piękne. Malarz musi być także dworakiem i pochlebcą o giętkim pędzlu. Profesor surowy doradza często słabo aplikującym się uczniom, aby się udali raczej do pana Dangla na naukę — lakiernictwa!

Z inicyatywy Bacciarellego powstanie z czasem podręcznik sztuki malowania. Wyda go drukiem i napisze malarz, Antoni Albertrandy, brat historyka. Jest to: „Wiersz o malarstwie“ (Warszawa, u Grella 1790). Podobnie, jak Dmochowski, pisząc swą „Sztukę rymotwórczą“, przypuszczał, że posiadł wszelkie sekrety twórczości, iż wystarczy trzymać się tylko jego regułek, aby zostać Horacym i Wirgilim — tak samo i Albertrandy podaje niezawodne przepisy, jak stać się Tycyanem i Rafaelem.

Stanisław August darzy artystę przyjaźnią najczulszą. Trzy i cztery razy dziennie zachodzi do malarni, „konkluduje imaginacyę do przyszłego malowania“ i długie trawi godziny na gawędach. Tak samo Juliusz II. mostem zwodzonym zachodził do pracowni Michała Anioła, tak Karol V. i Filip II. rozmiłowali się w sztuce Tycyana.

A w mieście mówią o tem jak najgorzej. „Bacciarelli — relacyonuje stary plotkarz Magier — zajmował się nieraz w swym gabinecie oddaniem w pędzlu obrazu jakiej znakomitej damy. Wiedząc o skłonnościach ku niej króla, przy malowaniu obecnego, wychodził, położywszy paletę z farbami, do siebie, nieco tam zabawiwszy“. Ks. Kitowicz znowu srodze urąga modelkom, przekonany święcie, że sztuka malarska jest tu jeno pozorem, bo w tem dziwnem „muzeum“, gdy zejdą się malarze, zaraz między nich na stół wchodzi płatna niewiasta, rozbiera się do naga, układa się w różne figury, w których ją malują. Król zaś Jegomość, siedząc w loży, przypatruje się temu“. Bacciarelli był tedy w oczach ulicy niczem więcej, jak tylko stręczycielem królewskim. Na jakieś tam inne zasługi jego mało kto zwracał uwagę. A on tymczasem zawstydzał króla samego patryotyzmem! Zrozumiał, że nie wystarczy, aby sprowadzeni ze świata artyści sami malowali, ale trzeba, by także Polskę malować uczyli. Także i podróżnik Szulc odczuje to trafnie, rzekłszy, „że trudno mówić o sztuce polskiej, skoro artyści, co się nią zajmują, byli i są cudzoziemcami!“ Bacciarelli domaga się tedy nieustannie wciągnięcia jak najszerszego grona uczniów do malarni i przypomina królowi niemal codzień potrzebę założenia Akademii.



MARCELLO BACCIARELLI: PORTRET WŁASNY

Jeżeli pośród uczniów, stypendystów i współpracowników malarni królewskiej, znalazły się rychło pędzle tubylcze i talenty polskie, to nie mało w tem zasługi energicznego Włocha. Z jego szkoły wyszedł w r. 1790 artysta tej miary, co Kazimierz Woźniakowski, najtęższy portrecista jakiegośmy w XVIII. w. mieli. U Bacciarellego uczył się Wall, zawsze wierny manierze nauczyciela, realista Smuglewicz i Lesseur w białych pończochach. Do uczniów Imć dyrektora należy Tokarski, który, po studyach rzymskich, został kustoszem galeryi królewskiej, dalej Jasiński, dekorator teatralny, Oleksiński, malarz medalionów i pierścieni, rozdawanych na prezenta, nareszcie Franciszek Padarewski, gospodarz malarni, Plersch, dekorator Pomarańczarni, słynny z arabesek ormianin Byczkowski, wzięci i płodni sztycharze Regulski, Teodor Rakowiecki i w. i.

Maestro ma także uczenice. Malarka nie jest w XVIII. w. dziwowiskiem, kandydatek na Angelikę Kaufmann i p. Vigée Le Brun nie braknie. Pani Beata Czacka jedzie aż do Gdańska uczyć się sztycharstwa, Anna Potocka studyuje u Viviera i rysuje dość zręcznie widoki Łazienek, Józefa z Mniszchów Potocka raczyła uczyć się u Albertrandy'ego. Maestro ma cztery uczenice: obok córeczki swej, o której już słyszeliśmy, pannę Neuf Germain, kopistkę obrazów flamandzkich, oraz panny Guszkowską i Rajecką, które czuły modny pociąg do pastelu i miniatury. Ta ostatnia pensyonarka, wysłana do Paryża na prośby Marteau, urządziła protektorom psikusa, albowiem poszła tam zamąż. Ale dobry król, dowiedziawszy się o brzydkim postępku, nietylko nie pogniewał się o to, lecz

przeznaczył także szczodrą pensyę dla francuskiego mężulka!

O szkole sztuk pięknych marzy się w malarni już od r. 1767. Otrzymawszy rozkaz organizacyi *de l' établissement des beaux arts,* studyuje signor Marcello z zapałem urządzenia podobnych instytucyi w Rzymie i Florencyi, rozbija się za zdolnymi profesorami portretu i kompozycyi, prosi o kredyty na sprowadzenie zbioru odlewów gipsowych, na pracownię z górnem światłem. Później sprawa przyjdzie pod obrady na obiadach czwartkowych. Światły wojewoda Mniszech, opracuje projekt jeszcze bardziej wyczerpujący. „Nie masz potrzeby chcieć tu dowodzić, jak wielce sztuki wyzwolone potrzebne są krajowi" — powiada słusznie wojewoda i radzi także pozbyć się cudzoziemskich pędzli. „Niech prym Polakom dany będzie. Trzeba ubogiej szlachcie dać sposób do nabycia talentu, przez który, bez upodlenia szlachectwa, mieliby sposób do życia i nie potrzebowali wysługiwać się możnym".

Szumne projekty urzeczywistniono w części tylko. Akademia nie została nigdy otwartą, jako szkoła systematyczna, choć w latach 1770—1780 praca wrzała w niej wydatna. Aby nie obciążyć skarbu Rzeczypospolitej, król gwarantował szkole 5.000 dukatów z własnej szkatuły. Do pracowni, urządzonej wedle wzoru drezdeńskiego, sprowadzono kolekcyę sztychów, reprodukcyi, oraz odlewów gipsowych. Wszyscy niemal bawiący w Warszawie malarze nauczali w Akademii: Duhamel był sekretarzem, Tokarski inspektorem zbiorów, zaś Bacciarelli dobrym duchem wszystkiego. A sztuka polska dopiero w przyszłej epoce ocenić miała doniosłość tej pracy.

Gdy młode pokolenie stawia pierwsze kroki w Akademii, przybysze tymczasem malują zawzięcie. W jednem dziesięcioleciu powstaje więcej obrazów w Polsce, aniżeli ich przedtem wieki całe wydały, pleni się praca tak entuzyastyczna, jakiej nigdy przedtem i długo potem nie widziano. A cóż się maluje? Portrety, niemal wyłącznie portrety. Król daremnie wzdycha do ulubionych obrazów rodzajowych i historycznych, a przyklasnąłby z pewnością dzisiejszemu historykowi sztuki, który mówi o tej epoce: *Mais pour tant de portraitistes combien peu de peintres des moeurs!* Portrecistą jest Grassi, który słynie z doskonałego chwytania podobieństwa w swych miękkich, karminowych pieścidłach, portrecistą jest młodziutki Lampi, księżycowy pięknoduch o pajęczej delikatności techniki, portrecistą jest, pomimo wszelkiego usiłowania króla, Bacciarelli, portrecistami urodzili się Per Kraft i Graff, Marteau, Lesseur i rzemieślniczo sumienny Pitschman. Ci trzej ostatni biorą rekord pracowitości: wykonali we trzech parę tysięcy miniatur, podobizn i konterfektów. Mają wprawę i płodność fotografów i są też nimi, a przeto nieocenieni: bo dali nam poznać z blizka *cette existence somptuese des grands seigneurs polonais à la fin du XVIII siècle.*

Malarzy rodzajowych i pejsażystów ze świecą szukać. Norblin sam niemal jeden potęgą swego talentu przeciwstawia się manii konterfektów. Stanie się też dla Polski tem, czem był dla Francyi Watteau. Jak tamten Holender stworzył francuskie rokoko w malarstwie, tak znowu ten Francuz malarzom polskim na życie polskie zwrócił uwagę. Obok Norblina, stary Belloto, który lubił wielkie płótna i zamalowywał je krajobrazami i widokami pałaców Warszawy, a „ro-

kokowy świat oglądał objektywnemi oczyma". Trzecim pejsażystą jest Vogel. Rysuje chińskie domki, pałace, mosty i łabędzie, produkuje romantyczne sielanki i ckliwe pejsaże. Ogromnie dokładny i wypieszczony w delikatnych linijkach swoich obrazków.

Wszyscy zaś wiodą w Warszawie życie jedwabne. Wojażują po magnackich dworach, flirtują z grande damami przy pozowaniu. Chyba za szczodrych czasów renesansu tak opływali w dostatek rycerze palety!

Król dba o wszystko, aż stękają pozycye budżetu. Mamy przed sobą listę wydatków z pierwszych lat mecenasostwa. Pan Bacciarelli *et sa femme* pobierają 400 dukatów pensyi rocznej, nadto 150 na mieszkanie, 120 na powóz i konie, 40 na opał, a 120 na możność odwiedzania teatrów.

I jednego tylko człowieka braknie w tej kompanii. Artysty, o którym dojdą wkrótce zaszczytne wieści z nad Sekwany. To — Kucharski! Osobliważ to dola sztuki polskiej; tworzą ją i z pieluch dobywają przybysze, gdy kwiaty swojskie na cudzych grzędach kwitną. W zamian za Norblina i Bacciarellego daliśmy zagranicy Kucharskiego i Chodowieckiego! Wspaniały sztycharz gdański, ilustrator „Myszeidy", Daniel Chodowiecki wynarodowił się już dzieckiem.

„*Von meinem Vater her bin ich ein Pole, ein Abkömling einer braven Nation*", pisał wprawdzie w swym pamiętniku, ale pozostał Niemcem, jako człowiek i malarz. Kucharski znowu, raz Polskę rzuciwszy, nigdy później ani słowem się do niej i o niej nie odezwał. Ten pupil nie udał się królowi. Rzecz dziwna. Stanisław August, tyle ludzi obcych do siebie przyhołubiający, zraził sobie odrazu tego Warszawianina, który

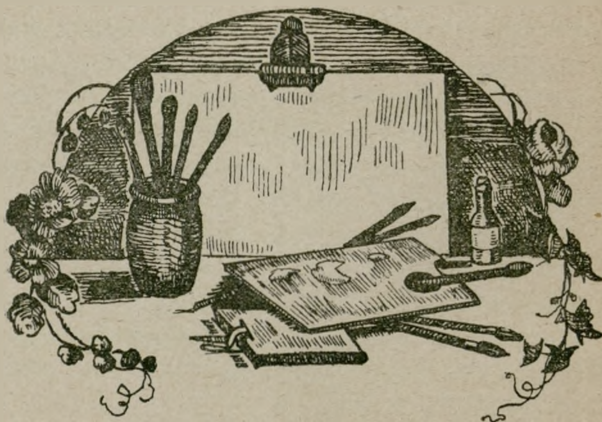
we Francyi stanie wkrótce jako modny portrecista obok Greuza i p. Vigée Le Brun!

Zaraz po elekcyi wysyła król młodego chłopca do Paryża. Snać poznał się na jego talencie, skoro raz po raz zaleca pani Geoffrin, by się małym opiekowała. Nie szczędzi pieniędzy, daje go uczyć u Van Loo, chce posłać do Rzymu. Trzy lata trwa nauka na koszt królewski. Oboje z panią Geoffrin wierzą w genialność chłopaka, ale z przesłanych obrazków król jeszcze niezadowolony. Zaczyna mu tedy, swoim zwyczajem, zadawać tematy. Kucharski rad nie słucha. Czuje się portrecistą, a król, chcąc go nakierować na malarza historycznego, przesyła gotowe pomysły biblijne i wschodnie do wykonania. Potem ginie ślad wzajemnych stosunków, nieposłuszny pensyonarz wymyka się z pod opieki i idzie drogą własną. Rewolucya daje mu niespodzianie sławę i wziętość. Pełniąc służbę, jako gwardzista narodowy, u wrót więzienia Maryi Antoniny, portretuje ją i Delfina. Te dwa portrety, powtórzone wiele razy, sprawią, że *„célebre Kukarsky"*, będzie przez wiele dziesiątków lat na ustach całej rojalistycznej Francyi, do Polski nigdy już w długiem życiu nie wróci. Najpierwszy uczeń zawiódł srodze Stanisława Augusta i zabrakło jego głosu mocnego w tej pieśni kolorów, jaką do życia powołało warszawskie rokoko!

Malarze Stanisława Augusta przetrwają króla i jeszcze za księstwa warszawskiego pełnić będzie jego polecenia Bacciarelli, wdzięczny za wszystko i za popłacone na ostatku długi. A króla wygnanego pocieszy Sztuka, bolów koicielka, jakgdyby w wywdzięce za służbę wierną. W ostatnich gorzkich latach petersburskich przyjdzie mu spotkać się z osobą,

którą tak zawsze pragnął mieć u siebie w Warszawie. W tym samym bowiem czasie arcymistrzyni portretu europejskiego: madame Vigée Le Brun przeniosła swoje *soupers grecs* z Paryża nad Newę. Zawarli odrazu z królem przyjaźń serdeczną, o której jakże pięknie świadczą dobre słowa w pamiętniku artystki! Przegwarzą sobie o sztuce we czworo z markizem de Riviere i lordem Whitworthem wiele wieczorów.

Przypomni dobra wróżka królowi jasne czasy Łazienek i umili końcowe dni zajęciem, które zawsze i nadewszystko lubiał: będzie jej pozował do portretu, ostatniego już z kilkudziesięciu portretów swoich. Pozując tak przez godzin wiele, rozmarzy się stary król i ukoi, pomknie myślą nad Wisłę, otoczy troską serdeczną swój gaj Akademosa i przyjaciół malarzy, przywiedzie na pamięć Rembrandty i Greuze'y ukochane, malarnię swoją przypomni, oraz ciernie wszystkie z róż królowania wyrosłe!



O CUDZOZIEMSKIEJ SZARAŃCZY.

„Podam ci jeden sposób, ty nie mów przed nikim:
Jeśli chcesz, byś u naszych panów był szczęśliwy,
Zrób się na czas Francuzem, albo też Anglikiem“.

Węgierski.



PESZKE: PORTRET SMUGLEWICZA





tóż nie słyszał o Casanovie, najmilszym z awanturników? Senor Giacomo Casanova, kawaler de Seingalt, przemierzywszy wzdłuż i wszerz kontynent, zakosztował wszelkich radości życia, jakie tylko znano w Paryżu i Rzymie, w Madrycie i Kolonii, -w Warszawie i Petersburgu. Nosząc wysoko tarczę swego sowizdrzalstwa, żył wyłącznie z gry w karty i z dowcipów, a jak w soczewce zbiegły się w jego postaci znamiona czasu. Świat cały zwędrował senor Casanova, ale tak dobrze, jak w Warszawie, nie było mu nigdzie; więc, gdy ją wesołek musi opuścić, czyni to z uczuciem, którego prawie nie znał: ze smutkiem. Tylu przyjaciół, tyle dusz bratnich! tak łatwo o worki dukatów! W każdym pałacu i na każdej reducie napotkał tu plejadę płci obojej koleżków swoich ze świata. Znajome, Bóg wie skąd, hetery bank trzymają na salonach, ciesząc się zaufaniem, jak nigdzie indziej. Jest osławiony major Salvi i baron z wyspy św. Heleny, jest głośny hrabia

Juliusz, Tomatis i wielu, wielu innych. Przy tej sposobności czyni Casanova doskonałą uwagę o królu: „Króla ogarnia zawsze niepokój — powiada — ilekroć dowiedział się, że bawi w Warszawie cudzoziemiec, którego on jeszcze nie zna...“ Tę łaskawość królewską dla cudzoziemców odczuje senor Giacomo i na własnej skórze, zarówno wtedy, gdy mu brakło pieniędzy, jak i wtedy, gdy za pojedynek z Branickim zagrożą mu wieżą, albo gorszemi jeszcze następstwami.

Ta łaskawość królewska nie jemu jednemu przypadła w udziele. Odrazu po wstąpieniu na tron Stanisława Augusta zaroiło się w Warszawie od wszelakiego autoramentu gości cudzoziemskich, którzy aż do końca rządów stanisławowskich wyciskać będą niepożądane piętno na fizyognomii epoki.

Warszawa leżała przy głównym trakcie, wiodącym z zachodu na północ, a północ właśnie była modnym celem pielgrzymek, ziemią obiecaną obieżyświatów, którym w ojczyźnie ziemia paliła się pod stopami. Do Rosyi jeździli dyplomaci i encyklopedyści, w Polsce zatrzymywali się rycerze szczęścia i wydrwigrosze. *Nennt man die besten Namen* najsłynniejszych „pędziwiatrów“, to z pewnością co drugi z nich choć raz w życiu zawadził o Polskę, co trzeci zaś napisał mniej lub więcej ograniczoną książkę o swej wyprawie.

Żeby tylko tak znakomici awanturnicy, jak np. książę De Nassau, co tak sobie u nas upodoba, że osiądzie tu na stałe, jak dalej osławiony bawidamek, hr. Lauzun, który, zanim będzie stracony przez trybunał rewolucyjny, przeżyje w Warszawie najboleśniejszy zawód miłosny, albo nareszcie owa „*la chevalière d'Eon*“, tajemniczy ptaszek, przebrany

w szaty kobiece, a przeznaczony pono przez Ludwika XV. na amanta Katarzyny, który skrzyżuje szpadę jeszcze ze stolnikiem Poniatowskim w Petersburgu. Żebyż tylko oni — cóż kiedy byli i inni, mniej znakomici! Francya XVIII. wieku, cynicznie wobec nas obojętna Francya Ludwików, która nierozumną, nieudolną i nieuczciwą pomocą przyspieszy tylko katastrofę Baru, przysyła Polsce swe najpiękniejsze idee i swych — najgorszych ludzi. Rzecz jest dziwna: nie pozyskamy dla siebie nikogo z prawdziwych luminarzy, choć nie raz wejdą z nami w bliski stosunek. Ani Russa, który zaznajomi się z Wielhorskim i napisze swą głośną książkę o rządzie polskim, ani Mably'ego, czy Quesnay'a, Duponta de Nemours, czy księdza Baudeau, gdy z taką ciekawością badać będą nasze stosunki gospodarcze, ani wreszcie znanego pisarza Pyrrhisa de Varille, choć był guwernerem u Sanguszków. Do żadnego z wybitnych umysłów nie będzie miała szczęścia Rzeczpospolita ani dwór! Omanieni przez Katarzynę encyklopedyści, ubiorą na oczy jej okulary, „nauczą Polaków być ludźmi, ale zohydzą ich ojczyznę przed światem“, do Polski zaś przywędrują okpiświaty i wyzyskiwacze, którzy nas co najwyżej nauczą zawieszać firaneczki u okien, grać na gitarze i śpiewać przy klawikordzie.

Wszystkich przyjmiemy z otwartemi rękoma! Bo jakże mogło być inaczej w czasach, w których sama nieznajomość języka polskiego i obcość pochodzenia stanowi odszczególniającą zaletę, w czasach, w których bieliznę do prania posyła się do Paryża, a lokaj z Medyolanu, lub oszust z Lyonu znaczy więcej, niż dwóch senatorów w Warszawie, w czasach nareszcie, kiedyto comtessy Grymaśnickie, „retur-

niując“ z Paryża, myślą jeno o sfrancuzieniu nazwisk i paryskiej wymowie polskich wyrażeń.

Cudzoziemcami byli senatorowie i dyplomaci, szewcy i krawcy, dentyści, generałowie i powroźnicy. Cudzoziemski akcent erotyczny otwierał najpierwsze alkowy, a już wprost zaprzaństwem dobrego obyczaju było nie mieć francuskiego metra przy dzieciach. „Po dwunastu latach skończonych — napisze później pani Nakwaska w swych pamiętnikach — nie był mi obcym żaden z wielkich tragików i poetów francuskich, ale listu najlichszego nie umiałam po polsku napisać i kilku grzecznych słów tą mową wyrzec nie byłam zdolną“.

Napróżno wysilała się literatura. Krasicki w „Doświadczyńskim“, Naruszewicz i Piotrowski w satyrach swoich nie wiele zaszkodzili cudzoziemcom, z których co drugi był defraudantem, zbiegłym przed okiem sprawiedliwości, co trzeci stał na żołdzie obcym.

Nigdy przedtem i nigdy potem nie widziano w domach polskich tylu darmozjadów i „pasożytów, zmiatających obiady i wieczerze“. Pospolity wydrwigrosz nosił tytuł szumny: *maitre de plaisir*, a spoglądają na takiego, jak na bożyszcze. Podziwiano rzekomo najświeższy, paryski krój jego fraka, naśladowano harcopfy i podwiązki, patrzono spokojnie, jak kradł w żywe oczy, dziękowano, gdy rabował. A cóż rzec o cudownych lekarzach, głoszących się codzień w „Gazecie warszawskiej“? Pan Prevost np. siostrzeniec, gdyby się kto pytał, dentysty króla francuskiego: „ząb z jednej osoby, drugiej osobie tak wsadzą, że się przyjmuje“, pan Embry leczy olejkiem z języków wężowych wydęcie gardzieli, sprzedaje proszek turecki na febrę, oraz „specyfik do konserwowania scyzory-

ków". U każdego niemal magnata bogaci się jakiś zawłoka. Bert zbił majątek u Mniszchów, Vulliamez u ks. Adama Czartoryskiego, Constancon, Aubergenois i Cerenne u Potockich, a wiadomo dobrze, ile kosztował ks. marszałkową ów rzekomy biskup z Lyonu, którego darzyła bezwzględnem zaufaniem!

Każdy głosi się naturalnie kuzynem Burbonów, markizem a conajmniej hrabią. Nieraz wprawdzie zdarzy się, że jakiś prawdziwy arystokrata francuski, zabłąkawszy się do Polski, brzydko zdemaskuje mniemanego comta, lub duca, jak np. Ludwik XVIII. w Białymstoku, mimo to przecież choroba cudzoziemczyzny grasowała epidemicznie. A nie zapomnijmy jeszcze o półświatku zagranicznym, o tancerkach europejskiej sławy, o które Branicki strzelał się z Casanovą, o śpiewaczkach, forytowanych więcej, niż metresy w mitrach książęcych? Kiedy słynna mamselle Binetti przybyła do Warszawy, to już po 12-tu dniach miała wspaniale urządzone apartamenta i złote zastawy, piwnice ze staremi winami i ekwipaże, wraz z tuzinem adoratorów.

A król sam najgorliwszy w przyhołubianiu szarańczy, spadłej na Rzeczpospolitą. Ze słabości jego i z dworskiej bezmyślności wyrósł ich wpływ. Ze szczególnem upodobaniem dobiera ich do gabinetu i tajnej rady, która stoi przecież ponad ministrami i radą senatu, nobilituje i daje indygenaty, sypie pensye „gratyskowe" za zasługi, albo zgoła niewiadome, albo bardzo wątpliwe, albo też całkiem niedwuznaczne. Wiemy już, że baletnik Vestris był w większej cenie, niż najpierwszy mąż stanu, a przez rok cały będzie król czynił zabiegi o pozyskanie z dworu Ludwika XV. lekarza Scio, o którym mówią,

że pięknie deklamuje, śpiewa i gra na gitarze. Szlachta pieni się! Jaki taki szlachetka, odważywszy się raz na dwór królewski, nie umie ludzkim językiem porozumieć się z tymi podskakiewiczami. Naśmiewają się jeszcze z jego czupryny i szarawarów, piętnują słowami: „ten Polak!“ Jeżeli co wykopało przepaść między tłumem szlacheckim a Łazienkami, to właśnie cudzoziemscy faworyci. Nobilitacye, indygenaty doprowadzają szlachtę do wściekłości. Ten król, który „dziada rodzonego pokazać nie mógł“,ośmiela się im, szlachcicom dubeltowym czwartego gradusu, narzucać świeżo upieczonych towarzyszy herbowych, waży się naruszać rodowe „tabu“! Mimo to wszędzie pełno szarańczy. Król oddaje im najważniejsze agendy państwowe z tą samą łatwością, z jaką poleca im wieczorem przyprowadzać sobie piękne mieszczki warszawskie, lub kurtyzany paryskie najświeższego stempla. Agendy zagraniczne Rzeczypospolitej pozostają w rękach niegodnych zaufania „ambasadorów“. Monet i Mazzei uganiają po Paryżu, aby zdobyć dla króla pożyczki, których większa część tonie w ich własnej kieszeni.

Trzeba nam koniecznie poznać bliżej chociażby kilku z tych panów.

Prym niechaj dany będzie handlarzowi żywym towarem i kordyalnemu przyjacielowi króla, szambelanowi Corticelli. Nie wiadomo, co więcej podziwiać u tego człowieka: olśniewającą znajomość dzieł Russa i Spinozy, obycie z ideami racyonalizmu, czy też talent szczególny do fałszywej gry i kuplerstwa? Zrazu bardzo przystojny, później zniekształcony chorobą weneryczną, garbaty i odrażający, prowadzi jawny handel królewszczyznami, wywozi dziewczęta

z Wiednia do Warszawy, to znowu posłuje, ku zgorszeniu całego Wiednia, na dworze habsburskim, w międzyczasie dopuszcza się kolosalnych oszustw w żupach wielickich i sprzedaje sól polską królowi pruskiemu. Ale że był giętki i oświecony, a umiał się nisko kłaniać i pięknie konwersować po włosku, francusku i niemiecku, więc go przez wiele lat król utrzymywać będzie na świeczniku i zaszczyci godnością generał-adjutanta. I głęboko dotknięty czuje się słowami Józefa II., który miał wyrzec na widok Corticellego: „Czyż król polski nie mógł mi już nikogo innego przysłać, jak tylko swego kuplera?“

Pan szambelan Corticelli nie należy bynajmniej do wyjątków. Oto np. podobny przyjemniaczek: Antoni de Friese, sekretarz kompanii manufaktur wełnianych, pomaga królowi w pisaniu pamiętników, a równocześnie jest ajentem Repnina i płatnym przez dwory denuncyantem żołnierzy kościuszkowskich. Będzie go przez lat wiele naciągał, a potem, po abdykacyi, oskarży w Grodnie o marnotrawstwo. Albo taki szambelan Boscamp, internuncyusz, zakała gabinetu królewskiego, Rumun z pochodzenia, który w r. 1794 zginie na szubienicy. Miał on dostęp do najpoufniejszych misyi państwowych i uprawiał działalność publicystyczną za rosyjskie dukaty. Tajnym ajentem Igelströma jest monsieur Littlepage, zajadły targowiczanin, figura niesłychanie łapczywa na grosz, bardzo czynna w machinacyach rozbiorowych, nieustannie w jakichś misyach tajemniczych.

A pan redaktor Mehée? Olbrzymiego wzrostu, kosmaty i obszarpany, *comme ces brigands, qu'on voit dans les romans d'avantures,* ajent policyi tajnej Ludwika XVI. i konfident carycy, jakobin, opłacany przez

Rosyę, przyjechał do Warszawy z poleceniem zwalczania ustawy majowej, a, zostawszy na życzenie i z poparcia króla wydawcą i redaktorem *Journal de Varsovie,* napisał potem bezczelną i oszczerczą książkę „*Histoire de la révolution de Pologne en 1791*“, w której gładko udowodnił, że „mało jest na świecie krajów, gdzie głupstwo i pycha większą przeciw Francyi (!) zieją nienawiścią“.

W porównaniu z kreaturami podobnemi o ileż mniej szkodliwi są zawodowi rycerze szczęścia: już to taki włóczęga i oszust, jak „hrabia“ Manuzzi, ożeniony przez króla z Jedwiżką Opeską, albo też Tomatis, gracz fałszywy i birbant osławiony, kupczący pięknością swej żony, którą po całym świecie sprzedaje, szczęśliwy przedsiębiorca teatralny, co potem zakupił Królikarnię, wybudował tam pałac, oranżeryę z wspaniałym parkiem, dla urządzania wesołych orgij.

Ilustracyą zapatrywań wszystkich, grasujących w Polsce cudzoziemców, niechaj będzie francuski pamiętniczek znanego nam już Reverdila, który miał obowiązek czytać królowi do snu książki i żenić się z jego dymisyonowanemi metresami. Zarozumiały próżniak obraża się w swym pamiętniku o każdą wymówkę króla, gniewa się, ilekroć każą mu coś robić, a przemyśliwa ustawicznie, jakby to *corriger la fortune.* Wszyscy inni cudzoziemcy robią majątki *et à moi rien!* — woła z rozpaczą. — „Za tyle trudów, względów i małżeństw uganiałem się za fortuną, teraz jej będę oczekiwał z rękoma założonemi w łóżku“. Taki Boscamp jest bardzo bogaty, Barnevyl zdobył posadę w Radzie nieustającej, tylu durniów i nicponiów robi karyerę, tylko on nie może nawet wykołatać zdwo-



MARTEAU LUDWIK: PORTRET WŁASNY

jenia liczby świec i karety z parą koni. Ale z czasem i jemu los się uśmiechnął.

Także i zgoła pospolite oszusty nie omijają stolicy. Jeden taki np. przedstawi królowi projekt radykalnego usunięcia wszystkich żebraków, którzy byli plagą Warszawy. Poleca ich zgromadzić w osobnym domu, gdzie zakładał jakoby wielkie dla nich schronisko i każe się przebrać w nową odzież. Dowcip bowiem leżał w tem, iż żebracy w sakwach swoich mieli wiele złota, które sprytny oszust skonfiskował i umknął cichaczem. Drugi znów leczy wszelkie choroby zapomocą cudownej mikstury, przyrządzanej z „pereł, prażonych na wolnym ogniu". Pacyentki winne były złożyć możliwie wielką ilość pereł panu konsyliarzowi, który je nibyto rzucał do tygla, a właściwie chował zręcznie do kieszeni.

Jakże bardzo wstydzić się musi za nich wszystkich, jak ubolewać nad łatwowiernością Polaków, tak bliskich jego sercu — szanowny książę de Ligne, *grand seigneur* wyjątkowej kultury, pisarz, rycerz i wytworniś, który zostawił po sobie aż 32 tomy dzieł oświeconych, ożenił syna z księżniczką Massalską, daremnie przemyśliwał, bawiąc na dworze królewskim, nad ratunkiem dla Polski, a tuzinkową płytkość umysłów współczesnych przerastał, jak mało kto inny! Nie sposób o nim mówić tutaj, w tak niedwuznacznem towarzystwie! Więc niema w czeredzie cudzoziemców, ludzi godnych szacunku i dobrego wspomnienia? Niewielu bardzo, a przeto tem skwapliwiej ich poznajmy. Do przyzwoitych zgoła należy Szwajcar, doktor Lafontaine, znany ze swego przysłowia „dyabeł porwaj", przyjaciel Kościuszki, później chirurg generalny armii ks. Warszawskiego, który za-

kończy życie nad Berezyną, dalej rodak jego, Maurycy Glaire, „niezbrukany nikczemnością“, aktualny konsyliarz gabinetowy, organizator masoneryi, wysyłany w ważnych misyach do Paryża. Też wspomnieć tu można o Gigiottim, przebiegłym i rozrzutnym sekretarzu króla, ale człowieku uczciwym. O poczciwcu starej daty, teatynie i pedagogu Portaluppim, o braci artystycznej, która w tak przeważającej liczbie rekrutowała się z zagranicy, mówiliśmy już poprzednio.

Dwom należą się słowa uszanowania dobrze zasłużonego. W części przynajmniej ratuje honor zagranicy sekretarz króla, *monsignore* Scipio Piatolli, polski Talleyrand XVIII. stulecia. Wszakże to u niego w domu, w skromnym pokoju na Zamku królewskim, stała kolebka ustawy 3-go maja i odbywały się w najgłębszej tajemnicy owe chwalebne narady, na które król wymykał się *incognito*, w towarzystwie głuchoniemego Wilczewskiego. W zaufanem gronie czytano i roztrząsano po kolei paragrafy przyszłej konstytucyi, a niepokaźny Florentyjczyk, „wyrocznia nowatorów“, przemawiał co chwila *con fuoco*, oddając na usługi konspiracyi swój niepospolity talent polityczny, dzielne pióro i wysoką inteligencyę. Może najlepszym uczynkiem, jaki przydarzył się w życiu ks. marszałkowej Lubomirskiej, było ściągnięcie Piatollego do Polski. A długą przebył drogę, nim się znalazł w rzędzie współtwórców ustawy majowej. Żądza roboty politycznej rozrywała go na wsze strony. Najpierw papista, potem ścigany ostro jako heretyk, raz jakobin, to znowu szef gabinetu paryskiego ks. Lubomirskiej, zrazu walczy zaciekle przeciw królowi, by w czasie Sejmu stanąć przy nim jako duch dobry, zwalczany

przez całą kamarylę dworską' i wszystkie kierowane przez ambasadora „kwochy"! *Monsignore* Scipio, były profesor wszechnicy w Modenie, nie zrobił w Polsce karyery, ani majątku. Poprzestał na 20 dukatach miesięcznej gaży, ale pięknej roli, jaką odegrał na dworze, mogło mu wielu, bardzo wielu dworaków pozazdrościć!...

Generał Fryderyk Kokcej (Cocceji), tak wdzięcznie wspominany w pamiętnikach króla, to typ rzadki w XVIII. stuleciu: najwierniejszy z faworytów i dziwny maniak honoru. Chociaż Prusak najczystszej krwi! Syn pruskiego kanclerza i ministra rzuca wskutek jakichś przejść przykrych służby poczdamskie i, mimo łaskawość Fryderyka, przenosi się do Polski. Króla ujął sobie odrazu bystrością kultury i sercem. Dość powiedzieć, że porwany przez konfederatów monarcha do niego w pierwszej chwili szle list z prośbą o ratunek. I tak się stało, że gdy król pruski pętlę na Polskę zarzuca, syn jego kanclerza ratuje króla polskiego w najcięższej opresyi! Oddaniem swojem zawstydza wujów Czartoryskich i mówi im wprost: „Najpierwszą powinnością moją jest być wiernym mojemu władcy!" Nie znaczy to bynajmniej, że był Kokcej pierwszym w duszy królewskiej. Stanisław August fatalnie nie znał się na ludziach i nie odróżniał szumowin od czystych charakterów. Wystarczyło mu jakże często słowo układne, giętki ukłon, lub frazes dobrze z francuskiego poety zacytowany a wtedy „odebrawszy zapewnienie miłości od nich, z wylaniem serca twarz ich po kilka razy całował!"

* * *

OBIADY CZWARTKOWE.

Uczta w Olimpie Jowisza z bogami
Nigdy nie miała tej sławy
Co obiad, czwartku, ma dziś między nami,
Gdzie mądrość stawia potrawy!

„Zabawy przyjemne i pożyteczne“ 1775.





gdy piększą się wszyscy, więc i Muza polska zasiadła przed lustrem, aby rozczesać swój warkocz, niesfornie od wieków splątany. Włosy, kołtunem dotąd zlepione, jęły się splatać w kosę porządną, oraz w ozdobne piętrzyć pukle. Bo raźno zabiegają fryzyerzy! Ks. Stanisław Konarski, co to pierwszy ośmielił się być mądrym, Franciszek Bohomolec i Adam Naruszewicz i książę biskup Warmiński, po łokieć zakasawszy haftowane „pleureusy“, uwijają się wokół toalety. I wkrótce maszkara w strojnisię przemieniona.

W blaskach słonecznych lśnią znowu szczyty polskiego Parnasu, zefirek słodki przepędził precz mgły ciężkie. Jeszcze niedawno „akademia wszelkiej sciencyi pełna“ ogłupiała nieuczonych ludzi, co jeno Alwara gryźć, jak rzepę, umieli, jeszcze niedawno ślepego rymokletę (Bieżanowski zwał się i żyje dotąd) Homerem polskim, ba nawet „ojcem ojczyzny“ okrzyknięto w podzięce za półtora sta panegiryków. A dziś?

Jakże prędko i gorączkowo uczą się ludzie, wpatrzeni w hasło: „Doskonalijcie władzę rozumu, a zbliżycie się do prawdy, szczęścia i spokoju!“ Wróciły widno czasy owe wspaniałe, w których senator polski za pan brat chadzał sobie z Erazmem z Rotterdamu i Eneaszem Sylwiuszem, zbierał laury wdzięczne od papieży, przeto, że najpiękniej w Europie łaciną włada; wróciły, zda się, wieki dumne, kiedy to królowi polskiemu hołd niosły najuczeńsze rozumy świata, a Jan Czarnoleski lipę polską na Olimpie zasadził! Ta sama i przedziwna, jak wtedy, żądza światła kołacze się w piersiach Polaka oświeconego. „Budząc się — pisze gdzieś Trembecki — widzę wokół siebie Platona, Cicerona i Montaigue'a, którzy opowiadają mi wiele pięknych rzeczy. Resztę dnia spędzam z Monteskiuszem, Janem Jakóbem i Saint-Pierrem i biorę od nich uświadomienie; czasem przyjdzie Vergili, aby nas rozczulić, to znów Lafontaine ucieszy bajką i powiastkami nieśmiertelnemi; wieczorem zasię w tem samem łóżku zasypiam z szanownym Homerem!“ A skoro jest w modzie uczoność i oświata, to należy dorównać w biegu narodom najpierwszym. „Wesele Figara“ grają w Warszawie u pani Gozdzkiej pierwej, niż na to pozwolono w Paryżu, przed wielkością Szekspira korzy się król polski nisko, choć jeszcze nie dała na to aprobaty Francya literacka. Polska wchodzi w modę. Rousseau, Wolter i Mably debatują nad jej ustrojem, Delille sławi ogrody Sybilli, Marmontel przesyła królowi egzemplarz „Belizaryusza“ z zapewnieniem, że jego elekcya jest datą w historyi ludzkości, Diderot tylko z powodu choroby nie wstąpił, tak jak Grimm do Warszawy, a Wolter, mimo wszystko złe, co dla Polski zrobił, pozostaje w żywej

korespondencyi ze Stanisławem Augustem, „krzewicielem mądrej tolerancyi“. Z pod pras bieżą tłumnie książki, liczba drukarń i księgarń pomnożona w dziesięćkroć. Encyklopedyści polscy roznamiętnieni pracą. Brak im fantazyi twórczej, nie wiedzą nic, choć mówią wiele o „czułości serca“, za to posiedli wszystkie sekreta dobrego gustu, rozwinęli kunsztowne formy klasycznego stylu. Strofa polska podszeptuje Krasickiemu takie tajemnice, jakich nawet poskąpiła Janowi Kochanowskiemu; wiersz, którym władają poeci, jest tak wytworny, jak ich życie. Dramat pręży się w powijakach i powieść nowożytna, satyra, elegia i sielanka, traktat moralny i dziejopisarstwo. Co miesiąc pisze drama pan Zabłocki, co tydzień „Zabawy przyjemne i pożyteczne“ radują czytelników i słychać poświst ostry satyry „Monitora“.

Dwa nadewszystko święte nakazy obowiązują poetę. Unikaj pospolitości — *évitez la bassesse* po pierwsze, *étudiez la cour*, ucz się mądrości u dworu, rzecz druga. A dworów było dwa: królewski i puławski. Król i rówieśnik jego, książę Adam, obaj najpierwsi siewcy oświecenia polskiego, to współzawodnicy nietylko w walce o koronę, lecz i o mnożenie cywilizacyi w Polsce. W Warszawie i Puławach biją źródła kastalskie, a król bierze prym i palmę w wyścigu. *Étudiez la cour*, brzmi hasło, zaczem u dworu widać coraz nowych gości. Codziennie przez rok cały, lecz we czwartek szczególnie.

Stolnik Poniatowski, wojażując po Europie, nauczył się wielu rzeczy, które się potem przydały królowi polskiemu. Przyjrzawszy się zblizka życiu schorzałej Francyi przedrewolucyjnej, spostrzegł, że sercem i tętnem Paryża jest salon, że prąd oświecenia

urodził się i począł przy kominku i kieliszku wina. Nie na wystawnych, ale martwych *soirées* dworskich, lecz na *cercle'*ach literackich i podwieczorkach, których Fontenelle, chociaż stuletni staruszek, do śmierci nie opuszczał. Nie pozwoliła wprawdzie papinkowi „maman“ Geoffrin brania udziału w zebraniach, ale tem lepiej zrozumiał ogromne znaczenie tej dziwnej herbatki, która elitę Paryża z Buffonem, Russem i Marmontelem na czele gromadziła w mieszkaniu żony fabrykanta luster. Przy ulicy St. Honoré częściej decydowały się losy Francyi, niż w Wersalu, a wielka rewolucya odbywała pierwsze próby z sordiną w ciszy gabinetu.

* * *

W alejach łazienkowskich gromadzili się goście o drugiej lub trzeciej z południa i, przechadzając się w szpalerach, przybycia króla oczekiwali. Wśród arcymądrych labusiów w fioletach, wśród senatorów z Apollinem w herbie, kobiety nie znajdziesz na lekarstwo Gospodarz pojął to jeszcze w Paryżu, że Muzom nie w smak niewiasta. To prawda, że strojnisia doda salonowi splendorów i pieprzyka, ale też niechybnie zmąci tok uczonego dyskursu. Pani Geoffrin ani jednej kobiety do siebie nie puściła, nie znosi ich też na *cercle'*u literackim marszałkowa Lubomirska, oraz „Muza encyklopedyi“, madame de Tencin. „Kochanek wszystkich żon“, co bez kobiety życia nie rozumiał, przyznaje Paryżowi racyę i zdobywa się na czyn heroiczny: na obiedzie czwartkowym nie słyszano ni razu szczebiotu niewieściego.

Tymczasem na pokojach wydawał marszałek dworu ostatnie dyspozycye. W sali bawialnej usta-

wiono stoły w podkowę. Nakryć jest zazwyczaj dwanaście. Nieco więcej, niż u Woltera w Cirey, a za to nierównie mniej, niż przy ulicy St. Honoré. A wygląd stołu inny, niżeli to w Polsce bywało w zwyczaju. Niema brudnego ręcznika, wzdłuż stołu przeciągnionego, którym sobie biesiadnicy po kolei usta wycierają, niema mis obręczowych, w które każdy łyżką swoją sięga. Król dba zarówno o wykwint stołu, jak umysłów. Środkiem, przez całą szerokość, leżą lustra na drobnych nóżkach, na nich stoi Muz dziewięć z białego alabastru, które umyślnie z Włoch sprowadzono. W pośród Muz marmurowe wazony z kwiatami, a w zagięciu podkowy mała fontanna. Goście siedzą tylko po jednej stronie stołu. W lustrach odbija się łyskliwie światło kandelabrów i starannie na ten dzień przeczesane pukle zaproszonych gości. Nawet Trembecki odziewa się czysto we czwartek. Jest jeszcze kilka nakryć w rezerwie, bo nużby kogoś niespodzianie z marszałkowskiego stołu wezwano?

Do *menu* czwartkowego nikt szczególniejszej wagi nie przykłada. Wie dobrze Imć pan Tremo, że nie o potrawach w dyskursie będzie mowa, a kielichy po nich pójdą tylko *ad hilaritatem*. To pewna, że nie podadzą *antiquo more* bigosu hultajskiego, ani sztokfisza, za to nieodłącznej „królewskiej zwierzyny“, t. j. baraniny nie braknie nigdy, bo król za nią przepada. Potrawą czwartkową były jarząbki, tak przedziwnie słoninką szpikowane, że słysząc o nich w drugiem pokoleniu, Aleksander Fredro z westchnieniem oblizywać się będzie. Napojem czwartkowym jest „Popiel“, „wino pewne węgierskie, kosztowne i stare, a tak mocne, że król sam go nie pija a innym tylko po kieliszku małym pozwala“. Rzetelny był ten „Popiel“, bo myszką

mocno zatrącał, tak tedy na obiadach czwartkowych lepiej działo się, niźli na assamblach w Cirey, gdzie podawano cienkusza straszliwego, któremu dopiero Wolter smaku dodawał zapomocą pieprznych dowcipów z „Pucelle“.

Już zasiadł król Jegomość do stołu na krześle *cum insigniis regalibus* i kompanii toż samo uczynić zezwolił, już szambelan urzędujący zupę królowi nalewa, tedy czas i sposobność przyjrzeć się zbliska biesiadnikom.

Przewodniczy zebraniu naturalnie ten, „który wszystkie załatwia ekspensa: dowcipu, wiadomości i wina i mięsa“. Bez jego towarzyskiej słodyczy, bez jego bystrości i lotności nie dałyby się czwartki pomyślić. Król cieszy się zawsze przez cały tydzień na czwartek, a na obiedzie nie widziano go nigdy w złym humorze. Jest w kole najbliższych przyjaciół i niema na sali ambasadora rosyjskiego. „O jakże tęsknię ja do ulgi od zbytniej i prawdziwie już zbytniej pracy! O jakże miłe będą znowu czwartki“, wyzna w liście z r. 1776. Któż obok króla? Rozumie się, że ks. biskup Adam Naruszewicz, który ma prawo do podwójnej racyi „Popiela“; jego wierszyk, chociaż dyablo ciężki, jest wydarzeniem dnia, z jego dowcipu, jakkolwiek rubasznego, wszyscy śmiać się muszą, a gdy znów czyta nudne, choć mądre ustępy ze swej historyi, któremi król się zachwyca — towarzystwo ziewa ukradkiem.

Naruch już wszystkim zwyczajny jako domownik, kto inny za to w niezwykłej chadza tu estymie. Nie byle kto, nie byle kto! Niech nam wierszyk go sprezentuje:

„Biskup warmiński, gładysz gładkich sentymentów,
Nie lubi mieć o wiarę trudów i zakrętów,
Czyli w tej, czyli w owej wierze żyć jest jedno,
Lepiej zawsze w rozkoszy, niż tam, kędy biedno!...“

Krąży również po mieście figlarny rysunek, przedstawiający księdza biskupa przy mszy św., do której mu panny w robronach usługują. Ale niktby się nie ośmielił wspomnieć o tem polskiemu Wolterowi, o którego przyjaźń i obecność we czwartki król skwapliwie zabiega. Mimo wszystko, co pomiędzy nimi zaszło, mimo, że już dawno nazwał przyjaciela młodości „niewdzięcznikiem“, jakiego dotąd nie było i nie będzie. Wiadomo, że od czasów barskich jeszcze łączy „Mineta“ z królem stosunek dość etykietalny, a dawne stosunki przyjaźni nie naprawią się nigdy, niemniej jednak talent wspaniały odbiera hołdy należne. „Gasło wszystko — notuje kronikarz — gdy zjawił się przy stole“. A gdy z Heilsberga przyszle wiersz jakiś do odczytania we czwartek, król odpisze mu rozradowany: „Wiersze Waszej Książęcej Mości poznałem zaraz czyje są i w tem się ze mną zgodziła cała nasza czwartkowa kompania, która, gdy na suche czasy skarżyć się poczynała, z osobliwą słodyczą przyjęła to pocieszenie *de rore coeli!*“

Król gotówby nawet partyę lombre'a na obiedzie czwartkowym urządzić, gdy dowiedział się, że śpiewak „Myszeidy“ najchętniej pisze pomiędzy jedną a drugą kolejką i ma u siebie zawsze inkaust i papier przy kartach. Cóż, kiedy go ciągnie gdzie indziej!... Woli płaszczyć się przed Fryderykiem i znosić choćby upokorzenia przy cienkiej zupce w Sans Souci, niż tutaj błyszczeć w gloryi wielkiego pisarza. Fryderyk tak go polubił, że nawet koszta podróży z Heilsberga do

Poczdamu płaci, a także długi wszystkie! Dwór pruski bawić się nie umie, tedy wieńczy biskupa kwiatkiem, dukatem i wierszykiem, byle im tylko zabawy urządzał! W to graj wesołkowi. Opowiada ucieszne anegdotki, zgoła niepotrzebnie ośmieszając w nich Stanisława Augusta, urządza dla dworu festyny u siebie w Heilsbergu, przebiera grafinie za nimfy, obrzuca je kwiatami, są fajerwerki rzadkie i szlichtady, są tańce i festiwale, bo będą za to dla grzecznego biskupa pieniążki.

Patrzmy dalej po stołach, gdy ks. biskup nie łaskaw. Tego nie umiał przejednać, innego zaś ma wyżej uszu. Siedzi właśnie przy stole czwartkowym osowiały, wieczysty żebrak i genialny majster oczajdusza, zafantowany za życia, świetny poeta, pan szambelan Trembecki. Czy znano gdzieindziej na świecie poetę i to poetę wysokiej miary, któregoby pan i król, nie mogąc sobie w inny sposób dać z nim rady, oddał pod kuratelę kamerdynerowi i nakazał surowo, iżby „Trembecki bez woli i wiedzy swego opiekuna Bruneta nic czynić się nie ważył?“ Tedy jest osowiały pan szambelan. Nie jada mięsa i nie pije wina, nie lubi tych ludzi i lekceważy ich. Jest przedmiotem uwag i docinków, gromiony nieraz przez Naruszewicza za zmyślenia. Przychodzi tylko z musu i czyta rzadko swe gładziutkie wiersze pochlebcze, lub „Syna marnotrawnego“. Absentować się nie wolno, gdyż osoba poety jest własnością króla. Pamiętne przecież ultimatum, które mu król postawił w r. 1781. Ultimatum straszliwe: „Ale jak mi we czwartki nie będziesz bywał, to i płacić przestanę. Ja ciebie samego chcę mieć w prowizyi“. A on wyprasza się, jak może: „O jedną tylko bagatelkę mam jeszcze jak najpokor-

niej suplikować, abyś mię Sire już na czas dalszy od bywania na czwartkach uwolnić raczył". Nic nie pomaga, więc dalej prosi: „Przez jakoweś przeczucie zawszem ja tego zgromadzenia unikał, na którem bywać W. K. Mość swym powtarzanym przynaglałeś mię rozkazem" i oto teraz „ten fatalny czwartek, pretekstów starej mody przeciw mnie dostarczył".

Pretensya do czwartków fatalnych śmieszna, bo przecież „pretekstów" przeciw Trembeckiemu całe życie poety dostarczało. Pono kiedyś w Paryżu był straszliwie honorowy, ognisty i zawadyacki, zabijał markizów, klucze całe w karty przegrywał, — w Warszawie jest pochlebcą najpokorniejszym i rycerzem industryi zgoła pospolitym. Nieustająca żebranina na prawo i lewo, szantaże i wymuszenia szambelana, znudziły nawet Stanisława Augusta. Talent boży, największy dar słowa, jaki kiedykolwiek miał w Polsce poeta — marnuje, aż grzech patrzeć. Niedościgniony gładysz rymów i peryfraz tłumacz przedziwnie subtelny — cóż nam po sobie zostawił? Kilkadziesiąt wierszy, zebranych, jakby od niechcenia, trochę przekładów i prozy historycznej, wiele drobiazgów z dewizą wyraźną: *pour corriger la fortune*, a dopiero pod koniec życia jedyny wysiłek twórczy: „Zofiówka".

Tak myślano i mówiono o Trembeckim na dworze, ale szczególnie zjadliwie docinał mu młokos, rogaty i butny, z którym się często wzajem asafetydą obrzucali — starościc Węgierski. Jeśli to wogóle prawda, że ten na Wolterze ostrzony języczek dopuszczony bywał do splendoru czwartków? Jest przecież paszkwilistą, co „pięć Elżbiet oczernił", a jego szyderstwa z drzemiących gości czwartkowych obiegły

całą Warszawę. Marnuje się, jak Trembecki i także szkoda wybornego talentu.

Gdyby Tomasz Kajetan Węgierski nie miał istotnie wstępu na te symposia, lub, co jeszcze lepiej, gdyby Apollo wogóle nie miał dzieci w Warszawie — o ileż gładziej wiodłoby się nieszczęśnikowi Bielawskiemu! Jedyny, jak sam twierdzi, filar sceny europejskiej obok Racine'a, twórca najcelniejszych, w swem mniemaniu, wierszy, ponadto wielbiciel wszystkich kobiet i zawsze o dobrym apetycie. Gdybyż tylko nie ci szydercy! Patrzy Bielawski niespokojnie od talerza, czekając z której strony strzał padnie. A pada co czwartku. Kto żyw, kpi niemiłosiernie, nie zliczysz ucinków, dwuwierszy, czy nagrobków, składanych pilnie przez cały Parnas. Bielawski odciąć się nie potrafi, bo tępy jest w słowie i myśli pomału. A skoro siądzie z nieszczęsną miną przy Węgierskim, wtedy król — bywało — woła marszałka Woynę i każe siąść mu pośrodku na znak, że wojna między poetami. Pociski dowcipów wybuchają co chwila. Mówi np. Węgierski:

— Mości Bielawski! Chciej na moją instancyę wydać jeszcze jedną komedyę, ale w ten sposób: weź treść z Moliera, niech ci Potocki z Wyrwiczem rozkład zrobią, Karpiński da rymy, Zabłocki wiersz napełni, a u spodu tytułu, którego inwencyę ja na siebie biorę, napisz: „Na prośbę Imć pana Węgierskiego nie napisałem wcale tej komedyi!"

Wspomniano wyżej o Karpińskim. Ale ten jest gościem rzadkim. Na Pokuciu mało mówiono mu o galanteryi i przeto nie wie pan poeta serca, że nie wypada rąbać wszem wobec prawdy niegrzecznej. Daremnie król nalega, by przyjeżdżał częściej. Przepo-

wiada sobie po cichu werset z Juwenala: *Quid Romae faciam? Mentiri nescio.*

Od Karpińskiego Bohomolec tu przydatniejszy. Podwójnie rada kompania czwartkowa ks. Franciszkowi. Naprzód, że głowa uczona, gust wyborny, powtóre: piosenkarz. Podobno „Kurdeszowi“ swemu zawdzięcza, że się tak szybko w gronie senatorów literackich znalazł. Jeśli to prawda, że on wogóle owego „Kurdesza nad Kurdeszami“ napisał. Dla przeplatania humorem materyi poważnych, ks. Franciszek nadaje się doskonale. Na jego komendę śpiewają wszyscy, jako kto umie, w gronie Apollina:

„Fraszka taka mądrość dzika,
Co pozorem myśli straszy,
Pieśń powabna myśl przenika,
Sercu wesołość od flaszy.
Po szklaneczce do piosneczki,
Po piosneczce do szklaneczki...“

Na intencyę nowej piosneczki napełniono kielichy, a wtedy *inter pocula* raczył ks. biskup Krasicki nową strofę do Bohomolcowych przydać:

„Wieńczmy czoła nasze różą,
Dla dziwaków tylko kolce,
Dobrze nam się czasy wróżą:
Niech się rodzą Bohomolce!“

A król śpiewów nie broni, bo przypomniał sobie może z lat młodych, jak to uroczysty Montesquieu nucił figlarne kuplety przy kominku u pani Geoffrin. Zaczem dyskurs powraca znowu do tematów uczonych i ten sam ks. Bohomolec radzi teraz wraz z królem, o czem pisać się będzie w najbliższym „Monitorze“.

Za to, że od lat wielu pracowicie komedye na teatrum układa, nazywają Bohomolca „polskim Molie-

rem“. Jest to krzywda oczywista dla Franciszka Zabłockiego, któremu raczej ten honor przynależy. Gdzież równać z nim Bohomolca! Pisarz „Sarmatyzmu“, aplikant gorliwy teatru nowoczesnego, scenę czuje jak nikt inny, lecz chwalić się nie umie. Nizki i niepokaźny, mówi mało i ciężko, a rudej peruki nigdy nie pudrował. U króla w łaskach oczywistych. Za akt „Fircyka“, odczytany we czwartek, medal od króla znalazł w serwecie i aplauz słuchaczy, tak powszechny, niczem Beaumarchais, gdy niedawno temu w Paryżu czytał zachwyconym biskupom i senatorom „Wesele Figara“.

Zaraz z kraju siedzi, milcząc opryskliwie, historyk i współredaktor „Zabaw przyjemnych“, Albertrandy. W poszanowaniu, ale nielubiany. Ledwie go widać, bo wzrostem chłopaczka 12-letniego mało co przewyższa. Pomarszczony, niby nowe pergaminy, na których przepisywaniu pół życia strawił w bibliotekach zagranicznych, po za fajką i kawą świata nie widząc, nudny i nieciekawy, tak, jak jego dysertacya o niebieskich rumakach Apollina. W brzydocie i wzroście nie ustępuje mu wielkogłowy Piramowicz. Lecz tego lubią wszyscy. „W obcowaniu i mowie przyjemny, w pedagogii gruntownie uczony“. Chreptowicz gada po francusku „jak Angielczyk“, ale w opiniach chwiejny, a przedto godny czyśćca, wedle Węgierskiego. Najmłodszym w całem gronie jest Ignaś Potocki, ten, co zasłynie z czasem, jako współtwórca ustawy majowej. Bardzo pewny siebie i zarozumiała sztuka, szczególnie od czasu, gdy wziął za żonę marszałkównę Lubomirską. Oczy ma koloru swego fraka, tj. niebieskie, a obiad czwartkowy nie jest dlań nowością. Bywał na rozmaitych „cenaclach“ w Rzymie i Paryżu,

zaczem radby tutaj ton nadawać. A jest tu reprezentantem najwspanialszej instytucyi, jaką król stworzył, Komisyi edukacyjnej.

Sztuki plastyczne trzymają się razem. Gromadka spora, bo, obok nieodstępnego mistrza Marcello, jest Vogel, Lesseur i Smuglewicz. Najpotrzebniejszy wszakże Marteau, gdyż robić ma szkice do portretów gości czwartkowych.

Ludzi pospolitych, albo zgoła głupich nie znajdziesz ani za grosz. Nawet i ci dworacy, którzy tylko z tytułu funkcyi dworskich, lub przyjaźni królewskiej bywają tu dopuszczeni — to persony uczone i we świecie obyte, jako że wszyscy podróżowali wiele. Poeci chadzają w sławie, choć największej, niesłusznie, bo i inni na równie dobre imię zasłużyli. *Par exemple* choćby taka trójca ludzi światłych i szanownych, jak biskup Szembek, ks. Wyrwicz, lub wojewoda Mniszech. Wyrwicza znajomość geografii i kultura ceniona w całym świecie, a Szembek z Mniszchem też niepoczciwie dziś zapomniani. Hilary Szembek był biskupem i to nie byle jakim w Płocku i Pułtusku. Należy do najwybitniejszych współpracowników kodeksu Zamoyskiego, ułożył plan i prospekt tego dzieła. Krasickiemu pomaga wydatnie w ułożeniu dykcyonarza, czyli „zbioru wiadomości pożytecznych", poprawia rzecz i rozszerza. Jako znawca przyrody znosi co czwartku różne dziwne kwiatki i robaczki. Michała Mniszcha nazywa Bernoulli „najuczeńszym szlachcicem polskim pod względem gruntowności". Biegły w słowie i piśmie zagranicznem, gdyż studyował w Lozannie i Paryżu, używany jest Mniszech przez króla do pisania artykułów w prasie zagranicznej, które się potem głośno odczytuje.

Liczny poczet gości poznaliśmy już, a przecie daleko jeszcze do owej trzydziestki uczestników, którą wylicza Magier. Albowiem są między nimi dworacy, ci, bez których król nigdzie kroku nie zrobi, są przyjezdni, którzy czasem tylko zaglądają, a mała jeno garstka bywa u stołu czwartkowego stale.

Czasem intruz zabłąka się na salę, że nie wiedzieć, co z nim począć. Podobało się np. królowi zaprosić raz na czwartkowe *diner* Branickiego, chyba tylko po to, aby ugłaskać i połechtać niebezpiecznego warchoła. Więc ks. biskup Naruszewicz aż odę z tej racyi napisał:

Co tu porabiasz, wodzu w obcej stronie,
Nie chodzi bitny Mars po Helikonie!

Branicki był, za to brakło człowieka, który wszak krzesło kurulne w literaturze dzierży: ks. Adama Czartoryskiego, człowieka, który już od dawna zbożną pracę oświecenia czyni. Ale cóż, nie znoszą się obaj z królem wzajemnie!

Sprezentowani gościom czwartkowym, weźmy teraz udział w ich zabawie.

Po skończonem *menu* wszczynają się dyskusye uczone, a dukt ich przechodzi szybko z przedmiotu na przedmiot. Na szybkości zmian polega właśnie *l'esprit*. Niema też ustalonego programu, raczej *le beau désordre* w lekturze i rozmowie. Tedy będzie najpierw astronom ks. Poczobut objaśniał tajemnice gwiazd, których światło do ziemi dąży lat kilka tysięcy, a zaraz potem Trembecki przedstawi królowi artykulik „o pokarmach, najlepszych, mniej dobrych i szkodliwych“, kwestyę bardziej przystępną i zrozumiałą. Nikomu z wieszczków nadwornych nie wolno

pojawić się we czwartek z próżnemi rękoma, a to pod grozą niełaski majestatu. Naruszewicz, w braku ody, albo satyry, delektuje króla ustępami ze swej „Tauryki“, Zabłocki szczęśliwy z powodzenia „Fircyka“. Jowialny brygadyer Jakubowski bąka swoje, marne zresztą, bajki, książę podskarbi Poniatowski opowiada z afektacyą o swych podróżach i zbiorach chińskich, to znowu wszyscy skupili się nad nowym planem rekonstrukcyi Łazienek, lub czytają manuskrypta, które do wtorkowego numeru „Zabaw przyjemnych i pożytecznych“ zebrał ks. Bohomolec. Czasem, ale to rzadko, król swoje własne przedłoży do ogładzenia, a poeci jego trudzą się tak, jak Wolter nad pismami Fryderyka. Wyrwicz wiedzie wytrwale krucyatę przeciw nowotworom językowym. Jakże bowiem godzi się używać takich dziwolągów, jak np. „pamiętnik“ (wymyślił je właśnie pan redaktor Świtkowski), lub też kaleczyć uszy wyrazem „posiedzenie“, skoro po polsku mówi się — sesya!... Że każdy strzępek choćby z twórczości encyklopedystów, mały drobiazg pana Woltera, czy korespondencya Grimma chłonie się tu z nabożeństwem — dodawać nie potrzeba. Nieopisana już radość wówczas, gdy Wolter i to własnoręcznie list do króla wystosuje, lub gdy Akademia berlińska przyszle królowi dyplom zaszczytny członkowstwa. Wysilają się wtedy, a wysilają nad odpowiedzią. „Panie! — napisze po naradzie król do Woltera — każdy człowiek, czytać umiejący, powinien się uważać za nieszczęśliwego, jeśli ciebie nie widział. Gdyby król, mój poprzednik, żył o rok dłużej, widziałbym Rzym i Pana“. Maestro Bacciarelli wciąż w ogniu interpelacyi o sprawy sztuki, natomiast, kiedy młody Wybicki, oraz Ignaś Potocki poczną z królem

wieść długie dysputy prawnicze, stanowczo nikt ich słuchać nie chce...

I trudno nawet od tych ludzi żądać, aby ich tak, jak króla, wszystko interesowało: gramatyka Kopczyńskiego na równi z kanałem Ogińskiego, manufaktury grodzieńskie nie mniej od „Satyr“ Krasickiego. Więc, gdy przyjdą do głosu pedagogowie z Komisyi edukacyjnej, wtedy nudzą się literaci, mąż stanu nie słucha wywodów malarza, architekt Kulicki ziewa, znudzony całą societą. Wybicki skarży się w pamiętnikach, że siedział na rozmowach literackich, jak na tureckiem kazaniu, a znowu „zagadniony od króla w materyi prawniczej, z przykrością od beletrystrów był słuchany“. Stąd powód do reform i przemiana w charakterze obiadów w r. 1771. Uczestnicy czwartków jęli się dzielić na sekcye, czemu początek dali prawnicy, założywszy towarzystwo osobne z Potockim i Wyrwiczem na czele.

Na deser przychodzi na stół lektura swawolna: raz wierszyk brzydki i dwuznaczny o „słowiku“, lub też „oda do żeniącego się młodzieńca“. Jeśli zaś wiersze czytane nazbyt są nieudolne, pada znagła po skończonej lekturze jadowite słowo ks. biskupa warmińskiego: „A teraz módlmy się za umarłych“.

Tymczasem penduły szóstą godzinę wydzwoniły, a na salę weszło dwu kamerlokai: jeden trzy śliwy niesie na małej farfurce, drugi na srebrnej tacy list z adresem: *au roi.* Ten list, to tylko zmyślenie, bo wewnątrz pusty i zawsze opieczętowany. Ten list, to jest sygnał i wskazówka dla obecnych, że czwartek skończony. Na widok farfurki i tacy „obecni z należną Naj. Panu rewerencyą, pośpiesznie opuszczają salę, a król z kompanią najczęściej jedzie na teatrum“.



PORWANIE KRÓLA PRZEZ KONFEDERATÓW. (WEDLE RYCINY WSPÓŁCZESNEJ)

Na wieczystą rzeczy pamiątkę zawisną portrety uczestników w jednej z sal zamkowych. Marteau je namaluje, Naruszewicz inskrypcyą ozdobi. Szczególnie zasłużeni medal „merentibus“ od króla dostaną i z dumą go wnukom pokazywać będą. A w Europie fama rozbiegnie się wkrótce, że salon czwartkowy Stanisława Augusta roznieca światło nad Wisłą. Komplement najwyższy w czasie, kiedy to nawet papież Benedykt, aby umocnić swe *prestige*, starał się nawiązać stosunki z salonem pani de Tencin.

Wojażerowie zagraniczni daremnie będą próbować, by uzyskać wstęp na czwartkowe *diners de fondation*, a bezimienny wierszopis w „Zabawach przyjemnych“ tak zakończy swą odę pochwalną:

Że król, pan mądry, tak nauki zdobi,
Jak żaden z naszych pradziadów,
Że cudem przedtem niesłychanym robi
Akademije z obiadów —
Jest ci więc czego czwartku powinszować,
Gdyś tak przez króla uczczony!
Potomnym wiekom trzeba zanotować:
We czwartek — obiad uczony!



Przez lat blizko dwadzieścia trwały czwartki, od r. 1770 mniej więcej po czasy Sejmu Wielkiego. A jakimż plonem się szczycą? Tu lęgła się pierwsza myśl założenia Komisyi edukacyjnej, tu dojrzał i pogłębił

się projekt wydania „Zbioru praw“, tu postanowiono po raz pierwszy przystąpić do napisania gramatyki polskiej, stąd brali Zabłocki, Krasicki, Trembecki i Naruszewicz wszystkie nieomal impulsy twórcze, tu wreszcie rodził się „Monitor“ i „Zabawy“. Słowem czwartki towarzyszą bujnym lotom literatury oświecenia. Lotom owym przyjrzeć się warto.

Jako Minerwa z głowy jowiszowej wyszła na świat literatura stanisławowska z umysłów oświeconych. Tak głupio i ciemno było przecież do niedawna! W dwadzieścia zaledwie lat po takiem zwierciedle głupstwa, jak „Nowe Ateny“ ks. Chmielowskiego, rozlega się skroś Rzeczypospolitej wspaniały głos Krasickiego, którego rychło polskim Wolterem i Pope'm nazywać będą. Na ugorze, porośniętym chwastami głupawych panegiryków, dojrzał ledwie zasiany, łan dostały, chlebny, złoty. Ciemne mnichy tak cudacznie poczynały sobie z mowa polską, że zdziczała do niepoznania, lecz oto przyszedł z odsieczą polski encyklopedysta. I zaraz tam, gdzie wczoraj jeszcze nie było jednej myśli rozumnej, jednego rytmu poczciwego, drży melodya słowa, jakiej od śmierci obu Kochanowskich nie słyszano. Jacy szermierze biegli, jacy żonglerzy kunsztowności przeróżnej! Wszystkie kwiaty Parnasu pachną, wszelakie formy poetyckie wdzięczą się barwami. Gdyby im fantazyi nie brakło, gdyby nie ziąb uczucia i serca pudrowane, żyliby do dziś jako poeci. A na wszystkich innych polach to samo. Wczoraj jeszcze czytano w kółko jedne i te same Magielony i Elefantyny, dziś kiełkuje powieść nowożytna: „Doświadczyński“, „Pani Podczaszyna“, „Polak w Paryżu“, oto polskie odbłyski wszystkich

typów romansu europejskiego, walczące dzielnie przy boku literatury politycznego Sejmu Wielkiego.

Na scenie nie było jednej sztuki przyzwoitej, przez wiek cały i sceny nie było wogóle, teraz co tydzień ma Warszawa nowość krajową. Sam Zabłocki napisał i przerobił 64 utworów scenicznych, a Bohomolec i ks. Czartoryski, a Bogusławski, ten polski Iffland, który „pisze, gra i grających tworzy“!

Z teatru zajrzyjmy do redakcyi. „Monitora“, co chwali się kilkudziesięcią tomów zapisanych troską o polski obyczaj i cywilizacyę, „Zabaw przyjemnych i pożytecznych“ nikt dziś czytać nie będzie, to prawda, ale i Francuz dzisiejszy nie weźmie do rąk *„Journal des savants“*, czy Anglik *„Spektatora“*; wszakże uznać trzeba ich budzicielską pracę. Sejm polski nie słyszał od dwu wieków takich jak dziś krasomówców! Mogliby śmiało z Mikołajem Lasockim, Oleśnickim i Zamoyskim jechać na sobory świata i błyszczeć jak tamci. A hasła literatury politycznej i wskazania kuźnicy kołłątajowskiej? Dotąd żywe, mimo wieków przedział.

Spytajmy teraz pana Michała Grella na Marywilu o ruch literacki. Pan Michał jest bibliopolą i księgarzem Jego królewskiej Mości, tedy wie najlepiej. W trójnasób wzrasta za króla Stasia liczba księgarni i drukarni, pan Grell jednak, prowadzący swą firmę „pod znakiem poetów“, pod patronatem popiersi Sarbiewskiego i Naruszewicza — najpierwszy w rzędzie wydawców oświeconych. Jakież to książki wydawał przedtem? *„Abhandlug von den Nutzen und Wirkung des ungarischen Weines“* (1761), lub „Obowiązki damy chrześcijańskiej“ (1764) w najlepszym razie! Dziś drzwi się nie zamykają od oświeconych

klientów, a codzień wpływa propozycya wydania w przekładzie nowej pracy Diderota lub Marmontela. „Iżby na pięknym papierze księgi swe imprymował“, przykazano Grellowi w przywileju królewskim. Jak ściśle dopełnił polecenia, zaświadczy wam bibliograf, wyszukawszy na półce bibliotecznej edycye Krasickiego i Naruszewicza, lub też przepyszną księgę, zdobną w sztychy, miedzioryty i girlandy, pt. „Sielanki polskie“ (1778). A wszystkie kramiki z kalendarzami Duńczewskiego i „Żywotem Genowefy“ zbankrutowały doszczętnie!

Dalekie od cnót spartańskich, często występków wszelakich pełne jest życie poetów XVIII. stulecia. Moralnemi były jednak ich dzieła. Działo się, jak zawsze i wszędzie, po myśli starej maksymy: *Fais ce, que je dis, ne fais pas ce, que je fais*. Błędy i zdrożności ludzi oświecenia znajdą w słowie drukowanem osąd surowy, nicość moralna bawidamków rokoka przepędzona będzie przez rózgi satyry i po wielekroć ujrzy się we wklęsłem zwierciedle szyderstwa. Naruszewicz plastyką swych satyr, ironia Krasickiego, sztychy zjadliwe Węgierskiego, kaznodziejski rytmus ks. Piotrowskiego, ileż razy ratują wiek XVIII. przed wyrokiem potępienia! Twórczość polska czasu tego wznosi się na cokół moralny, którego tak bardzo brakło życiu polskiemu.

Swoistości w niej mało. Krzew literacki wieku oświecenia nie rośnie o własnej sile, owija się powojem wokół Francyi, klasyków rzymskich, rzadziej Anglii i Niemiec nowych. Nikt z poetów nie jest wolny od zarzutu naśladownictwa, niema prawie utworu, któryby wyrósł sam, bez kośćca pożyczonego. Lecz tak być miało w ich rozumieniu. Bo twórczość lite-

racka to nic innego, tylko naśladowanie wzorów i troskliwe przesadzanie latorośli obcych na grządkę własną. W tem przesadzaniu celują jak nikt inny. Pisząc mają przed oczyma otwarte egzemplarze Boala, Woltera, Delilla, Anakreonta i Lafontena — pomimo tego dzieło każde rozbłyska rodzimą swoistością.

Literatura stanisławowska jest bystrą i pojętną wychowanką Francyi, jest uczenicą racyonalizmu romańskiego. Leniuchuje często i próżniaczy, ale dotarła do sedna rzeczy, odkryła sekret inkluza, na który niema polskiej nazwy: *l'esprit.* Ma urok uśmiechu, gracyę w ruchach, słodycz w konwersacyi, a szpadą włada, aż patrzeć miło! Znać, że lekcye brała u fechtmistrzów Encyklopedyi, co jednem pchnięciem przeszyli serce starej Francyi.

Literatura stanisławowska jest wietrznicą płochą tylko z pozoru. Bo umiała i chciała uczyć swoje społeczeństwo. Skarga XVIII. stulecia zawinął w pukiel włosy rozwichrzone i cukrem posypał pioruny. Na spodzie każdej fraszki i dowcipu kryje się morał i myśl o użyteczności. Dziś wiemy i widzimy wyraźnie z odległości: w zwartym szeregu robotników, co przyszli rozrzucać gruz i miał starej Rzeczypospolitej, prężą się nie same dłonie żylaste, dłonie twórców Ustawy majowej i Insurekcyi kościuszkowskiej, widać nietylko surowe, potem zroszone fizyognomie Kołłątaja, Staszica, Zamoyskiego i Kościuszki — ale pracują też raźnie wespół, odprzysiągłszy się galanteryi, wesołki czwartkowe, perfumowani rycerze z Okrągłego Stołu króla Stasia...

SA MAJESTÉ L'AMOUR.

Skarb w letargu, grosz w świat bieży,
Podatek się ostawuje,
Generał śpi, żołnierz leży,
Tylko jedna Venus czuje...





y więzień, oswobodzony z pęt, upajała się kobieta XVIII. wieku wolnością. Dawne wieki wzbraniały jej prawie ukazywania się wśród ludzi, twierdząc, że „która czyta, śpiewa, gędzie, z tej rzadko cnotliwa będzie“, czas nowy zwolnił ją z wszelkich rygorów. W tym czasie, w którym przewielebny ks. Konarski odważył się być mądrym, one ośmieliły się być — wiarołomnemi. Miejsce surowych przykazań o małżeństwie, zajął dekalog, ułożony przez *la philosophie régnante* we Francyi, z podpisem Woltera i sygnaturą Fragonarda. Któżby uważał małżeństwo za sakrament? To co najwyżej umowa, mająca na celu chyba tylko podtrzymanie nazwiska, umowa, która nie wiąże ani sumienia mężczyzny, ani swobody kobiety. W Paryżu wystarczyło, jeśli mąż przez cztery dni w roku bawił w towarzystwie żony, resztę poświęcali oboje „konsztom kochania“. Tych

„konsztów“ reguły były proste“. *Il n'y a de bon dans l'amour, que le physique*“, pouczał już genialny Buffon. Mówiąc: „kocham cię“, nie chciał wiek XVIII. niczego innego powiedzieć, jak tylko: „pożądam twych wdzięków“. Poeci warszawskiego oświecenia są bardzo moralni w słowach, pozatem należą nierzadko do owego klubu młodzieńców, który ma na celu popieranie grzechów przeciw VI-mu przykazaniu, a wystrzega się starannie wyłączności miłosnej. Dziewica stała się anomalią, hetera błękitna regułą. „Mieliśmy dotąd — pisze z bolem ks. Jezierski — podzielone stany kobiet na: panny, mężatki, niepanny, wdowy, teraz nakoniec przybyła nowa hierarchia: rozwódek“. Vautrin zaś boi się, że córki księcia kanclerza litewskiego, dzięki zbyt częstym rozwodom, chyba całą Polskę poślubią. I tak odeszły w przeszłość czasy, nad któremi ongi unosił się poeta:

„Pierś, która pochop i w niechcącym wzmaga,
Nie była nigdy odkryta i naga,
Ale modlitwą zaprzątnione członki
Różańce, albo nosiła koronki,
Korespondencye, do żadnych Gamratów,
Wstyd sam zabraniał — ani amoratów
Nie słychać było...“

Kobieta XVIII. wieku rozkazała, by ustawić namiętność miłosną na ołtarzu kolorowym i strojnym, wśród dekoracyi, jakich nie znał Rzym starożytny, ni Kleopatra, Renesans, ani Grecya platońska.

Guerin i Watteau, Fragonard i Boucher wiją amorom rokoka wieniec nieśmiertelny. Architekt oświecony zbudował wnętrza przytulne dla par zakochanych, do usług stanęło ogrodnictwo i rzeźba. W po-

śród laurów kulistych, na ścieżkach, wysypanych kolorowym piaskiem, w cieniu strzyżonych szpalerów Powązek i Wilanowa, uśmiechają się szarmantki do wyfiokowanych Adonisów w liliowych pończochach. Ukryta nad kaskadą drzew grupa Canovy uczy pieszczot wymyślnych i do uścisków zachęca. Miłości służy przyroda cała:

„Dlatego strumyk szemrze w swym biegu,
By amant wzdychał na jego brzegu,
I wonne kwiaty i miękkie trawy
Są dla miłosnej stworzone sprawy".

Cóż mówi książka, w safian oprawna, która osunęła się na ścieżkę z rozigranych kolan warszawskiej Pameli? Książka mówi, że miłość pary kochanków jest nietylko szczęściem najwyższem, ale sensem, sztuką i religią życia. Zerwanie związku dwojga serc, to dla świata klęska większa, niż np. śmierć Newtona. W te słowa nauczał filozof genewski Russo, a Werter poszedł jeszcze dalej, rzekłszy, że z zawodem miłosnym kończy się dla człowieka byt, a przeto należy pozbawić się życia. Rady kochanka Lotty posłucha wkrótce jeden z szambelanów króla Stasia, a także i sekretarz Małachowskiego i popełnią pierwsze w Polsce samobójstwa z miłości. Naogół jednak polska Heloiza nie weźmie sobie zbytnio do serca tych skrajnych nakazów. Jak gdyby pamiętała o tem, że w wieku XVIII., obok płaczącego Wertera z Heloizą, chodził też po świecie markiz de Sade i Katarzyna II., że u księgarzy króla Jegomości widniały za szybą cukierkowe przygody „Pawła i Wirginii", tuż przy nierównie ciekawszej „Pucelce" Woltera, i „Sofie" Crebillona młodszego. Heloiza polska wie także, iż bardzo mo-

ralny jest polski poeta w dziełach, ogłoszonych drukiem, ale znacznie mniej cnotliwy w utworach niedrukowanych, słowem, że pięknie śpiewają poeci, ale jeszcze więcej racyi miał monsieur Champfort, sprowadzając „konszty kochania" do funkcyi wymiany dwóch kaprysów, zetknięcia się dwojga rodzajów... Kobieta polska XVIII. wieku nie dosięgnie owych wyżyn rozpasania, na których stoją elegantki Wersalu i Murillowskie Angielki z dworu Stuartów — wybierze ona drogę pośrednią i dokona wyboru w maksymach literackich. A było w czem wybierać, bo uczuciowość literatury wieku XVIII. przemierzyła drogę ogromną. Zważmy tylko, jaka przepaść różnicy dzieli płaksiwą Pamelę od plugawej markizy de Merteuil. Czytając, czynią damy polskie wybór wśród tych idei niczem w balowych toaletach. Od Russa i Richardsena uczą się łzawego sentymentu i głębokich westchnień, (aż dziwić się trzeba, że tyle łez wylewać mogły co chwila kobiety, tak silnie szminką i pudrem piększone). Biorą za swoją każdą tęsknotę Heloizy, lecz także podoba się im radosny, choć zabeczany smutek „Nocy Younga", przepadają za Ossyanem, wdzięczne staremu bardowi za lekcyę schadzek w poświacie księżyca, ale najukochańszym metrem gotowalni pozostanie zawsze i mimo wszystko autor „Niebezpiecznych związków", stary rozpustnik Laclos. Gdyby „Żona modna" Krasickiego, albo też starościna Gadulska z „Powrotu posła" zechciały nam nieco więcej opowiedzieć o swych czułych „tendressach", wytrzymałyby niechybnie porównanie z bohaterkami francuskiego romansu. A kawaler Szarmancki Niemcewicza nie jest-że posłusznym uczniem wicehrabiego de Valmont?

Rozgłośna książka o „Niebezpiecznych związkach“ będzie ludziom rokoka taką wyrocznią w sprawach miłosnej moralności, jak był traktat Machiavella dla etyki politycznej XVI. wieku. Więc ilekroć nas dolecą słowa dziecięco-czułej piosenki z XVIII. wieku, lub gdy czytamy jaśniejące niewinnością frazesy listu miłosnego, pamiętać zawsze trzeba, że za tą woalką pleni się często pospolita rozpusta. I to rozpusta smutna, bo sztuczna i trzeźwa, więcej histeryczna, niż sentymentalna, a gasnąca tak szybko, jak rakieta na lodach szlichtady w Łazienkach. Miłość ludzi rokoka, dziecko intelektu, jest zabawą towarzyską, czerpaną z książek sekretnych i sztychów swawolnych, miłość ludzi rokoka jest wieczną tęsknotą, której nie umieją dać nazwy.

Nieuczona szlachcianka z białego dworku zgryzot takich nie odczuwa. Miłuje po prostu, a gorąco, zdrożna lektura nie krzywi linii jej afektów. Bo i cóż ją miało zepsuć? Przygody „Meluzyny“, czy może „Historya prawdziwa o hrabinie Altdorfskiej, która jednem porodzeniem 12-tu synów powiła“? W salonie magnackim pogardzano jednak takim afektem nieumytym. Wśród musujących uciechą gajów Erosa przechadza się w Warszawie człowiek pewien, zgorszony i bolejący, że ludzie nie rozumieją ckliwych wierszyków, które mu z serca płyną: śpiewak Filona i Laury, orędownik uczucia, biedaczek, co raz jeden tylko w ciągu lat dziewięciu miał możność ucałowania swojej ukochanej — Imć Franciszek Karpiński.

Potem wypali się do cna szał erotyczny. Ochłonąwszy, rozigrane modnisie zobaczą z przerażeniem pustkę i popioły wokół siebie. *L'isle de félicité* odmieni kształty. Wzgardzone uczucie powróci znowu

na ołtarze, zmysłowość do alkowy. Przemiana, jaka wstrząsnęła ks. generałową Czartoryską, przedzierzgnąwszy ją z zalotnej fircynelli w „matkę spartankę“, zajdzie też w duszach wielu jej rówieśnic. Owe damy, co bufet trzymały w kuloarach Wielkiego Sejmu, są już inne. „Miłość ojczyzny doszła do szaleństwa — napisze wtedy ks. Lubomirska do Glaire'a — oddajemy się jej z niezwykłą gwałtownością“.

Rozszerzyliśmy się nad miarę w charakterystyce, aby tem lepiej pojąć kobiety króla Stasia. Jak w Watykanie renesansowym była kasta osobna faworyt kardynalskich, tak i w Polsce XVIII. wieku roiło się od metres króla Jegomości. Spółkrólowały Dalile wraz z nim w Rzeczypospolitej, ucinając coraz włosów Samsonowi.

1. „MĄŻ WSZYSTKICH ŻON“.

Razu pewnego przywiedziono przed króla starca, wyżej stu lat liczącego. Był krzepki i zdrów nad podziw. Tedy go pyta monarcha z ciekawością o tryb życia i zwyczaje, które mu pozwoliły dożyć tak późnego wieku, a szczególnie o skłonności do kobiet. Odpowiedział staruszek, że się nigdy nie żenił i kobiety nie zna... „Toś kiep“ — rzekł król i odwrócił się nieledwie z odrazą. Nie rozumiał bowiem Stanisław August życia bez barw uśmiechu kobiecego. Nie miałoby uroku, ni woni, pozbawiłoby człowieka najczulszych wzruszeń i nieomal racyi bytu. Nauczył ten król Polaków szanować kobietę, a życie jego od szalonych lat młodzieńca aż po siwe pukle starca jest

jednym ukłonem w stronę kobiety i służbą dla niej słodką, niewolniczą. Szuka najpierw młodzian miłości, znalazłszy nieszczęśliwą, pożąda zapomnienia, rozprasza się i rozdrabnia, aż wreszcie wyżyty i spopielały zawinie do przystani małżeńskiej. Tęskni do niebieskich oczu, małych nóżek i ładnych zębów (Zofia Greczynka, którą dla króla przywiózł Boscamp ze Stambułu, nie podobała mu się z racyi stopy niezgrabnej). Ale i mała nóżka nie jest wszystkiem. Raz brakło uczucia, to znowu *liaison* przerwane znudzeniem. Bawi się Don Juan „zelozią“ i zawiścią kochanek wzajemną, pyszny ze swego machiawelizmu, a nie wiedzący, że równie często on sam jest przedmiotem zabawy i wyzysku. Zakochany studencik, „submitujący się do stopek ze swemi pilno na zawsze usługami“, to znowu „umizgus figlarny“ z komedyi Marivaux, a zawsze godzien tytułu markiza de Richelieu, którego nazywano „mężem wszystkich żon“. Na stoliku u Richelieu'ego znaleziono w chwili śmierci pięć nierozpieczętowanych biletów miłosnych, zaś w zielonym gabinecie Łazienek miejsca nie starczyło na galeryę portretów kochanek królewskich. Czy mamy chować dyskretnie nazwiska, czy godzi się zdradzać tajemnicę alkowy? Dyskrecya byłaby obrazą dla pań warszawskich, bo przecież każda z nich wzdycha, tęskni do uścisku miłosnego króla i radaby zostać metresą, chociażby *en titre!*...

Korowód główek jest barwny i nieprzeliczony. Metresy stałe i dorywcze, królewne chwili i władczynie długich miesięcy, księżniczki krwi i magnatki najpierwszych rodów, szlachcianki z puszcz brzeskich i gwiazdki z litewskich dworków, mieszczki warszawskie i zagraniczne awanturnice, modelki z pracowni

Bacciarellego i pomywaczki z kuchni Tremona. Obok „demi-repsy“ cnotliwa matrona, są wojewodziny, wojewodzicowe i wojewodzianki, znajdzie się starościna obok fabrykantki fajansów, kanclerzyna z wdową po tapicerze, włoska markiza tuż przy „marmuzeli“ z nad Sekwany. Są angielki, greczynki, włoszki, francuzki, niemki i żydówki, jedne znane z nazwisk, drugie okryte woalem tajemnicy. Słowem najsłodsze panopticum piękności, które o sobie mogły powiedzieć z dumą, jak było w zwyczaju: *je l'ai eu* to znaczy: byłam jego kochanką... Ale jest jeszcze drugi, liczniejszy orszak. Te znowu wzdychały daremnie, w „resentymencie“ życie trawiąc, bo obca im słodycz wejścia na tajemne schody i nieznana rozkosz oglądania królewskich *chambre à coucher*. Daremnie zabiegają w tym celu u kabalarki pani de Puget Lhulier. O hojności królewskiego Adonisa legendy krążą: jednym płaci rulonem „dusiów“, innym tytułem książęcym, starostwami, lub nawet hetmańską buławą dla męża. Opływały panie we wszystko. Bonafini za fatygę dwóch wieczorów otrzyma 3000 dukatów, pani Schitter jedzie na koszt króla do Grecyi. Są na dworze ludzie osobni, których obowiązkiem żenić się z dymisyonowanemi metresami. Po Manuzzim bibliotekarz Marek Reverdil spełniał rączo to zadanie. Najpierw żeni się z jakąś Marcyanną Konstancyą L., za co otrzymał podwyższenie pensyi i obietnicę świetniejszej karyery. Obrotny człowieczek rychło wysyła ową „żonę“ do Szwajcaryi, a za nią i syna, którego tymczasem powiła. W jakiś czas potem królowi sprzykrzyła się następna kochanka, każe więc Reverdilowi rozwieść się z ową Marcyanną Konstancyą, a powieść



MARTEAU ŁUDWIK: GENERAŁOWA GRABOWSKA

przed ołtarz panią Dahlke, na której utrzymanie pobiera 240 dukatów miesięcznie!

A choć tak daleko zaszły finezye rozpusty, na dnie serca czaił się zawsze wierny, nieszczęsny sentyment i mógł ze Słowackim powiedzieć Stanisław August, że „świat zeszedłszy, kochał jedną!“

2. PRZEKLEŃSTWO ŻYCIA.

Gdyby nie natura Stanisława Augusta, gdyby nie czasy wogóle lekkomyślne, nie wahalibyśmy się powiedzieć, że ona to właśnie wszystkiej jego pustoty erotycznej winna! Ona, o tyle innych zbrodni przed trybunałem dziejów oskarżona, tylu istnień ludzi i narodów gnębicielka najpotworniejsza i przepotężna wpośród Meger świata! Miała dwanaście koszul i trzy suknie ta mizerna księżniczka niemiecka, gdy zjechała nad Newę, lecz wkrótce potem świat cały zadrżał przed majestatem — Katarzyny II.! A biedakowi roiło się, że wygra z nią sprawę. Galaretę o spiż ciskał. Wyolbrzymił drobną awanturkę w swem oszalałem miłością sercu i kochał ją zawsze ten wieczny dzieciuch, aż pod siwy włos, nieświadom omyłki człowieka i króla. Nawinął się pod rękę w nieobecności Sałtykowa, zaimponował krojem zachodnim i obyciem w świecie, rozprószył nudę chorobliwą następczyni tronu i — sam nie wiedząc, jak to się stało — został kochankiem wielkiej księżnej.

Opowiadać sprawy raz jeszcze nie trzeba, bo przecież wiadoma i głośna. Król sam przedstawi ją obszernie w pamiętnikach, Branicki rozgada w całej Polsce, jak to wielki książę-mąż za kołnierz uła-

pił stolnika *in flagranti*, a ks. biskup Krasicki wcale niepotrzebnie naśmiewać się będzie z tego przed Fryderykiem, twierdząc, że przyszłemu królowi polskiemu groziły wtedy trzy kary: spalenie w piecu, otrucie, albo kastracya.

Może go nawet i kochała następczyni tronu w owych latach, „pełnych nudy i samotności, które zmusiły ją do przeczytania wielu książek“, może go i kochała, zanim pojawił się barczysty Orłow, *der rechte Mann für das gewaltige Weib*, (jak rzekł słusznie pewien Prusak), ale jako caryca miała króla już dawno za hetkę-pętelkę i tylko straszliwie wyzyska znajomość jego słabej duszy, ulepi powolną figurynkę z adoratora i usadowi na tronie polskim. („Jeśli się uda, o ile nie, niechaj Kayserling zrobi królem Adama Czartoryskiego“). Nieszczęśnikowi nie prędko otworzą się oczy. Będzie długo się łudził. Po porwaniu króla w r. 1771 czytamy w relacyi posła angielskiego: „Mimo, że król tuż po swem uratowaniu z rąk morderców, zanim mu jeszcze ranę przewiązano, napisał rzewny list do Imperatorowej, dotąd słowa odpowiedzi, ani życzeń nie otrzymał! Jest on ogromnie zmartwiony tą opieszałością“. Nie widzi, że ją w zupełności przestał obchodzić jako człowiek, a tylko trzyma go na tronie, jak arcywygodnego suwerena. Pomimo tego zawsze, nawet w czasach Sejmu Wielkiego, najboleśniejszem będzie dla króla, że o Imperatorowej mówią w izbie złośliwie. Rzeczpospolita ma teraz na swym tronie szekspirowskiego Antoniusza i może powtórzyć dosłownie:

...Wódz nasz, jej złudzeń ofiara,
Jak dziki kaczor, gdy go spłoszą dzieci,
Wśród najzaciętszej walki za nią leci!

A zjazd w Kaniowie, czy to też nie scena szekspirowska? Po raz pierwszy obaczyć ją ma po tylu dziesiątkach lat! Już prawie starzec, a czeka z drzeniem, jak wtedy w Petersburgu. Trzymiesięczne czynił przygotowania, wydał trzy miliony złotych polskich, aby przez trzy godziny rozmawiać i nawet trzech słów poważniejszych nie usłyszeć. Cała armia ruszyła z królem z Warszawy, 44 landar i koczów, karet i kolasek, brankarty z cukiernią i kredensem, bryki z futrami, miedzią, kocze z mąką, srebrem i piwnicą. Jechali kucharze i pasztetnicy, krawiec królewski i froter, kawiarz, siodlarz i Turczyn, kredencerze, pomywaczki, rzeźnicy, nawet kobieta do pilnowania drobiu. A przedtem dwór cały z ks. Naruszewiczem i księciem Józefem pośrodku. Caryca zaś miała do podróży cały dom na kołach z gabinetem, biblioteką i salonem na ośm osób. Zaczem, jako niegdyś Kleopatra Antoniusza na wspaniałej nawie, przyjęła go w wyzłoconej gondoli na grzbiecie Dniepru. Znają dobrze historycy dalsze dzieje Kaniowa: pustość dyskursów obłudnych, iluzye króla i bezowocność wysiłków polskiej racyi stanu. Warto też odczytać dyaryusz Imć Naruszewicza o podróży kaniowskiej, aby zrozumieć, jak cynicznie obeszła się Imperatorowa z wojażerem warszawskim, już wcale dawnej zażyłości ze stolnikiem niepamiętna i nawet w cukrowanych słówkach oszczędna. Że jednak własnoręcznie order św. Andrzeja na pierś mu przewiesiła, *mon frère* mówiąc, jak dawniej w listach miłosnych, że mu kapelusz w sposób najczulszy, a dowcipny podała — więc w najlepszej myśli jechał do dom król Jegomość. Jechał, nie czując ni teraz, ni później przekleństwa tego uczucia, które pęd jego najgórniej-

szych zamierzeń stłumiło. Stłumiło, bo postąpił niepraktycznie: zamiast na wyjezdnem z Petersburga zanucić piosnkę włoską: *femina e vento, si cambia in un momento* — kochał ją przez całe życie!

3. AMORY „GRATYSKOWE I EKSPENSOWANE".

Zaledwie zasiadł pomazaniec na królewskim tronie, za kochanicą petersburską jeszcze roztęskniony, a już wszczął się turniej pośród dam. Król dobry każdą po kolei uszczęśliwia, zaś dwór ma się czemu przyglądać, bo z miesiącem każdym niemal zmieniają się nazwiska i konfiguracye w tem erotycznem *melimelo.* W amorach metryka nie popłaca, zaczem o chronologię nie będziemy dbać w opowiadaniu, raz jeszcze zaznaczając, że się temi rzeczami nikt w ówczesnej Warszawie nie gorszył. Nawet mężowie wesołych pań, którzy chyba całkiem wyjątkowo wyjeżdżają oburzeni zagranicę (Sapieha), lub też bywają zagranicę wysyłani (Schmitt).

Naprzód historya dwóch kuzynek króla Jegomości, co się wzajem z zazdrości znienawidziły. Oto, co pisze jedna z nich w swoim pamiętniku:

„Poślubiłam mego męża bez miłości, miałam dlań tylko tkliwą przyjaźń, na którą codzień bardziej zasługuje. Ze wszystkich ludzi, którzy się o mnie ubiegali, król polski był najbardziej troskliwy. Przyjemność, jaką miałam, zabierając go najpiękniejszej kobiecie Warszawy — sprawiła, żem go przyjmowała uprzejmie, nie ulegając mu jednak".

A więc na złość, na przekór ks. marszałkowej Lubomirskiej, (bo o nią chodziło) została ks. Ada-

mowa Czartoryska, (która pisze słowa powyższe) metresą Stanisława Augusta. A jak w każdym calu, tak tu legalnie. Był bowiem ks. generał ziem podolskich człowiekiem przedziwnie wyrozumiałym. „Przyzwyczaił się — czytamy w pamiętnikach króla — widzieć w stolniku najlepszego przyjaciela swej żony, wtenczas niezupełnie jeszcze 22-letniej, że ją często wieczorami sam woził do Zamku i posyłał na górę do króla. Przedtem pytał, czy niema tam ks. strażnikowej, której nienawidziła. Jeśli nie, to odjeżdżał". Do tej intymnej informacyi dodaje król rycerską uwagę: „Nad miarę przyjaźni nic się tam nie działo".

Wycieczki do sypialni królewskiej, to tylko jeden drobny epizod w bujnem życiu erotycznem Izabeli z Flemingów Czartoryskiej, zanim stała się Sybillą puławską, jedną z najświatlejszych matron swego czasu.

Marszałkowa Lubomirska tak wielkich przeobrażeń nie przechodzi. *Madame etiquette sans peur ni reproche*, Pentesilea nadwiślańska, jedna z pierwszych w Polsce westalek rokoka, wśród chytrych najchytrzejsza, z magnatek najbogatsza. Nad-olimpijczyk Goethe znalazł ją tak interesującą, że aż o ośm dni przedłużył pobyt w Karlsbadzie. Z królami żyje w przyjaźni, podziwiana i wielbiona w Wersalu, przeraża wprost ludzi sprytem do intryg. Jej celem życiowym upodobnić się do markizy de Pompadour, którą składem twarzy nieco przypomina. Z kuzynkiem Stasiem łączy ją sentyment od dziecka, dlatego wyprawili go w podróż. Co dalej było, dojść trudno; w listach pani Geoffrin są przejrzyste aluzye do „tragedyi", której król jest sprawcą. „Zrobiła sobie to prawo codziennie, o którejkolwiek godzinie, a najczęściej

wieczorem bywać u króla". Nie dopiąwszy celu, przejdzie do obozu najcięższych wrogów majestatu, choć trudno wiedzieć, co ją popchnęło: miłość zawiedziona, czy tylko ambicya?

Były dalej trzy Sapieżyny. Joanna ze Sułkowskich, wojewodzicowa smoleńska, zawróciła królowi w głowie „wesolutką zalotnością jeszcze wówczas, gdy był 20-letnim mizantropem; rzuciła go po dwóch miesiącach i odjechała". Magdalena z Lubomirskich, kanclerzyna litewska, trzymała się dłużej. Wysokiego rodu, niewysokiej opinii. Powiadano, że podobna do Karola Radziwiłła. Tamten do każdego szlachcica mówi: „Panie kochanku", ona zasię każdego za kochanka bierze. Kajetan Węgierski napisał o niej: „Z rozpuszczonemi włosy i twarzą wyzutą, podobna Magdalenie życiem, nie pokutą". Owa dziwnego autoramentu pokutnica molestuje króla przez lat kilka, ale jej sprawy są niczem wobec tortur, zadawanych mu przez trzecią Sapieżynę, wojewodzicową mścisławską. Trzeba wziąć do rąk pamiętniki współczesne, choć wystarczy jeden cytat z wiarygodnego Koźmiana, który powiada:

...„Widziałem tę najsławniejszą w Polsce pieniaczkę zapaloną i czuchrającą sobie włosy, rozognionym wzrokiem i mściwem spojrzeniem pożerającą każde słowo przeciwnego sobie mecenasa, miotającą się na krześle, przerywającą mowę głośno i pomyślałem sobie, że z takich kobiecych poczwar starożytni musieli brać wzory do malowania furyi, harpii i meger".

Kajetan Koźmian spotkał wojewodzicową w r. 1787, wodzącą się po sądach i trybunałach Rzeczypospolitej. Z kim i o co? Z wszystkimi i o

wszystko. Oskarżała sędziów, prymasa, sądy całe przed trybunałem, nawet króla samego. Miała sto pozwów i sto procesów. Rozwodziła się i żeniła syna, prawowała się o obrazę honoru, o dzierżawę, sukcesye i wakansy, o sprawy barskie i targowickie. Ale głównem zatrudnieniem wojewodzicowej mścisławskiej był jej brat: Ksawery Branicki, oś zasadnicza wszystkich interesów i talizman stosunków. Kupczy na wsze strony przemożnym wpływem hetmana, grozi jego zemstą, lub obiecuje zjednać sympatyę. W działalności pierwszego warchoła w Rzeczypospolitej, oraz ducha-dręczyciela Stanisława Augusta, ta siostra odgrywa bardzo ważną rolę. Mimo to do miłości króla ma zawsze pretensyę.

Długoletni stosunek króla do wojewodzicowej stanowi jeden z najbardziej jaskrawych dokumentów niepojętej zaiste słabości Stanisława Augusta. Tło zasadnicze jest przedewszystkiem finansowe. Sapieżyna wyłudza odeń olbrzymie sumy, a gdy królowi braknie gotówki, to mu sama z lichwą pożycza. W całej Rzeczypospolitej chwali się sympatyą króla, obiecuje na prawo i lewo swą protekcyę i sprzedaje ratami wpływ swój u dworu.

Dochowała się do naszych czasów obszerna korespondencya króla z Sapieżyną. Nie sposób czytać jej spokojnie i nie łatwo zrozumieć, że Stanisław August daje się tak zwodzić i zadręczać lichej, mało inteligentnej intrygantce, we wszystkiem jej idzie na ręce, choć wie równocześnie, jak bardzo jest „złoczynna" i jak dobre robi na królewskiej uprzejmości interesa. Ilekroć chodzi o wakans na urzędzie, o donatywę, awans lub starostwo, potrzebne właśnie dla stronnika pani wojewodzicowej, wtedy właśnie sypią

się w listach zaklęcia i przysięgi, nie zawsze ortograficznie pisane. Wtedy słów nie żałuje eks-kochanica: „Cała Polska da mi to świadectwo, żem Ci szczyrze, Najjaśniejszy Panie, y po męsku służyła. A takim entuzyazmem, że tylko pozwalam jednym serafinom tak czuć do Boga“.

Ale król nie ma żółci, cukrowane słówka posyła jej w zamian, nie mówiąc prawdy wprost, prosi grzecznie, żeby nie wichrzyła, a ostatecznie spełnia prośbę, o którą nastawała. Jest nią srodze znudzony. Obrzydła mu do reszty, ale nie potrafi się zdobyć na gest *de l'amant bourri.*

Przez długich lat dwadzieścia, bo od wstąpienia na tron aż do Sejmu czteroletniego, rządzi królem owa tajna policyantka Salderna. Załatwia sprawy i sprawki posłów rosyjskich, wyżebruje sobie miesięczną pensyę w kwocie 200 dukatów, a tak, jak pierwej zamęczała sprawami brata, tak później zanudza króla swym synem. Ten syn, to jest Kazimierz Nestor Sapieha, człowiek tęgiego charakteru i wielkich talentów, który byłby niewątpliwie stanął pośród pierwszych ludzi Sejmu czteroletniego, gdyby go nie zwichnęło wychowanie matki.

Ale śpieszmy dalej. Obok trzech Sapieżyn, dwie Lubomirskie. Jedna, z domu St., umiała się jakoś zawoalować wobec potomności, druga szczyci się przeszłością godną — zeszytowego romansu. Hadikówna rodem, córka austryackiego generała, poślubiła rozgłośnego bandytę i cynicznego rabusia, który nazywał się Marcin Lubomirski. Przymknięty za łupiestwa i mordy siedział kolejno w więzieniach Kamieńca, Munkacza i Budy, gdzie, raz wypuszczony na spacer, poznał córkę generała. Papa złakomił się na

fortunę, Lubomirski zyskał wolność. Węgierce wcale przypadło do smaku rzemiosło mężulka, więc jeździ z nim razem na wyprawy bandyckie, arcy przedsiębiorcza. Choć *femme d'esprit et assez jolie,* znudziła się szybko Lubomirskiemu, który ją rzuca, pochłonięty przez wojewodziankę Stempkowską. I wtedy to szafirowe oczy Hadikówny zaciekawiają na krótko króla.

O ileż milsza, jak romantyczna, czuła i przesmutna zarazem jest historya Jedwiżki Ciechanowskiej z puszcz brzeskich. Po tragicznych przejściach panieństwa i pierwszego małżeństwa, po homeryckich iście bojach i najazdach w rodzinie, gdzie coś stu ludzi poległo, przybywa Jadwiga ze Strutyńskich Ciechanowska za czasów barskich do Warszawy. Z królem znali się jeszcze z Wołynia z lat dziecinnych. Wyrosła na kobietę dorodną, „oczy miała błękitne, włosy obfite, gładką rączkę i małą nóżkę“. Życia jeszcze nie zaznała wśród ponurych Litwinów, tedy całym pędem temperamentu kokietuje królewskiego Adonisa. „Śpiewała, skakała, alegorye nieskromne gadała, chcąc się królowi w łaskę i konfidencyę insynuować“. Tak ją widział stary Matuszewic. Król, ujęty rączką, nóżką i wspomnieniami młodości, rzuca bez namysłu Sapieżynę, spędza u tej często wieczory, nawet listy gorące wysyła. Jedwiżka radaby równie gorąco odpowiedzieć. Ale cóż? W puszczach dzikich nie uczono miłosnej epistolografii! Tedy używa się starego sposobu z Cyrana de Bergerac: listy płomienne pisze z rozmachem jakaś francuzica, pani Blanmenil.

Myśli sobie i roi szlachcianeczka wiele, zbyt wiele, jak wszystkie, ani spodziewając się, że sielanka skończy się rychło. Pewnego dnia zbudzi się starościną opeską z 200.000 złp. intraty rocznej. oraz mał-

żonką rajfura królewskiego, „hrabiego“ Manuzzi. Ten usłużny fagas, jeszcze z czasów petersburskich, mało zwracał uwagi na stworzenie, które wola królewska uczyniła jego żoną, mało też interesował się synem swoim (Stanisław mu także było), kontent tylko z milionowej fortuny. Prawie z sobą nie żyli. Pani Manuczyna, zgoła nieciekawa praktyk swego męża, zmarła wkrótce potem w 42-gim roku życia, mąż ożenił się niebawem z inną, a król, we wdzięcznej pamięci, kazał portret jej zawiesić obok pięciu innych konterfektów swoich kochanek. Taka jest historya Jedwiżki Ciechanowskiej. Zwyczajna, nieprawdaż! Tak straszliwie zwyczajna!...

Niewięcej szczęścia, za to mniej skrupułów, miała w kilkanaście lat później krajczyna z Ossolińskich Potocka, blondynka czarnobrewa, zapalona demokratka w szafirowym kołpaczku i kontusiku z bortą sobolową. Zdetronizowana w chwili, gdy pojawiła się na horyzoncie pogromczyni wszystkich innych metres, generałowa Grabowska, z irytacyi opuściła Warszawę. Wogóle większość faworyt królewskich nie bierze sobie zbytnio do serca rozłąki z kochankiem. Snać były na to przygotowane. Tak więc nie rozpacza nad miarę pani Elżbieta Rożańska, ani pani Dahlke Ciecierzyńska, którą gorszą się ludzie, gdy chodzi w barwach domu królewskiego, ani też mieszkająca na zamku pani Schmittowa, prześliczna starościna brodnicka.

Pamiętacie jeden z najwdzięczniejszych portretów Grassi'ego. U stóp greckiego obelisku młoda i urocza mateczka, przytulona do czarnowłosego dziewczątka, które powiewa wiotkim szalem. Dziecko owe, to księżna Dorota kurlandzka, która około r. 1780 olśniła urodą Warszawę, a zakochał się w niej cały dwór

i chyba połowa Sejmu czteroletniego. Pomimo sprzeciwu i płaczu pani Grabowskiej król uległ wdziękom księżniczki, a żonę uspokoił — brylantami. Amory starego króla przeniosła ks. Dorota ponad inne także i dlatego, gdyż potrzebowała jego pomocy w zawikłanej sprawie dynastycznej.

Jeszcze wspomnieć się godzi o narodowościach obcych. Jest markiza Lucchesini i br. Schitter, z domu Camona, Greczynka, której pogrzeb spotka król, opuszczając Warszawę. Jest smętna Angielka, miss Hariett, wychowanica posła angielskiego; jej córka, generałowa rosyjska, ogłosi drukiem pamiętniki o tej miłości. Jest pani Camelli i wiele innych. Zresztą cała falanga miłośnic bezimiennych, lub znanych pod pieszczotliwem imieniem, albo z inicyałów. Zapewne cieszyły się, że w listach pani Geoffrin, w pamiętnikach Michałowskiego skandal został przyciszony? Gdzietam! Wszystkie niezawodnie zmartwione były tym brakiem rozgłosu.

Dostojnym i wysoko urodzonym metresom despekt zrobilibyśmy extraordynaryjny, stawiając je obok awanturnic, jakiemi niestety, lekkomyślny amant również nie gardził. Tedy dystans musi być uczyniony pomiędzy temi amorami „ekspensowanemi", a tamtemi „gratyskowemi", które były przecież splendorów i miłości pełne. Podobno... Więc z należnem lekceważeniem wyliczamy „fryjerki" one: śpiewaczkę Tomatisową, primadonnę Bonafini, modelkę Malczewską, żydówkę Czajkę i jakieś różne inne, źle urodzone istoty, zaobserwowane na Zamku przez pamiętnikarzy. Królową heter jest wszelako markiza Lulli. Zgoła pospolita i niewybredna wyzyskiwaczka omota 60-letniego króla i zdawało się nawet, że zachwieje pozy-

cyą pani Grabowskiej. Mała, pękata blondynka, z nieodstępną ciotką, o ładnych, piwnych oczach i smagłej cerze, ubrana już modnie, bo w negliż grecki — mięsza się do wszystkiego i na chwilę chwyta ster rządu w chylącym się do upadku zupełnego dworze. Podobno Targowica jej głównem dziełem, a wywiezie z Polski miliony i brylanty. To też w r. 1794 przypadkiem tylko uniknęła śmierci z rąk tłumu.

Nareszcie koniec przerażającego rozmiarami rejestru. Z ulgą przejdziemy do ustępu, który nam obwieści finale rozpustnych zabaw, a da poznać — króla małżonka.

4. *ŻONA.*

Zaczął już był ostatni król Rzeczypospolitej utracać wigory młodości, bliższy coraz wieku owego, w którym, jak mówi brzydko Szekspir, „ambra i kalafonia ludziom z oczu ciecze“, gdy na Matyska przyszła kreska: *mariage de conscience.*

Do innego szczęścia jakoś nie miał, choć prób nie brakło. Już w r. 1760 swatano go z Radziwiłłówną, potem z Potocką, wojewodzianką kijowską. Po elekcyi plany snują się górniejsze: marzy mu się księżniczka Orleańska, ale Ludwik XV., rzecz prosta, nie chce ani słyszeć o panu Poniatowskim; potem Panin proponuje bezskutecznie jakąś księżniczkę, aż z Portugalii, co królowi za małe; z kolei przyjdzie „kosz“ habsburski od Krystyny austryackiej, oraz daremne wysiłki księżnej marszałkowej, by wyswatać króla z jakąś inną duchessą francuską. Tron monarszy Jadwigi, Marysieńki i Barbary Radziwiłłówny nie zobaczył

w XVIII. wieku królowej polskiej. Ani śmiały podnieść oczu tak wysoko metresy, ani ważyła się pomyśleć żadna o splendorach, choćby morganatycznego związku. Żadna, z wyjątkiem jednej. Stało się tak, jak z ową damą dworu Ludwika XIV., co to zapytana, kędy wchód do jej alkowy, odrzekła: „Przez ołtarz, Najjaśniejszy Panie!“ Generałowa Grabowska powiedziała tak samo i wkrótce *il matrimonio secreto* stało się faktem. W jednej z książek króla znaleziono po śmierci metrykę ślubu. Podobno dawał go tajemnie w r. 1785 ks. biskup Albertrandy (jeśli nie kanonik Wargocki) w kaplicy Jezusowej katedry św. Jana. Zrazu trzy osoby wiedziały o rzeczy, ale rychło potem cała Polska.

Jakim cudem udało się tej kobiecie dopiąć celu, do którego daremnie parły ze wszech sił damy stokroć możniejsze? Bez cudu i bez walorów szczególniejszych. Jednej ze swych bohaterek, pani Elecie Torlotto, przypisuje Anatol France, władzę dziwną przeto, iż „od jędrnej i słodkiej okrąglizny jej piersi dobrze pęczniała koszulka“. Zdaje się, że i pani generałowej urok czaru fizycznego i głębia sentymentu dały zwycięstwo, bo pozatem ani szczególnie piękna, ani tak bardzo sprytna. Z rodu senatorskiego ongiś w Rzeczypospolitej, Szydłowskich, ma wojewodzianka płocka w chwili ślubu z królem lat trzydzieści pięć. „Piękność z rodzaju pulchnych, z gładko zaokrąglonemi kształty, jak to lubiał król Jegomość“, tak świadczy wierny dworak, a Dominik Magnuszewski zapisze wedle opowiadań Bacciarellego: „Miała śliczne, siwo-błękitne oczy, czarne sploty, którym wymownie grecko-sarmacki nosek przewodniczył, oraz dołek na podbródku, a król, pieszcząc się nim, ma-

wiał: „Ty będziesz miała dwóch mężów, albo dwóch kochanków, Elżusiu!“ A znali się od dawna, skoro Heyking już w r. 1763 widywał stolnika u starych Szydłowskich. Niedługo potem filar dyssydentów polskich, generał Grabowski, popełnił wielkie *scandalum*: ożeniwszy się z panną, chociaż katoliczką. Z generałem król, w wielkiej był zażyłości, („bardzo lubię go“), ani spodziewając się, że wkrótce im obojgu rozwód poszle i panią na dwór sprowadzi. Zaczęło się, jak z każdą inną, ale rychło wszystkie w kąt poszły, wobec tego najsilniejszego z pantofelków, który przez lat dwadzieścia, do końca utrzymał się przy władzy. Ta właśnie, nie żadna inna, gorycze losu sercem słodzić potrafiła, ta jedna tylko niedoli jego stała się aniołem jasnym.

Dwadzieścia długich lat, gdy amory inne ledwie tydzień żyły! Zaprawdę, musiała być wielką skłonność i uczucie króla. A jej wpływ? Nie można powiedzieć, że wpływ ten był zbyt dobry. Ale to pewna, że mógł być jeszcze gorszy. Pani Grabowska nie należy do owych najbardziej ujemnych natur kobiecych w epoce rokoka. Znamy inne o większem sobkostwie i egoistycznej bezwzględności. Przebiera wprawdzie miarę Ochocki, czyniąc z pani Elżbiety idealistkę, wznoszącą się wysoko ponad *genre* epoki, ale też i o szczególnie złych postępkach nie słychać. Wyzyskuje swą świetną pozycyę, to prawda, lecz nie sięga cynizmu markizy de Maily, ani księżny de Chateauroux, ani też pani de Pompadour. A i wśród jej poprzedniczek widzieliśmy fircynelle gorsze. Mniej zachłanna o władzę niż inne, w polityce słabo interesowna. A być też może, iż robił to swoim wpływem mądry Ignacy Potocki, którego do króla zbliżyła. Stosunkowo mało nienawi-

dzą jej inne damy u dworu, choć mówią, że kapryśna i uparta, w każdym razie o całe niebo lepsza od potwornej Lulli. Niesłusznie też stawia Warszawa na równi obie te kobiety, mówiąc, że „jak kręglem grają umysłem królewskim przeciw sobie“, a trefniś uliczny, głupi Jacuś, coś o tem posłyszał i ciągle podśpiewuje:

„U mojego króla Grabina i Lulla,
Hulaj-że, Jacusiu, bo Warszawa hula“.

Starzeje się tymczasem szybko król Jegomość, przepędził wszystkie metresy i z dniem każdym więcej słucha żony. Gdybyż umiała umocnić wiotkie sprężyny jego duszy, gdybyż potrafiła utrzymać na owej drodze dobrej, którą poszedł w dniu 3-cim Maja! Nie umie. Przynagla jeszcze do uległości, nie przeciwdziała Targowicy, a potem, przerażona, wprost namawia do abdykacyi.

Podupadła bardzo. Sievers w r. 1793 zapisuje, że „ospowata i mocno malowana“. Przytyła i zgarbiła się. Towarzyszy królowi na wygnanie, a gdy umarł w Petersburgu, wraca do Warszawy, gdzie jeszcze trzynaście lat żyć miała. Złośliwi opowiadają, że, wiecznie zabawy spragniona, urządzała z pasyą „żywe obrazy i sceny fantastyczne“. Żonę swą i dzieci (a było ich pięcioro) uposażył król nieświetnie. Zapisał „małe starostwo Dembe, czyniące ledwie 8.000 złp. intraty rocznej, portret swój, oraz... parawan z chińskiej laki“. Podobno miała o to pretensyę do testamentu króla pani generałowa, a zasię do niej ma dziś historya pretensyę: że wpływu swego na majestat lepiej użyć nie umiała! Bo cóż z tego, że wszystkie inne rywalki przepędziła?



ZMIERZCH ROKOKA.

„...O Sławo! Po tobie
W najgrubszej nam chodzić przystało żałobie!"
St. Trembecki.

„Królu, jeszcze lat dziesięć spokojnego bytu
Przyszłybyśmy do rządu, siły i rozkwitu!"
M. Molski.





Lecz chociaż tak wiele ludzi przesunęło się przez karty opowiadania, przecież jeszcze nie wszyscy, wcale nie wszyscy. I dziwno nawet, że właśnie o personach świetnych i najczcigodniejszych nie było w książce mowy. Bo gdzież pan Kościuszko i książę Józef, gdzie Staszic mądry, bolesny Rejtan, ognisty Niemcewicz, gdzie loty orle wielkiego Sejmu? Wszakże brak podkanclerzego Kołłątaja i stuku laski marszałkowskiej Małachowskiego nie słychać! W owym samym czasie żyją przecież i działają w Rzeczypospolitej ludzie wcale inni: ci, co się po znaku tajemnym poznają — pierścień z datą 3 maja i napisem: *fidis manibus* we środku — ci, co reformę Sejmu wielkiego i Ustawę majową gotują, ludzie źle ubrani i niegrzeczni, o obcych, mieszczańskich często nazwiskach: jakieś Dekierty i Meiery, Kilińscy i Kapostasy. W owym samym czasie poprowadzi ktoś pod Racławice kosynierów spoconych a mocnych, a kto inny nocą z obozu epistołę bunto-

wniczą napisze do króla! Gdzież to wszystko? Nie spotkaliśmy ich w toku opowiadania, bo na galach i asamblach u dworu nie bywali, nie mieli czasu. Pani de Genlis zaliczyłaby ich w swym słowniku etykiety dworskiej do rzędu tych, którym nie godzi się udzielać zaszczytnego *droit au tabouret*. Bo oni to właśnie zepsuli całą zabawę...

Długo zatykał uszy Wersal polski na wieść, że na Sejmie Wielkim, tym samym Sejmie, który z początku zdawał się elegantkom niczem innem, jak tylko wspaniałą rewią lekkomyślności — urodziła się jakaś Polska nowa. Jaka? Nie wiedzieć dokładnie, ale w każdym razie gardząca pudrem, katagonem i wodą angielską. Co gorsza Polska przybrana napowrót w kontusz niezgrabny, lub plebejską czamarę! Nagle obróciły się w niwecz owoce długich lat fryzyerskiej pracy i na nic wszystkie krucyaty w obronie *bon ton'u!* Nagle stało się coś przerażającego. Historycy epoki upatrują w różnych zjawiskach chwilę przełomowe, eleganci rokoka widzieli ją tylko w jednym fakcie. Było to w owym dniu wiosennym roku 1789, gdy w czasie śniadania u ks. generałowej Czartoryskiej uderzono w kotły i bębny, a książę Nestor Sapieha strój cudzoziemski zrzucił, ostrzygł bez litości pukle włosów srebrzystych i frak aksamitny na kontusz odmienił. Równocześnie dwudziestu młodych ludzi z Weyssenhofem i Matuszewiczem na czele odprzysięgło się tupetów i talonów różowych, szamerunków złotych i pantalonów białych, racymorowych. A nie sam jeden Eustachy Sanguszko z wielką tylko nieśmiałością ośmielał się tak pisać do ojca dobrodzieja: „Daruje mnie pan ojciec dobrodziej, że może przeciwko jego chęci idę, po polsku się przebierając, ale uprzykrzyło

mi się Francuza udawać, gdy jestem Polakiem. Suknie za dwa dni już będę miał gotowe i łeb poza ucho podgalam".

W żurnalach mód wielkie zmiany i w sercach. Stella matutina Polski nowej zgasiła księżyce rokoka. A wielki hetman rokoka, a król Staś czy padł pod kolumnami walącego się gmachu? Wcale nie! Stanisław August ściskał mocno dłonie rebeliantów Sejmu wielkiego. Wszak to wychowankowie jego szkoły, dzieci haseł oświecenia, z korpusu kadetów i z komisyi edukacyjnej wywodzą swój ród. Z tą jeno różnicą, że nie wszystkie jego dogmaty za swoje wzięli, a w życie iść umieją z wiarą w siły narodu i własne. Jakże nie miał pójść razem z nimi? Mimo jadowite przycinki przerażonych metres, wbrew woli silnej braci, kuzynek, siostrzenic, mimo gróźb petersburskich — poszedł. Zrobiło się w Polsce na chwilę jasno i radośnie. Pękła obręcz ambasadorskiego ucisku, ujęli się społem za ręce wszyscy ludzie mocni, rozbłysła ułuda *rinascimenta*... Na konstytucyę przysiągł król, uwierzywszy z bijącem sercem w spełnienie dwu marzeń, najbardziej niedościgłych. Będzie miał skarb zasobny! (on, co musiał się dotąd u lektorów swoich zapożyczać). Będzie miał armię stutysięczną! (on, co gdy pod Kaniowem chciał Katarzynie wystrzelić na wiwat, armaty nie miał skąd sprowadzić). Lecz cóż, kiedy „giętkie duszy sprężyny" nakażą królowi cofnąć się w pół drogi i wrócić! Targowica odebrała króla narodowi, a królowi naród. Na pytanie rzucone ongi w liście Woltera: kto jest większym filozofem Stanisław August, król Prus, czy carowa? — teraz dopiero dała historya dobitną odpowiedź. I został sam. Bez dworu nawet. Bo wtedy skryli się po katach

wszyscy Poloniusze i coraz głośniej rozbrzmiewał pokrzyk gromki Fortymbrasów. Odbiegli króla Stasia artifeksy i rzeźbiarze, wygodni szambelanowie, tancerki przerażone. Burza wisiała w powietrzu. Prokonsul Igelström wziął rząd w Warszawie. „Straszny czas, straszna podłość — pisał Leon Dembowski — chyba zapomnieć o narodzie. Brat lękać się musi brata, kobiety nawet szpiegami. Nie można pewnym wstać z łóżka". Pałace opustoszałe zmieniono na kancelarye rosyjskie, znikły z ulic karoce pozłociste. Pani Krakowska z generałową chcą jak najprędzej jechać do Królewca, Trembecki nawet gotów pisać treny Jeremiasza. Na zamku w piecach nie palą, obiady i asamble ustały, paziów odprawiono i froterów. I po raz pierwszy Amor Łazienek zadrżał przestraszony. Albowiem na ulicach Warszawy deklamowano wiersze w rodzaju tych:

Alboż ten bałwan, co lat trzydzieści
Kraj go swą karmą rozpycha
Podły z istoty, mądry z powieści
Nie samąż zdradą oddycha?

Umie nieszczęsny zwodzić lud prawy
To cała jego zaleta
Iż godzien za swe Tytusa sprawy
Kanonizacyi... Kapeta!

Wiosenna nawalnica kościuszkowskiej Insurekcyi oczyści do cna Rzeczpospolitą z miazm trujących i niemocy, lecz nie udaremni gromu, który Nemezis dziejowa ma w zanadrzu. Przyjdą chwile ostatnie bytu państwowego, przyjdzie despekt kaźni królewskiej w Grodnie i Petersburgu. A po roku całym bolesnych samoupokorzeń śmierć wybawicielka. Ta przynajmniej

da trochę zadośćuczynienia damom zgnębionym i dworkom. Albowiem „przeniesiony był król umarły z wielką paradą do pokoju z cyfrą Imperatorowej, pod tronem koronowany przez cesarza i w tymże stroju przeleżał dni ośm“.

Ostatni, dziś wiemy już, że na zawsze ostatni człowiek, co brał na swe skronie koronę Piastów, ostatni najmądrzejszy i razem najsłabszy z królów Rzeczypospolitej...

* * *

Czyście zauważyli, że ze wszystkich monumentów przeszłości Łazienki królewskie mają, jedyne może, urok przedziwnej świeżości w sobie, nie patynę ruin, ale dziewczęcy rumieniec życia? Popatrzcie na niepokalane blaski parkietów w pokojach królewskich, zobaczcie purpurę obić adamaszkowych, albo posłuchajcie jak idą zegary. Przed stu czterdziestu laty uplasował był imć pan Gugenmus penduły owe na ścianach, i kunsztem swoim w ruch puścił, a oto tykają posłusznie do dziś! I dalej: wpośród kulis drzewnych w teatrze na wyspie drży, zda się, do dziś *cantabile* strofy nuconej przez śpiewaków króla Jegomości, a gdyby z nagła otworzyć drzwi Białego Domku, to chyba napewne stanie w nich fiokowana sylweta damy wytwornej i rzuci z poza wachlarza ciekawe: *Qui est-là?* Czy tylko to żywe pozostało: parkiety, zegary i anegdota o dworze króla Stasia? Chyba nie!

Tak samo żywa jest cała puścizna Stanisława Augusta, tak żywy cały jego program cywilizacyjny, wszystko nieomal co zamierzał w dziedzinie oświaty i wychowania narodowego, w materyach sztuki i „manufaktury“. Po całym świecie rozpierzchły kolekcye jego

dzieł sztuki, w dwudziestu dwu tomach katalogu spisane, przez handlarzy hamburskich i czynowników rozwłóczone. Są w Gatczynie i Petersburgu, w Moskwie i Kijowie, w Berlinie, Dovrze, w Eremitażach i Akademiach. Wszystkie moce świata sprzysięgły się, by zamierzenia króla dobrego udaremnić i krzewy zasadzone podeptać. A przecie zostały. Nietylko parkiety i zegary, nie same plafony odrapane i okaleczałe gzymsy, więcej nadto do dziś żywe trwa.

Bo także ziarna, rzucone w glebę polskiej cywilizacyi, bo także wielki program pracy kulturalnej, dotąd niespełniony, bo jeszcze siejba, błogosławiona siejba światła. I ona idzie przed sąd dziejów, świadczyć za oraczem. Tak jak sam chciał i jak mocno ufał. Do przyjaciela pisał przecież w liście:

„Ale najbardziej ufam temu żniwu, które choć po mojej śmierci inszy zbierać będzie z mego jednak zasiewu, gdy przez poprawioną dzieci edukacyę znajdzie pod ręką swoją kilkadziesiąt tysięcy obywatelów oświeconych, od przesądów oddalonych i wcale inaczej do wszelkiego życia usposobionych, niżelim ja ich zastał!"



PRZYPISY.

Wiadomości do opowiadania niniejszego czerpał autor w nieprzebranym materyale drukowanym do dziejów panowania Stanisława Augusta. Przedzierając się przez gąszcz dokumentów historycznych, literackich i obyczajowych, przeglądnąwszy wszystkie opracowania syntetyczne i cząstkowe zostawił na uboczu zarówno historyę polityczną, jak dzieje oświaty i literatury, a starał się wyzyskać materyał wyłącznie pod jednym, mało dotąd uwzględnianym kątem: kultury towarzyskiej i obyczajowej wieku oświecenia.

Nie było ambicyą piszącego wyszukiwanie nieznanych relacyj rękopiśmiennych i prowadzenie studyów archiwalnych już choćby dlatego, że książkę ową kończył w listopadzie 1918 roku we Lwowie w miesiącu inwazyi ukraińskiej. Materyał ogłoszony dotąd starano się wyzyskać w zupełności. Bogata literatura pamiętników była tu źródłem najobfitszem. Od pamiętników króla (w najnowszem, petersburskiem wydaniu) począwszy, informatorami autora byli następujący pamiętnikarze:

Bogusławski W., Bukar S., Cieszkowski H., Czacki F., Dembowski L., Falkowski J., Grabowski A., Grzegorzewska S., Karpiński F., Kitowicz J., Kossakowski J., Koźmian K., Krasiński J., Łubieński F., Magier A., Matuszewicz M., Moszczeński H., Niemcewicz J. U., Ogiński H., Ochocki J. D., Poniatowski St. podskarbi, Potocki L., Rzewuski H. (Michałowski Bartł.), Sagatyński, Sanguszko E., Starzeński M., Trembicka A., Węgierski K., Wybicki J., Wodzicki St. i in.

Ciekawych informacyi dostarczyły pamiętniki osób obcych, które pozostawały w stosunkach z królem St. Augustem. To: Casanova, madame de Crecquy, księżna Daszkow, Engeström, Harris, Heyking, Katarzyna II, Lauzun, Lehndorf, Vigée Le Brun, Reverdil, Segur, Sievers i in. Równie ważnem źródłem były relacye podróżników: Bernouilli'ego, Biestera, milady Craven, Coxe'a, Fortia de

Piles'a, Kauscha, Mehee'go de la Touche, St. Pierre'a, Szulca, Vautrina. Osobno wspomnieć trzeba o relacyach ambasadorów i dyplomatów, a więc Bułhakowa, Gereta, Essena, Repnina, Salderna, Stackelberga i t. d.

Listy współczesne są dalszem źródłem. Ilość listów, jakie pozostały po epoce oświecenia idzie w mnogie tysiące. Z wydanych dotąd przez historyków przeglądnął autor korespondencye następujące: Branickiego, Byszewskiej, p. Geoffrin, Glaire'a, Jakubowskiego, Kokcey'a, Kossakowskiej, Krasickiego, Mniszchowej, Naruszewicza, Radziwiłłowej H., króla Stanisława Augusta, Trembeckiego.

Obok źródeł obyczajowych wykorzystał autor historyę polityczną epoki radząc się prac dawniejszych i nowszych historyków naszych.

W umieszczonych niżej przypisach zawarto tylko cząstkę przeglądniętego materyału. Z braku miejsca podano cytaty w niektórych jeno miejscach: tam, gdzie wypadało poprzeć opowiadanie powagą dokumentu, oraz iżby się szczegóły niektóre nie wydały czytelnikowi swawolą beletrystyczną autora, który starał się nie wyjść nigdy poza ramy faktów, mozolnie nieraz z uroczystych dokumentów wyłuskanych.

Wszystkim bibliotekom lwowskim, w których pracował winien jest autor wiele wdzięczności. A najpierw Zakładowi im. Ossolińskich i wszystkim Ossolińczykom z dyrektorem dr. Ludwikiem Bernackim na czele, którego uczynności nieraz nadużywał. Panu redaktorowi Tadeuszowi Czapelskiemu wyraża autor słowa najgorętszej podzięki za serdeczną opiekę nad książką i wiele rad dobrych. Z uznaniem też wspomina starania p. Rudolfa Wegnera około wyglądu zewnętrznego tej książki.

We Lwowie. 24 grudnia 1918.

STANISLAUS AUGUSTUS REX.

Przytoczenia, użyte w tym rozdziale zob.: Szulc Fryderyk. Polska w r. 1798 (wyd. warsz. z r. 1899) str. 334. — List do Bacciarellego: Tatarkiewicz. Budowa pałacu w Łazienkach, Warszawa 1916, 41. — Pamiętniki Stanisława Augusta, wyd. Konopczyńskiego, Warszawa 1915, 64—5. — Sienkiewicz Karol. Skarbiec historyi polskiej, t. II, 250 sq. — Askenazy. Wczasy historyczne, 6—7. — S. Goriainow. Notandą historica. (Fragment polski pamiętników króla). Przegląd historyczny, t. X, 122, — Milady Craven. Voyage en Crime et Constantinople. Paris 1826, 123.

DUSZE W STYLU ROKOKO.

Jako materyału porównawczego z życiem obyczajowem ówczesnej Francyi, Anglii i Niemiec użyto publikacyi następujących:

A. Gleichen-Russwurm. Das galante Europa. Stuttgart 1911.— Dühren. Englisches Sittenleben. T. 1—2. — Goncourt E. i J. La femme au XVIII siecle. Paris 1905. — Tenże. Histoire de Marie Antoinette. — Tornius. Salons. Leipzig 1917, t. 1—2. — Fischel-Boehn. Die mode im XVIII. Jahrbundert. München 1909. — Pechel Rudolf. Rokoko, das galante Zeitalter, Berlin 1913. — Lord Chesterfield. Briefe an seinen Sohn. (wyd. Gleichen-Russwurma). — Hausenstein Wilhelm. Rokoko. Französische u. deutsche Illustratoren des XVIII Jhrh. München 1918. — Taine Hipolit. Francya przed rewolucyą, przekład Chmielowskiego i Grabowskiego. Warszawa 1881. — Chłędowski. Rokoko we Włoszech. Warszawa—Kraków 1915.

O PIĘCIU BRACIACH I O PANI KRAKOWSKIEJ.

O rodzicach Stanisława Augusta zob.: Kantecki Kl. Stanisław Poniatowski. Poznań 1880. — Konopczyński. Polska w dobie

wojny siedmioletniej I, 284 i nast. — Bernoulli. Reisen, t. V, 138. — Kołłątaj H. Stan oświecenia. Poznań 1841, 59. — Madame de Crequy. Souvenirs. T. IV, 49.

Książę eks-podkomorzy: Niemcewicz. Pamiętniki czasów moich, 63, 132. — Falkowski. Obrazy I, 102—4, 153. — Bartoszewicz. Żywoty znakomitych mężów III, 163—264. — Coxe. Reisen I, 129. — Kalinka. Ostatnie lata St. Augusta II, 412. — Tomkowicz. Z dworu St. Augusta. Kraków 1882 (odb. z „Przegl. polsk.) II, 79 — Listy Mniszchowej. Roczniki Tow. hist.-lit. w Paryżu 1866, 178. — Smoleński Wł. Książę eks-podkomorzy i Truskolaska. Przegląd historyczny, Warsz. 1915, 327—8.

Prymas Michał Poniatowski. Czapelski Tadeusz. Paź księcia prymasa. Lwów 1892. — Sievers. Pamiętniki. Poznań 1865 (passim). — Coxe W. Reisen I, 134. — Ochocki J. D. Pamiętniki I, 98—9. — Mottaz. Maurycy Glaire i St. Poniatowski. Warszawa 1901, II, 87. — Kraushar A. Dzieje pałacu prymasowskiego. Przegląd historyczny, t. VII, 330—1. — Goriainow. Notanda. Przegląd hist., X, 265. — Chotkowski Wł. ks. Spustoszenia kościelne ks. prymasa Poniatowskiego, Kraków 1918, str. 17. — Smoleński Wł. Ostatni rok Sejmu Wielkiego, 380.

Pani Krakowska. Kraszewski. Polska w czasie 3-ch rozbiorów (wyd. II) I, 245, 401. — Engeström. Pamiętniki, 42, 58. — Karpiński. Pamiętniki, 198. — Kraszewski, Krasicki 230. — Sienkiewicz. K Skarbiec II, 377. — Coxe W. Reisen, I, 155. — Heyking. Aus Polens u. Kurlands letzten Tagen. Berlin 1897, str. 287. — Kossakowski J. biskup. Pamiętniki. Warszawa 1891, 141, 173. — Starczewski. Możnowładztwo polskie. Kijów 1916, II, 235, 254. — Geoffrin. Correspondance, 133. — Ségur L. F. Memoires ou souvenirs. Paris 1890, str. 300. — Askenazy Sz. Listy Izabelli Branickiej. Biblioteka warszawska, 1894, III, 395. — Matuszewicz M. Pamiętniki. Warsz., 1876, IV, 313. — Bernoulli, V, 54—62. — Lehndorf E. A. H. Dreissig Jahre am Hofe Friedrich des Grossen (Aus den Tagebüchern). Gotha 1910. Nachtrage, II, 75, 285. — Starzeński Michał. Na schyłku dni Rzeczypospolitej. Warszawa 1914, 7.

Pani Zamojska: Kraszewski. Polska, I, 146—7. — Dębicki L. Puławy, I, 388—9. — Listy Mniszchowej l. c. 187 i nast. 229.

Książę podskarbi. Pamiętniki jego ogłosił dr. Józef Korzeniowski (Revue d'histoire diplomatique. Paris 1896). — Chłędowski K. Rokoko we Włoszech. Kraków 1915, 365—7. — Niem-

cewicz J. N. Żywoty sławnych w XVIII wieku mężów. Kraków 1904f 84. — Coxe W. Reisen I, 99. — Liske. Cudzoziemcy w Polsce, 223—5.

DZIEŃ KRÓLA POLSKIEGO.

Pamiętniki Antoniego Magiera. Archiwum domowe Wójcickiego. Warsz. 1856, 1 i nast. — Sagatyński. Pamiętnik byłego pazia St. Augusta. (Poznań 1845), 55, 75. -- Kraushar. Dwa szkice z czasów panowania St. Ag. (Pamięrnik Reyerdila), I, 42 sq. — Michałowski Bartłomiej. Pamiętniki III, 63—4. — Opis sypialni: Marcinkowski. Inwentarz zamku warsz. Przegląd historyczny, t. VI i nast. — Chrzanowski I. Z dziejów satyry polskiej w XVIII w. (wiersz Niemcewicza). — Wójcicki. Warszawa i jej społeczność, Warsz. 1877, str. 147. — Kitowicz. Pamiętniki, Lwów 1882, III, 137. — Szulc. Polska w r. 1793, str. 320 sq. — Zaleski Br. Żywot Adama Czartoryskiego, str. 173.

Opinie podróżników: Bernoulli (zob. Liske. Cudzoziemcy, 222). — Coxe. W. Reisen I, 131. — Craven. Voyage en Crfme et Constantinople, Paris 1826, 123. — Casanova. Memoiren, VI, 22—3.— Engeström. Pamiętniki, 46—53. — Heyking. Aus Polens letzten Tagen, 80. — Moszczeński. Pamiętniki (Poznań 1868), 71. — Łubieński Feliks. Pamiętniki, 61. — Kossakowski. Pamiętniki, 71. — Kalinka. Ostatnie lata St. Augusta, I, 74—7. — Archiwum wróblewieckie. Pamiętnik damy polskiej z XVIII w., t. 1—3. — Goriainow. Notanda historica. Przegląd historyczny, X, 264. — Kraszewski. Polska w czasie 3-ch rozbiorów (wyd. II-gie), I, 146. — Łoś W. Kosztowne śliwki. Gazeta Lwowska, 1878, nr. 60. — Rzewuski Leon. Kronika podhorodecka, 101. — Bartoszewicz Jul. Panowie niemieccy na dworze St. Augusta, 18. — Kraushar. Książe Repnin i Polska, passim. — Listy Mniszchowej. (Rocznik Tow. hist.-lit. w Paryżu, 1866), str. 225. — Niemcewicz J. U. Żywoty znakomitych mężów w XVIII w. Kraków 1904, 23—28. — Sołowiew. Geschichte Falles von Polen, 52. — Wójcicki. Cmentarz powązkowski, III, 60, 112.

NA ZAMKU I W ŁAZIENKACH.

Opis zamku: Korespondencya króla z p. Geoffrin (ed Mouy) Paris 1878, str. 163, 167, 206, 263 i w. i. — Korzeniowski Józef.

Katalog rękopisów cesarskiej biblioteki w Petersburgu (Archiwum do dziejów oświaty i literatury, t. XI, 373. — Lauterbach Alfred dr. Styl Stanisława Augusta. Warszawa 1918. — Tenże. Warschau. Leipzig 1918. — Tatarkiewicz. Materyały do historyi zamku warszawskiego. Warszawa 1916 (odbitka ze sprawozdań Tow. naukowego warszawskiego). — Tygodnik ilustrowany, 1904, nr. 1. — Marcinkowski. Inwentarz zamku z r. 1769. Przegląd historyczny t. X, 133 sq. — Kraushar Aleksander. Stara Warszawa. Warszawa 1914. — Opis pokojów wedle: Fortia de Piles: Voyage de deux Français en Pologne. Paris 1796. T. V (przekład polski Kraushara w „Ognisku" 1904, nr. 4, str. 95 sq); Szulc. Polska, 201, 330; Heyking, 354, Tomkowicz. Z dworu St. Augusta. T. II, passim.; Engeström. Pamiętniki, 45; Batowski. Katalog zbioru gem. St. Augusta. Wiadomości matematyczno-archeologiczne, 1902, IV. — Lauterbach. j. w. — Naruszewicz. Oda na pokój marmurowy (w „Poezyach" wyd. Chmielowskiego). — Dębicki Puławy I, 34.

W Łazienkach: Kitowicz. Pamiętniki (Lwów 1882), II, 199, III, 111. — Zugh. Ogrody warszawskie (przekład w „Ateneum" Kraszewskiego). — Tygodnik ilustr. 1866, t. XIX, 126, 1897, 701. — Kłosy 1867, 110, 178, 1872 (XV), 227. — Biesiada literacka 1877, III. — Magier. Wspomnienia. Wędrowiec 1904, I, 343. — Thugut. Przewodnik po Warszawie. — Opis karuzelu wedle druku współczesnego (por. Kraushar. Okruchy z przeszłości). — Bogusławski. Dzieła I, 71—72. — Przyłęcki St. Dyaryusz pobytu króla w Puławach. Warszawa 1866. — Bogatyński Wład. dr. Pomnik Jana III w Łazienkach. Gazeta lwowska 1916, nr. 95 i 96. — Pozatem materyał bibliograficzny zebrany w źródłowej rozprawie: Tatarkiewicz. Budowa pałacu w Łazienkach. Warszawa 1915.

WŚRÓD DWORAKÓW I DWOREK.

O parfilowaniu zob.: Goncourt. La femme du XVIII siecle, str. 129. — Gleichen-Russwurm. Das galante Europa. Stuttgart 1911, 373. — Morawski. Ze studyów nad kobietą polską. (Przegl. hist. 1911). — M. R. Ostatnia wojewodzina wileńska. Lwów 1896, 218.

1. W urzędzie marszałkowskim. Kalinka. Ostatnie lata panowania St. Augusta. I, 231—2. — Sozański A. Spisy imienne dygnitarzy za Stanisława Augusta. — Wydatki dworu St. Augusta. Tygodnik ilustr. 1866. — Dembowski. Wspomnienia. I, 86. — Kitowicz. III, 113. — Dębicki. Puławy I, 150—67. — Kraushar. Dwa-

szkice I, 105. — Taine. Francya przed rewolucyą, 103. — O Komarzewskim i Karasiu: Bartoszewicz J. w „Życiorysach znakomitych ludzi". — O Aleksandrowiczu: Sagatyński. Pamiętnik, 41. — O Ogrodzkim: Wzmianki w pamiętnikach króla; Encyklopedya Orgelbranda (t. V). — Moszczeński. Pamiętniki, 99. — Tretiak. Krasicki jako prezydent Trybunału. — O Rzewuskim: Michałowski I, 181. — Magier (Archiwum domowe), 18. — Kitowicz I, 284. — Wodzicki. Pamiętniki, 213. — Ochocki I, 141. — Kossakowski. Pamiętniki (index). — Dembowski I, 13. — O służbie: Magier l. c. — Korzon. Wewnętrzne dzieje III, 16 sq. — Kossakowski. Pamiętniki 194. — Dębicki. Puławy I, 117. — O paziach: Sagatyński l. c. — Niemcewicz. Żywoty, Krak. 1904, 28. — O szambelanach: Michałowski l. c. III, 184—5; Bartoszewicz. Dziennik Warszawski 1885, nr. 301.

2. **Pan Ryx i pan Tremo.** O Tremonie: Tomkowicz St. Z dworu St. Augusta II, 88. — Biblioteka ordynacyi Krasińskich, t. VII, 105. — Mycielski. Książę panie kochanku, 33. — Siemieński. Ostatni rok życia St. Augusta. — Poniatowski St. Souvenirs (ed. Korzeniowski w Revue d'histoire diplomatique). — Ryx: Listy polskie Jana de Witt, 286 sq. — Wójcicki. Cmentarz powązkowski, II, 144. — Kitowicz, III, 112. — Michałowski, III, 80. — Niemcewicz. Żywoty, 31—2. — Publicationen aus den preussischen Staatsarchiven, t. XXII (pamiętniki Catt'a). — Bogusławski. Dzieła, I.

3. **Faworyci.** O Naruszewiczu: Bukar. Pamiętniki (wyd. Bibl. dzieł wyborowych), 20. — Niemcewicz. Żywoty, 12. — Heyking, 289, 283. — Koźmian A. E. Wyciągi piotrowickie, 6 sq. — Koźmian Kaj. Pamiętniki, I, 41. — Ochocki. Pamiętniki, I, 420. — Michałowski l. c. III, 178. — Pozatem bibliografia zebrana w „Historyi poezyi polskiej" Pilata (wyd. Bernacki, t. IV). — O Branickim: Kraszewski. Polska w czasie 3-ch rozbiorów, I, 40, II, 41—6. — Smoleński. Ostatni rok sejmu wielkiego, 56. — Niemcewicz. Żywoty, 64—6. — Kitowicz, I, 1—9. — Casanova VI, passim. — K. M. Morawski. Dwie rozmowy St. Augusta z Branickim. Kwartalnik historyczny, 1910, 121 sq. — O Radziwille „Panie kochanku": Cieszkowski. Pamiętnik anegdotyczny z czasów St. Augusta (s. v.). Niemcewicz. Żywoty, 78—80. — Ochocki. Pamiętniki, I, 65, II, 38, 46. — Brüggen. Polens Auflösung, 303. — Papiery Ambrożego Wejły. Ateneum (Kraszewskiego). Oddział V, t. VI (1845), 171—225. — O hetmanie Ogińskim: Heyking,

111—113; Kraszewski. Polska I, 194, 410; Poliński. Dzieje muzyki polskiej, 154; Węgierski. Pisma, wyd. Estreichera, str. 11—12; Lehnsdorf. 30 Jahre am Hofe Friedrich d. Gr. Nachtrage, II, 224—5. — O Czaplicu i Turkule. Niemcewicz. Pamiętniki czasów moich, 29. — Kalendarz Jaworskiego na rok 1858. — Encyklopedya Orgelbranda (s. v.). — Obiad czwartkowy. Wyjątek z listu. Przyjaciel ludu, 1838, 113—152. — O pannie Bacciarelli: Rastawiecki. Słownik malarzów (s. v.). — Raporty Essena cytowane u Hermana Geschichte des russ. Staates. T. VI (Anhange) oraz Sołowiew. Geschichte Falles v. Polen 156 sq. — O Byszewskim: Rolle J. Szkice hist. Serya V, 314 sq. — O Badenim: Grzegorzewski. Pamiętniki, 65—72.

4. **W pętach intrygi.** M-me de Genlis. Dictionnaire de l'etiquette. Paris 1818, t. I (index). — K. M. Morawski. Pamiętnik Stanisława Lubomirskiego. Kwartalnik historyczny, 1909. — Frederic II. Oeuvres, II, 24. — Wizytą pani Geoffrin: Correspondance de M-me Geoffrim (passim). — Gorialnow. Notanda historica. Przegl. hist. X, 271. — Geret. Polen, Berlin 1870, 17. — Kraushar. Dwa szkice (pamiętniki Reverdila). — Lehnsdorf. 30 Jahre, Bertrage II, 197. — Niemcewicz. Pamiętniki, 116. — Sprawa pani Dogrumowej. Potocki. Listy Jana de Witt, 31. — Dembowski. Wspomnienia, I, 112. — Smoleński. Dzieje narodu polskiego, III, 87. — Kraushar. Drobiazgi historyczne. Petersburg 1891, I, 243.

5. **Suwereni króla.** Raumer. Beitrage Cz. IV, t. II, 446. — J. Harris. Tagebücher u. Briefwechsel. Grimma 1848 (cytat u Kraushara. Repnin i Polska). — Sołowiew. Geschichte Falles von Polen, 118. — Kraushar. Repnin i Polska (passim). — Geret. Polen, 80, 102, 103, — Kraszewski. Polska, I, 48, 84. — Sievers. Pamiętniki, 112. — Bukar. Pamiętniki, 109. — Kalinka. Ostatnie lata, I, 53. — Poniatowski. St. August. Memoires. Petersburg 1914, 657. — M. R(adziwiłł). Ostatnia wojewodzina wileńska, 21. — Siemieński. Ostatni rok życia St. Augusta, 11.

6. **Gala albo asambla.** Słownik Lindego. T. II (s. v. gala).— O Czackim: Grzegorzewska Sabina. Pamiętniki, 33; Moszczeński. Pamiętniki, 87—88. — Tańce: Czerwiński A. Brevier der Tanzkunst. Leipzig 1880. — Bukar. Pamiętniki, 50. — Liske A. Cudzoziemcy w Polsce, 242. — Sienkiewicz K. Skarbiec II, 360. — Moszczeński. Pamiętniki, 69. — Karty: Chłędowski K. Rokoko we Włoszech, 70—3. — Geret. Berichte, 23. — Krasicki. Dzieła (wyd. lwowskie) I, 123. — Brüggen, 309. Wodzicki. Pamiętniki, 143. —

Nachrichten über Polen. Graz 1793, 142. — Opis turnieju poetów Potocki Leon (Bonawentura z Kochanowa). Święcone w pałacu Potockich. (Biblioteka dzieł wyborowych nr. 837), str. 47—9. — Rozmowy: Wodzicki, 146. — Taine. Francya przed rewolucyą, 138. — Dębicki. Puławy I, 250. — Plater. Podróż króla do Kaniowa. — O lożach masońskich. Heyking, 227—8; Lehnsdorf. 30 Jahre. Nachtrage II, 55; Kalinka. Ostetnie lata, I, 84. — Smoleński. Przewrót umysłowy (index). — Jankowski Wł. W loży masońskiej. — List Jakubowskiego: Bibl. ordynacyi Krasińskich, VII, 160.

W MALARNI KRÓLA JEGOMOSCI.

Fournier-Sarlovez A. Les peintres des Stanislas Auguste II Paris 1907, passim. — Rastawiecki E. Słownik malarzy polskich, t. I—II. — Tenże. Słownik rytowników polskich. — Olszewski Maryan. Dzieje malarstwa polskiego. Kraków 44 sq. — Mycielski Jerzy. Sto lat dziejów malarstwa polskiego. Kraków 1898. — Szulc. Polska, 290. — Hausenstein W. Rokoko. München 1908. — O Bacciarellim: Rastawiecki I, 40 sq; Wójcicki. Cmentarz powązkowski I, 125; Fournier-Sarlovez. Les peintres, s. v.; Magnuszewski Dominik. Z pracowni Bacciarellego malarza. Tygodnik literacki poznański, 1840, III, 364; Korzeniowski Józef. Katalog rękopisów petersburskich (index); Rozmaitości Kor. warsz. 1819, nr. 40, str. 104.

Akademia sztuk pięknych: Rastawiecki. Słownik, I, 313; Tatarkiewicz. Akademia sztuk pięknych za St. Aug. Przegląd historyczny, 1916.

O Norblinie: Batowski Z. Norblin (monografia w wyd. „Nauka i Sztuka“. — T. Rutowski. Norblin (odb. ze „Sztuki“). — Fournier (index). — Mycielski l. c, (index).

Bellotto: Ettinger. Bellotto w Warszawie (broszura rosyjska). — Kraushar. Tygodnik ilustr. 1904, nr. 1.

O Kucharskim: Geoffrin. Correspondance 108, 120, 126.— Mycielski. Andrzej Kucharski. Kraków 1898. — Fournier-Sarlovez. Les peintres (index).

O Chodowieckim: Dr E. W. Bredt. Chodowiecki zwischen Rokoko u. Romantik. München 1908.

O królu i p. Vigée Lebrun: M. Vigée-Lebrun. Souvenirs. Paris, Ollendorf, 1894, 184—188.

Por. nadto: Fortia des Piles. Voyages. (Przekład w „Ogni-

sku") l. c. 109 sq. — Kraushar. Dwa szkice, I, 69. — Korzon. Dzieje wewnętrzne Polski, III, 28. — Kuryer warsz. 1904, nr. 240.

Już po wydrukowaniu książki ukazała się źródłowa praca Władysława Tatarkiewicza: Rządy artystyczne Stanisława Augusta. Warszawa 1919. Studyum to oparte na niewyzyskanych dotąd materyałach rękopiśmiennych przynosi wiele nowych interesujących wiadomości.

O CUDZOZIEMSKIEJ SZARAŃCZY.

Casanova: Memoiren, VI, str. 30—51. — Rydel Lucyan. Książę Denasów. Kraków 1898. — Askenazy. Lauzun (Wczasy historyczne). — Korzon. Wewnętrzne dzieje Polski, III, 24. — Obrazy z życia, I, 195. — Moszczeński. Pamiętniki, 120. — Michałowski Bartł. Wspomnienia, II, 142—3.

Corticelli: Bartoszewicz J. Panowie niemieccy na dworze St. Augusta. Warszawa 1852. — Heyking, 259.

Friese: Konopczyński Wł. Przedmowa do polskiego wyd. pamiętników króla, XIV.—Smoleński. Publicyści anonimowi (s. v.)

Mehée: Askenazy. Napoleon a Polska, I, 44, 168.

Reverdil: Pamiętnik jego ogłoszony u Kraushara: Dwa szkice z czasów St. Augusta. Warszawa, 1904, I.

Lafontaine: Wójcicki. Cmentarz powązkowski, III, 110.

Piatolli: Kraszewski. Polska, II, 18. — Brüggen. Polens Auflösung 280—1. — Szulc. Polska, passim. — Dębicki. Puławy, I, 56, 298. — Niemcewicz. Pamiętniki czasów moich, 140. — Zaleski Br. Żywot Adama Czartoryskiego, 226. — Dembiński. Źródła do dziejów drugiego rozbioru Polski.

Kokcej: Sienkiewicz K. Skarbiec, II, 353 sq.

OBIADY CZWARTKOWE.

Archiwum domowe Wojciechowskiego. Warszawa 1856. (Pamiętniki Magiera). — Obiad czwartkowy. Wyjątek z listu. Przyjaciel ludu 1838, 113—152. — Hoffmanowa Kl. Obiad czwartkowy. Ustęp z nieznanych pamiętników. Dzieła. Warsz. 1876, t. IV. — Smoleński Wł. Towarzystwa uczone i literackie w XVIII w. (Dzieła, t. III). — Wybicki J. Pamiętniki (wyd. Mościckiego), II, 45—46. — Dembowski L. Wspomnienia. Petersburg 1900, I, 77, 93. — Listy króla do Naruszewicza w „Wyciągach piotrowickich" A. E. Ko-

żmiana. Wrocław, 1842, 5—17. — Zob. także: Tornius W. Salons, Leipzig 1917, t. 1—2.

O Krasickim: Bartoszewicz. Znakomici mężowie, III, 34. Matuszewicz. Pamiętniki, IV, 280. — Kraszewski. Polska, I, 423. — Wójcicki. Warszawa i jej społeczność, 15. — Niemcewicz. Żywoty, 15. — Ustęp z listu króla: rkp. w zbiorach dr. Ludwika Bernackiego. — Lehndorf l. c. Nachtrage, II, 315.

O Trembeckim: Woroniecki E. St. Trembecki jako słowianofil. Biblioteka warszawska, 1913, 267 i nast. — Biegeleisen Henryk. Listy Trembeckiego. Ateneum, 1897, IV. — Ochocki. Pamiętniki, IV, 277—80. — Niemcewicz. Żywoty, 119. — Tomkowicz. Z wieku St. Augusta, II, 3, 15, 16. — Michałowski B. Pamiętniki, II, 170. — Wójcicki. Cmentarz powązkowski, I, 245.

O Węgierskim i Bielawskim: K. Estreicher w przedmowie do lwowskiego wydania „Pism". — Hoffmanowa. Obiad czwartkowy l. c. zresztą zob. Pilat. Historya poezyi polskiej, t. IV.

Nadto por.: Dembowski. Pamiętniki, 225. — Wybicki, Pamiętniki, 105. — Niemcewicz. Pamiętniki czasów moich, 12, 332. — Żywoty, 17—9, 48. — Kraszewski. Polska, I, 110, II, 49. — Kołłątaj. Stan oświecenia, 127. — Bartoszewicz. Żywoty, III, 129—150. — Pawiński A. Michał Groell. Warszawa, 1890.

SA MAJESTÉ L'AMOUR.

1. **Mąż wszystkich żon.** Kraushar. Dwa szkice l. c. I, 69 nast. — Moszczeński. Pamiętniki, 70. — Szulc. Polska l. c. 252 nast. — Korzon. Wewn. uzieje Polski, wyd. II, t. III, 31—34. — Mottaz. St. August i Maurycy Glaire. II. 79.

2. **Przekleństwo życia.** Memoiren der Kaiserin Katharina II. ed. Boehme. Leipzig 1912, II. 194, 208—10, 261, 310. — Poniatowski. Pamiętniki I, 339 i nast. — Raumer. Beitrage IV, t. II, 446, — Naruszewicz, Dyaryusz podróży do Kaniowa. — Plater, Podróż do Kaniowa. — Lehnsdorf. Dreissig Jahre... Beitrage II, 292—3. — Kalinka, Ostatnie lata I, 71 sq., 305 sq.

3. **Amory gratyskowe i ekspensowane.** Ks. generałowa Czartoryska: Goriainow. Notanda l. c. X, 129. — Kraushar. Książę Repnin i Polska, I, 308. — Zaleski Br. Żywot A. Czartoryskiego, 141—4, 159. — Moszczeński. Pamiętniki 84. 91. 92. — Herman. Gesch. des russischen Staates, VI, 512.

Marszałkowa Lubomirska: Geoffrin. Correspondance l. c. 309

Joanna ze Sułkowskich Sapieżyna: Pamiętniki króla (wyd. Konopczyńskiego), I, 142). — Magdalena z Lubomirskich Sapieżyna: Kraszewski. Polska, l. c. I, 146. — Potocki L. Święcone w pałacu Potockich, l. c. 44, 151. — Pamiętniki B. Michałowskiego III, 61. — Sapieżyna z Branickich: Korespondencya z królem w rkp. Ossol. (archiwum sapieżyńskie). — Matuszewski M. Pamiętniki IV, 301. — Kraszewski. Polska, l. c. I, 275. — Zabłocki. Pisma, wyd. Erzepkiego, 220, 224, 230. — Michałowski B. Pamiętniki, III, 132, 157. — K. M. Morawski. Dwie rozmowy. Kwart. hist. 1910, 130.

Z Hadików Lubomirska: Mejbaum Wacław. O tron Stan. Augusta, Lwów, 1916, 71—94. — Engeström. Pamiętniki, Poznań 1873, 19. — Michałowski. Pamiętniki III, 62.

Starościna Opeska: Rolle (Antoni J. dr.). Szkice, tom V, 314 i nast. — Dembowski. Pamiętniki, I, 218. — Matuszewicz. Pamiętniki, IV, 305. — Pamiętniki króla (ed. Konopczyński) I, 331. — Michałowski, Pamiętniki, III, 96. — Lehndorf. Dreisig Jahre, l. c., Nachtrage II (indeks).

Krajczyna Potocka: Potocki L. Święcone, l. c., 43, 131. — Michałowski, l. c., II, 148—50.

Ks. Dorota Kurlandzka, miss Harriet i in.: Heyking. Aus Polens u. Kurlands letzten Tagen, l. c., 343—4. — Brüggen, l. c., 300. — Fournier-Sarlovez, l. c. (spis ilustracyj). — K. Wł. Zieliński. W Łazienkach. Wędrowiec 1888, str. 588. — Kraszewski Polska, l. c., I, 33. — Ochocki, l. c., III, 106—7.

Żona: Wójcicki. Cmentarz powązkowski, III, 4. — Tenże. Warszawa i jej społeczność, 15. — Moszczeński, Pamiętniki, 73. — Niemcewicz. Pamiętniki czasów moich (wyd. Kaczurby), 25, 28, 166. — Trembicka. Memoires, I, 195—7. — Starzeński. Na schyłku dni Rzeczypospolitej, l. c., 24. — Gumplowicz. Korespondencya St. Augusta, 75. — Ochocki J. D. Pamiętniki, III, 348, — Ostatnia wojewodzina wileńska, 49. — Heyking, l. c.. 70. — Sievers, 41. — Dembowski. Pamiętniki, I, 202, 207. — Michałowski, l. c., III, 62, 192. — Falkowski, Obrazy, I, 157. — Korzon. Dzieje wewnętrzne, III, 33.

SPIS ILUSTRACYJ.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

